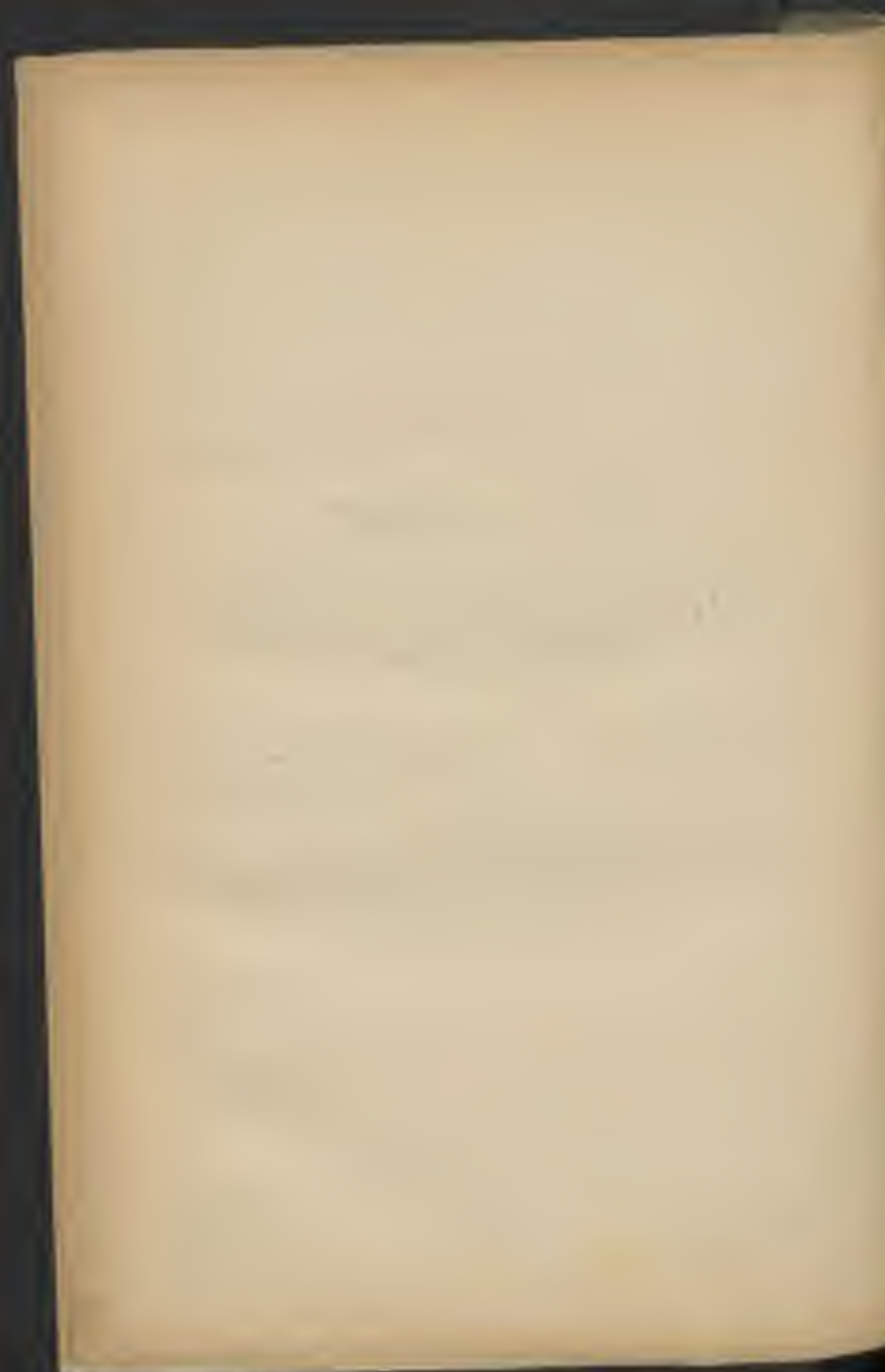




POWIEŚCI HISTORYCZNE
J. I. KRASZEWSKIEGO
(WYDANIE TANIE).

Tom siedemdziesiąty ósmy.



SASKIE OSTATKI.

(AUGUST III).ⁱ

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

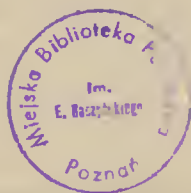
CZĘŚĆ DRUGA.

TOM II.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLUCKSBERGA.

1891.



Дозволено Цензурою
Варшава 26 Августа, 1891 года.

~~~~~  
Druk Józefa Jeżyńskiego, Warszawa, Danielewiczowska, 16.

## I.

Obawy tych wszystkich, którzy wojewodę znali, aby szczęśliwie ufundowanie Trybunału, nie poniosło go w dumę zbytnią, nie były płonne. On sam hamowałby się może, przynajmniej gdy sobą władał, ale z dawnych czasów owych miecznikowskich, pozostało w jego służbie siła ludzi, których potęga pana upajała do szaleństwa. Nie mogli myśli tej znieść aby co wolę jego ograniczało... aby on potrzebował się w czem hamować.

Po szczęśliwym ufundowaniu Trybunału, sądzili się panami w Wilnie przy wojewodzie. Nie mogli wytrzymać spokojnie, szukali okazji do zaczepiek, wywoływali huczki i wyzywali na awantury.

Najmniejszy pretekst starczył im do podbudzenia wybuchu.

Ostrzegano księcia aby zakazał po ulicach dokazywać, ale wojewoda bronił ich i tłumaczył.

— Zachowują się spokojnie—mówił—ma się na nich baczyć, a młodość ma swe prawa. Huknąć i stuknąć trudno zabronić, byle nie przebrali miary.

Zaraz pierwszego wieczoru po małych uliczkach, zaułkach, przedmieściach były zaczepki, strzelano, porąbało się kilku, ale na owe czasy nie raziło to jeszcze, bo duch w ogóle był niespokojny, a miotali się tak wszyscy.

Najgorszem było, że dla spraw w Trybunale, zjazd był znaczny, ludzi różnych zwaśnionych z sobą co nie

miara. Ci radzi byli pozyskać sobie Radziwiłłowskich, aby z ich pomocą, dokuczyć nieprzyjaciółom.

Pojono ich i przyjmowano, podbudzając na różnych, którym przypisywano niechęć dla księcia wojewody.

Zaraz nazajutrz pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu dworzan wojskowych, z milicji, hajduków, podpiwszy sobie związali się słowem, że na nieprzyjaciółach księcia za manifesta mścić się będą.

Dowiadywano się o kwaterach ludzi nieuawistnych, obmyślano środki, aby im się dać we znaki bezkarnie. Wiadomem to było, że książę swoich, winnych czy niewinnych bronił do upadłego i nie im uczynić nie dawał. Uchowaj Bóże, aby mu kto tknął człowieka, który w jego usługach zostawał, choćby służba ta była tylko pozorem.

Milicja Fleminga, Czartoryskich, Sosnowskiego pisarza litewskiego, Massalskich, po kątach się musiała kryć, aby nie narazić na zaczepki i bijatykę.

Niektóre domostwa po całych dniach stały pozamykane, mieli się ludzie na baczności, broń stała ponabijana. Czartoryscy usiłowali wszelkimi możliwymi środkami niedopuszczyć gwałtów i bójek, raz, że słabsi daleko byli, powtóre iż grali tu rolę ludzi spokoju i porządku, szanujących prawa i nieuawidzających warcholstwa. Ludziom ich zakazanem było w ulicach się pokazywać.

Ale nie wszyscy się tak nmieli zachować jak oni. Sosnowski pisarz litewski, niektórzy oficerowie Fleminga, zdradzali dumą lekceważenie Radziwiłła.

Chociaż Trybunał już za doszły stanowczo być mógł uważany i to bez krwi przelewu, bez najmniejszej walki, opór przeciwko niemu nie ustawał. Jednym z najzjadlejszych był ks. biskup wileński. Niedosyć, że pierwszego dnia pozamykał kościoły, nie dał później zgromadzić się na zwykłe po ufundowaniu nabożeństwo u św. Jana, gdzie kazania i Te Deum



słuchali deputaci. Kościół stał zamknięty. Pomnażało to młodzieży gniew i ochotę odwetu.

Pierwszą ofiarą padł Sosnowski, niemal w biały dzień. Zawczasu go ogłaszano jako dezygnowanego marszałka przyszłej konfederacji. Nie słynał on ani z rozumu, ani z taktu, ale z dumy, której nie było na czem oprzeć.

Radziwiłłowska banda, jak ją nazywano, usadziła się go wyśmiać i nastraszyć, nie mogąc wyzwąć na rękę ludzi, którzy siedzieli jak w więzieniu zamknięci w najętym domu.

Napędzono ciekawością świadków, wcześniej ogłaszając, że Sosnowskiego będą okrzykiwać marszałkiem.

Jakoż nad wieczór, gdy już tłumy gawiedzi ulicznej pełno było, pokazała się w dali banda zbrojnych, stojących a wykrzykujących ludzi Radziwiłłowskich, jadących z taką butą i fantazją, jak gdyby gród nieprzyjacielski zdobywać mieli. Prowadził ją dowódzca hajduków, prawdziwy Goljat, chłop ogromny z wąsami do pasa, który muszkiet kótłki a grunby trzymał o siodło oparty i dawał znaki swoim. Za nim jechali dobrani warchoły najszałeńsi, wszyscy podpili, każdy z muszkietem albo z pistoletem, niektórzy szablami wywijając. Mieli już swoich tam namówionych, którzy wcześniej kupy kamieni nagromadzili.

Stanąwszy przed kamienicą Sosnowskiego, jeden naprzód wyjechał i buzdyganem poczał w bramę walić, choć wiedział, że mu jej nie otworzą.

Z wnętrza ani pary nikt nie puścił, ani dał znaku życia.

Wtem z tłumy ozwało się wołanie.

— Vivat Sosnowski, marszałek Konfederacki!! vivat!!

— Vivat cztery litery! — wolali drudzy.

— Vivat pół-psa — pół-kozy — niedowiarek Boży! krzyczeli inni.

Powtarzali jednak najwięcej—Vivat cztery litery!! Gdy stukanie do bramy nie nie wywołało, bo rozkazy były wydane, aby się nikt nie ruszał, chybaaby bronić się przyszło, pierwszy hajduk z muszketu strzelił ku oknom, a za nim co kto miał nabojów gotowych poczęli kulami do okien i drzwi ognia dawać.

Ale że im wreszcie kul i prochu żał było, albo to za zbyt wielki dla Sosnowskiego honor mieli ze strzelbami go oblegać, rzucili się do kamieni, które chłopcy uliczni rażno im podawali i sami też ochotnie bombardując okiennice, okna, ściany. Tynk z nich opadał kawałkami, a okiennice się rozsypywały i wisiały z nich deski porozbijane, a szkło szyb w oknach z brzękiem sypało się na ziemię. Ale i to nawet nie mogło Sosnowskiego ludzi wyzwąć do boju, bo im go starsi bronili, wiedząc, że gdyby się ruszyli, Radziwiłłowskich by gromady napłynęły i z boju tego nikt by nie wyszedł cało. Nieudalo się więc Radziwiłłowskiemu, bo nakrzyczawszy się, nałupiwszy okien i ścian, a ludzi nie mogąc dostać, nadaremnie tylko znużyli się i pomiarkowawszy, iż z tego książe nie będzie rad, że śpiewami i hałasem odciągnęli precz. Tyle pociechy mieli tylko, że nienawistnemu człowiekowi, pieczeniarzowi Briibla dokuczyli.

Był to początek i próba, bo Sosnowski mała figura niewiele znaczył, i tyle tylko, że do ligi należał przeciwko Radziwiłłowi. Znaczniejszą i wybitniejszą rolę odgrywał w tej koalicji podskarbi Fleming, nie lubiony nawet przez tych co z nim jednej się trzymali klamki. Nazajutrz więc stanęła zмова na pałac Fleminga napaść. Tu spodziewano się nieodmiennie wywołać bójkę, którąby potem na zaczepkę ludzi podskarbiego złożyć było można.

I tu już pierwszym znakiem tego, że się gotowała utarczka, był napływ gminu, który na placu się skupił zewsząd tu nadbiegając. Jeden i drugi oddział milicji przeszedł mimo bramy spokojnie, choć piechota podskarbiego się w niej pokazywała. Za temi jak

za przednią strażą przyciągnął Goljat ze swemi śpiewając polsko-żydowską piosenkę satyryczną, którą Fleminga jako Niemca prześmiewano.

Za pierwszym tym wystrzałem ku oknom pałacu na pierwszym piętrze, z których się szyby posypały, nastąpiło kilka innych, również na okna skierowanych.

Straż Fleminga, którą dowodził Niemiec Dreher, młody oficer, odważny i rozjątrzony już ciągłemi zaczepkami i obelgami, jakimi ich prześladowano, nie chciał znieść tego cierpiwie i Dreher z odwagą młodzieńczą wypadłszy z kamienicy, wprost na jednego ze strzelających się rzucił, konia mu za uźdę chwytając, aby go z sobą uprowadzić.

Ten jak miał pistolet nabity w rękę, wprost się zmierzył do piersi Drehera i wystrzelił, a oficer pochwycił się za serce, zawrócił się tylko, okręcił i padł krwią brocząc bruk.

Ludzie Fleminga zobaczywszy to, nie mogli się już powstrzymać, i wszyscy co w bramie stali dali ognia do wojewodzińskich, którym szczęściem oprócz jednego konia zabitego i kilku poranionych, nie się stało. Zabierało się tedy na formalny bój, któryby był mógł przybrać niebezpieczne rozmiary, ale młody kasztelanik..., który przez swawolę, komendę sobie nad oddziałem przywłaszczył, widząc że nie przelewki i pocziwego imienia swego na brudną burdę pożałowawszy, pierwszy uszedł, za którym i gromada z Goljatem popędziła.

Tołoczko właśnie przejeżdżał tedy, gdy się to odbywało i parę kul mu około uszów świsnęło. Wiedział on i słyszał to z ust samego księcia wojewody, iż burdy chciał uniknąć, a i hetmanowi oto szło, aby się brat jego zachował *cum dignitate*, miał więc sobie za obowiązek Tołoczko, który kasztelanica na oczy widział, pobiedz z tem do kardynałji.

Tu teraz o jakiegokolwiek dnia godzinie kto przy-

szedł zawsze pewien był jedno zastać, kielichy, wino i ludzi oszołomionych.

Wszedł rotmistrz, mocno kasztelanicem, który krewnym był i wojewody i hetmana, zakłopotany, wołając na głos o wojewodę.

— A toć ci nie uciekam! — zagrzmiął głos siedzącego pana. — Na cóżem ci potrzebny?

— Na rany Chrystusowe — krzyknął Tołoczko. — W. Ks. Mość jeden możesz to powściągnąć. Wszak kasztelanie z bandą ladajakich ciurów poszedł na pałac Fleminga, oficera już jednego ubito..., strzelają do siebie zajadle.

Książę posłyszawszy nazwisko kasztelanica zerwał się z krzesła.

— Co ci się przyśniło! Kasztalanica tam nie było. nie mogło być... milcz-że ty mi.

— M. Książę — odparł dumnie Tołoczko — oczy mam, a gęba moja się nigdy żadną potwarzą ani plotką nie zwalała. Widziałem.

— Nie widziałeś! — zagrzmiął książę — a choćbyś widział toś powinien milczeć... rozumiesz to... ja ci zakazuje...

M. Książę, ja nie jestem pod jego rozkazami — odparł Tołoczko, a książę jeszcze nie jesteś hetmanem.

Zuchwała ta odpowiedź w pasją wprowadziła Radziwiłła, ścisnął pięść i cały się oblał krwią.

— Nie waż mi się mówić o tem... moja ręka choć w niej buławy jeszcze nie trzymam, sięga daleko, a komu na kark spadnie temu Miserere śpiewają.

Tołoczko zamachnął ręką i zwrócił się do Sapiehy, który tuż stał, jakby u niego szukał obrony, choć się jej nie bardzo spodziewał.

Hetman stał z twarzą nachmurzoną, posepny, ale nie tak pokorny dla Radziwiłła jak się ten spodziewał.

— Niech się brat umityguje — rzekł. — Co mój

pan Rotmistrz Buńczuczny mówił z intencji dobrej, za to się go karcieć nie godziło. Nie skłamał pewnie.

— Kasztelanica sobie tam uroił — przerwał książę — będzie to roznosił po mieście aby mnie też do spółki wciągnął... z temi co burdą poczynają.

— Ale M. Książę — zawołał Sapieha intencji w tem nie było.

Radziwiłł się perzył z gniewu.

— Kasztelanica tam nie było! ja o tem wiedzieć nie chcę!! Sami oni wyprawiają hałasy, sami macą, a na mnie i na moich zrzucają.

Sapieha nie dzielając tego gniewu, parę razy przerwał jeszcze bratu, lecz ten i względem niego opryskliwie się znalazł i nastawił mu się okóniem. Czapkę już trzymał w ręku.

Oba, Radziwiłł i on, co się wczoraj jeszcze całowali i poprzysięgali sobie aljans i zgodę wiekuiistą, teraz nagle pod wpływem jakimś, którego odgadnąć było trndno, koso poczęli spoglądać na siebie.

— Warchoł niepoprawny, nigdy miecznikiem być nie poprzestanie, mruczał sam do siebie Sapieha.

— Hetmanowej pacholik... pod pantoflem u żony.. szeptał książę.

Sapieha nie żegnając się razem z Tołoczka wyszedł, brata samego zostawiając, który natychmiast Bohusza przywołał i kazał mu wydać ordynans aby nikt nie śmiał o żadnych burdach, strzelaniach donosić... Bo on wiedzieć o tem nie chce...

Hetman że od rana z Radziwiłłem się zabawiał a nienastannie pić musiał. ledwie do karety wsiał, rozkazawszy Tołoczce jechać z sobą—coś zabelkotał, głowę na poduszki pochylił i—usnął.

Aż do Antokolu jechali tak mileczący, a Tołoczko zafrasowany tem, iż się mimowoli księciu naraził. U ganku stanawszy, gdy książę się z powozu ruszać nie myślał, wybiegła hetmanowa przelekniona, czy mu się co nie stało, ale dowiedziawszy się iż śpi



tylko, kazała go hajdukom zanieść dd łóżka, a sama splunąwszy na pokoje swe powróciła.

Zawołała Tołoczkę, ażeby jej wytłomaczył co to wszystko znaczyć miało. Rotmistrz że i tak chciał się księżnie wypowiadać—począł zaraz opowiadanie *ab ovo*, to jest od napaści Fleminga.

Księżna słuchała ciekawie, a gdy w końcu przyszedł do tego, iż znalezienie się z nim księcia i ujęcie się za nim hetmana—opowiedział na twarzy hetmanowej, prawie radośne uczucie się zarysowało.

— Te Deum będzie śpiewał—rzekła—ale kto wie co potem—czy Tadeusza, nie zakwili.

Nie tała się już przed Tołoczką ze swą animozją przeciw Radziwiłłowi, który jej przypisywał to, że Sapieha warty Trybunałowi odmówił, a choć to przełknął zrazu głęboko, dławiło go po dziś dzień, że brata do posłuszeństwa sobie nie mógł nakłonić i przewodzić nad nim.

Po tej krótkiej zawierusze Radziwiłła ludzi pozamykano i kazano się im nie ruszać z kwater, ani w ulicach nie pokazywać, książę spokojnego i o niczem niewiedzącego udawał.

Z przeciwnej strony lamenty, skargi i odgrążania były nieustające. A że dopóki Trybunał trwać miał Wilno pozostawało w ręku Radziwiłła, Czartorysey już tu nie mieli co robić, i lękając nowych zajęć, wyjeżdżać postanowili.

O czem gdy wojewodzie doniesiono powiedział.

— Płakać po nich nie będę.—Baba z wozu kołom lżej. Z panem Bogiem.

Zaczęli się wszyscy pakować i zmówili wyruszyć razem, aby kupą ciągnąć, na zaczepki mniej byli narażeni.

Sam książę wojewoda dni następnych mało co się pokazywał, siedząc zamknięty ze swojemi... Ale przyjaciele jego nie próżnowali. Bohusz prawa ręka wojewody, człek obrotny. Judycki Marcin sędzie ziemski, Rzeczycki młody a porywczy i ognisty chłop, który

Radziwiłła za sobą mając, czuł się silnym, jeździli i chodzili nosząc się z prepotencją i powtarzając głośno, że tu wszystko musi być tak, jak my zechcemy i rozkażemy.

Więc Bohusz, umiejący z każdej zręczności korzystać dla siebie, a na nikogo się nie oglądający, oprócz innych od księcia darów i dobrodziejstw, wyrobił sobie u wojewody na ekonomję wilejską posesję, którą dotąd Abramowicz starosta starodubowski trzymał.

Tego brat kasztelan brzeski do żywego dotknięty odebraniem starości starodubowskiemu ekonomji, publicznie się z Bohuszem zetknąwszy, gdy ten go witac chciał po staremu, rękę jego odtrącił i od ostatnich słów łajać zaczął, przyczem dosyć świadków było. Gdyby tam na miejscu zaraz ich nie rozwadzono, byłoby do szabel przyszło, choć Bohusz do niej skorym nie był.

Ale złajaniu tego pana vice-marszałka Trybunału, świadków było dosyć i na Bohuszu plama została niemyta.

Gryzł się tem i nie mógł strawić książę wojewoda, bo co spotykało Bohusza, ponieważ na niego spadało, na Abramowiczach mścić się było potrzeba, a oni też swoich popleczników mieli.

Tryumfując więc na oko wszystko jak chciał sprawiwszy, Radziwiłł wcale się nie czuł szczęśliwym.

Po odjeździe Sapiehy, z którym aż do tego dnia po bratersku byli, i dopiero z rana jakoś zaczęli się jeden drugiemu przekomarzać — popadł wojewoda w senność, spoczywał, a przebudziwszy się — wszystkie okoliczności rozważając, zmiarkował, że z Sapiehą przyjaźń braterska na włosku już wisiała. Sam nie wiedział czy ją miał odnawiać, lub wcale o nią nie troszczyć.

Wszystko zważywszy do czasu postanowił z Sapiehą tak się obchodzić, jak gdyby między niemi nie zaszło. Tołoczko zaś na Antokol przybył z mo-

cnem postanowieniem, że noga jego nie postanie w kardynalji.

Dnie te wszystkie po ufundowaniu bardzo niespokojne były, gotowało się jak w garnku. Choć większych napaści nie było, ani po ulicach bójek, po przedmieściach, po zaułkach, w szynkach strzelano i rąbano się ciągle. Ludzi niepodobna było utrzymać—wykradli się po nocach.

Czartoryskim to już dokuczyło równie jak Flemingowi i pożegnawszy Massalskich, ruszyli precz z Wilna.

Wybrali do tego ranek wczesny, spodziewając się, że opoje wojewody zaśpią go i dadzą im wyjść spokojnie.

W istocie nikt im drogi tamować nie myślał, ale przeszli jak przez różgi nim się z Wilna wydobyli, bo wszędzie ich gawiedź przeprowadzała śmiechami i drwinami.

Radziwiłł bez mała sam ze swoją partją pozostał.

W kilka dni potem za radą idąc swoich przyjaciół, choć wiedział, że go biskup do siebie nie dopusci, chciał zadość uczynić obyczajowi i nie Massalskiemu ale pasterzowi owczarni, do której należał, złożyć należne poszanowanie. Z wielkim więc splendorem udał się otoczony dworem licznym do pałacu biskupiego, który został zamkniętym, i oświadczone mu, że ks. biskup nie przyjmuje ani dziś ani jutro, a wkrótce nawet Wilno opuszcza dla objazdu dyecezyi.

Tyle tylko, że się ludzie przypatrzyli pańskiemu dworowi wojewody, który w takich razach z przepychem monarchicznym występował.

Na Antokolu, parę dni potem księżna się jeszcze dosyć ożywiona kręciła, bo Stolnik bawił i spodziewała się go widzieć. Ale ją w tem zawiodła nadzieja, gdyż nie mając tu co robić, Poniatowski z wujami razem stolicę opuścił.

Wyjechała zaraz za nim pani wojewodzicowa



Mściławska, opuściło Wilno osób wiele i hetmanowa już tu nie miała co robić.

Hetman pod rozmaitemi powodami wyjazd swój ociągał, bo mu się do Wysockiego nie chciało. Z Radziwiłłem nie widzieli się wcale przez dni kilka.

W tem, gdy księżna Sapieżyna, najmniej się tego spodziewała, bo książę wojewoda mało kogo odwiedzał, w czasie niebytności hetmana w domu, przyjechał książę wojewoda z uszanowaniem.

Nie przyjąć go nie było można, gdyż powozy gości, a było ich tego dnia dosyć, świadczyły, że z domu nie wyjeżdżała. Załamała ręce zniecierpliwiona, ale nawykła była *faire bonc minc à mauvais jeu*.

Książę, który jej nie cierpiał, choć na pozór grzeczność czynił, w istocie nie mógł progu przestąpić, ażeby nie pomyślał czem dokuczyć jej potrafi.

Pań otaczało hetmanową około dziesiątka, było i ichmościów prawie tyleż, a między innemi i Toločko.

Zobaczywszy kareta i paradny cug wojewody, przystąpił do hetmanowej po cichu jej oświadczać, iż księcia bawić i gospodarza wyręczać nie będzie, gdyż z wojewodą są na noże.

— A gdybym ja rotmistrza pięknie prosiła?—spytała Sapieżyna.

— Jabył jeszcze piękniej odmówił — rzekł Toločko, który się pośpiesznie pokłonił i wszedł po za kobiety. Na młodego więc Lubomirskiego spadło u boku hetmanowej, czynić honory domu.

Radziwiłł był po śniadaniu, a choć mu świeże powietrze trochę chmielu odjęło, miał go dosyć aby się grubowato trzymać i prawie co ślina do gęby przyniesie.

Wszedł tak książę poufale, nie śpiesząc witać hetmanową, jakby go ona niewiele obchodziła.

— Czołem pani Magdalenie, zawołał w końcu podszedłszy i uśmiechając się—a cóż ci to jejmość dobrodziejka męża bez opieki wypuściła? Gotów co

zmalować... a do niańki nawykły... to mu o swej mocy nie dobrze chodzić!

Zarumieniona mocno hetmanowa, szukała chwilę odpowiedzi.

— Al—odparła—co się tam książę troszczysz o hetmana, myśmy się tu ciągle o drogie zdrowie wasze niepokoiłi... Bo na wojnie lada kto z kąta może strzelić.

— A gdzież to pani hetmanowa wojnę widziała?— spytał Radziwiłł—siadając nieproszony, choć gospodyni stała.

— Gdzie? wszędzie jej było pełno, nawet w kościołach!—odparła Sapieżyna.

— Myśmy o niej nie wiedzieli—zamruczał książę.— Gawieź i ciury trochę sobie czupryn namordowali... ale im odrosną.

— Oficerowi Fleminga pono życie nie wróci—zawołała złośliwie księżna, która wiedziała, że książę o tem słuchać nie lubił.

Radziwiłł ruszył ramionami.

— Jeżeli to prawda, że tam Niemca jednego uśmiercił parobek jaki, to szkoda, że się nie dostało lepiej Flemingowi samemu.

Obejrzał się dokoła po paniach.

— Cóż księżna tu też Trybunał fundujesz?

— A jakże! — zawołała Sapieżyna. — Wybieramy się sądzić wszystkich złych mężów.

— To chyba żaden się nie ostoi, krom ślepych— rzekł książę, a czemu ich karać będziecie? gdzie będzie *fundum* i wieża?

Sapieżynie, która w duszy gniew burzyła, sprzykrzyły się już żarty książęce.

— Mamy i my swoje tajemnice, których nie wygawiamy nikomu—odparła żywo.

Wojewoda głową poruszył, rad był jej czem dokuczyć, a nie miał nic boleśniejszego nad wspomnienie młodego Brübla, którym ją prześladował zawsze.

— Miałas jejmość świeże kresy z Warszawy? — zapytał.

— Sądzę że książę masz pewnie lepsze i pewniejsze ztamtąd wiadomości — zaburczała hetmanowa, przeczuwając do czego to zmierza.

— Ja? a zkadżeby? Jejmość sobie zaskarbiłaś względy pana generała artylerji, a przez niego i do pierwszego ministra i do króla droga najprostsza. Spojrzał ku niej, ale znalazł ją zimną i wcale nie zmięszaną.

— Z Warszawy mi piszą, że z księcia nie kontenci., — rzuciła Sapieżyna — spodziewali się że księcia kanclerza pan wojewoda zmoże, a tu się okazało, że on góra!...

He? — zapytał wojewoda — góra??

— A tak... przecież oni ekskomunikowali W. Ks. Mość w kościele... zawołała hetmanowa, a książę ich nawet nie śmiałeś w kardynałji..

Wojewoda zmiarkował wreszcie, że z hetmanową na języki nie wyjdzie zwyczajko sapnął mocno obejrzał się i rzekł.

— Żebyś asińdzka choć szklanką wody mnie przyjęła? pić mi się chce.

Hetmanowa skinęła na kamerdynera.

— Wody dla księcia! zawołała...

— Juści z winem, albo też i samego wina, odparł wojewoda — jeżeli co jeszcze po fundacji pozostało, bo u mnie — pasz...

— A to chwała Bogu, przerwała Sapieżyna, bo mi choć raz może mąż teraz powróci bez bólu głowy od księcia.

— He? he? rozśmiał się wojewoda — a asińdzce się zdaje, że jego od mojego wina głowa boli? Jako żywo... nosi on na niej ciężar wielki, co za dziw iż zdrów nie jest...

Dwuznacznik ten na twarz bladą hetmanowej, wywołał rumieniec. Podano tymczasem na tacy wino i wodę...

Kamerdynier ujął flaszkę z wodą.

— Daj że ty mi pokój z tem paskudztwem, w którym gęsi... nogi myją... nalej wina, za zdrowie hetmanowej.

To mówiąc powstał i kielich duszkiem spełnił.

— Widzę, że się hetmana nie doczekam — rzekł ocierając usta. — Zatem stopy całuję...

To mówiąc, zawrócił się już nie patrząc na gospodynię, która go milczącym dygiem pożegnała szydersko, swobodnie, zwolna pociągnął nazad do ganku, dokąd go młody Lubomirski przeprowadzał. Do niego się nie odezwał ani słowa. Dworzan dwu pod ręce go ujawszy pomogli się do karety.

W salonie księżnej przez czas jakiś panowało milczenie — księżnie się jeszcze twarz paliła od gniewu. Panie, które mimowolnie słuchały rozmowy, nie wiedziały czem teraz zatrzeć jej wrażenie, gły hetmanowa się odezwała.

— Nie mam szczęścia do księcia jegomości... Zawsze z sobą wojnę prowadzić musimy.

Sceny tej, choć zdaleka, i pauna Aniela była świadkiem — a wykwintnej i sentymentalnej panience, sławny książę wojewoda nie podobał się wcale.

Nie wiele zrozumiała z rozmowy, ale po głosie uczuła, że jej protektorka i wojewoda nie byli z sobą w najlepszych stosunkach.

Nigdy sobie nie wyobrażała, aby w świecie, do którego należał najpotężniejszy magnat na Litwie, taki ton i obejście się uchodzić mogły...

Miałaż się dziwić, że w domu matki obcesowo i grubiańsko czasem znajdowała się mała szlachta — gdy Radziwiłł i księżna tak sobie wydrapywali oczy przy ludziach?

Zadumała się mocno... gdzie miała szukać tego wykwintnego towarzystwa, za którym dusza jej tęskniła?

---

Nieszczęśliwym się mógł nazwać król August III, taka go piekła żądza powrócenia do Drezna, a nielitościwy minister Brühl, który robił z nim co chciał i zawsze umiał gniew pański od siebie odwrócić, pod rozmaitemi pozorami nie puszczał.

Niekiedy płakał rozczulony cierpieniem pana swojego, tak pragnął go zaspokoić, lecz, tysiące drobnych przeszkód powrót tamowało.

Niemal codzień stęskniony kilkoletniem oddaleniem od swojej najmilszej stolicy, od swych obrazów, od swej opery—król pytał nieśmiało.

— Brühl, kiedyż my pojedziemy do Drezna?

Naówczas minister białe ręce łamał, padał mu do nóg i zaklinał go, aby był cierpliwym. Polaków niespokojnych odjechać tak nie było można, trzeba było na czas oddalenia, jakiś sposób obmyśleć aby Czarторыscy przeciw najlepszemu panu niepodburzyli umysłów... Zaklinał o cierpliwość jeszcze.

Przyczyną zaś zwłoki było, że należało spustoszoną Saksonję tak na pozór urządzić, ażeby się wydawała nie zupełnie zniszczoną, tak jej usta zamknąć, aby się na zdzierstwo nie skarżyła, a ludzi tak rozstawić, aby tylko przyjemne wrażenia spotykał August powracający, zwycięzki!!

Brühl bowiem umiał mu wmówić, że z wojny tej wyszedł zwycięzko. Trzeba było dać czas Dreznu, aby wycieńczone, znędzniałe, na pół wyludnione, trochę choć odżyło nadzieją pokoju i lepszej przyszłości.

Król niemal z pokorą błagał litości w końcu, minister ciągle obiecywał, a ciągle spełnienie gorących życzeń przeciągał.

Potrzeba było takiej znajomości charakteru Augusta, takiego doświadczenia w wyborze środków do łagodzenia go i zajęcia, jakie miał Brühl, ażeby przez czas dosyć długi umieć odwleć podróż i nie zniechęcić do siebie.

Fundowanie Trybunału służyło też Brühlowi, bardzo skutecznie do utrzymania króla w Warszawie. Takich Trybunałów, o które walki prowadzono, wiele już widziała cała Rzeczpospolita, nie był ten żadną nowością; ale Brühl umiał go królowi przedstawić, jako wyjątkowo groźny i pełen znaczenia.

Zwiększał moc i zręczność w postępowaniu Czar-toryskich, spisków znaczenie, które oni kluli w Peters-burgu, potrzebę zasłonięcia się potęgą Radziwiłłów, która króla nie miała kosztować. Wszystko wiadomości przychodzące codzień z Wilna, rozdęte, powiększone, komentowane wedle potrzeby, służyły Brühlowi do utrzymania króla w stanie wyczekiwa-nia... nie dając mu się pogniewać. Brühl bowiem nie tu winien nie był, a wszystkim nadzwyczaj zręcznie kierował. Minister umiał na swą korzyść wytłumaczyć wszystko... sobie przyznając władzę, której wcale nie miał.

Fundowanie Trybunału uległo w Warszawie, w redakcji ministra, przeradzało się w inny romans, w którym role jasne grały osoby miłe jemu, a czarne jego nieprzyjaciele.

Kazano się N. Panu spodziewać najnieszczęśliwszego rezultatu, który miał Czar-toryskich pokonać, odjąć im meztwo i złamać. Książę wojewoda miał w interesie króla otrzymać na Litwie moc nieograniczoną.

Król lubił księcia wojewodę, znajdował go bardzo miłym, bardzo mężnym, bardzo przywiązany do dynastji Westinów, a nawet przemądrym politykiem.

Gdy August dowiadywał się czasem o jakim zachwałym, a niezgrabnym wybryku księcia, tłómacząc go mówił.

— Przebiera się on za niedźwiedzia ale w nim siedzi Macelinvel? Nieprawda Brühl?

Brühl potakiwał zawsze.

Donosił biskup kamieniecki i kasztelan połocki królowi, wprost o staraniach pojednania, ale listy ich wprost nie dochodziły do króla.



Zarządzonem tak było, że żadne pismo, jak żaden człowiek, do króla nie dochodziło bez pośrednictwa ministra.

Król przekonawszy się nieraz, iż to co się przekradało do niego zawsze go tylko nadaremnie zgryzło, nie napierał się wiadomości, nawet gdy ich był najmocniej spragnionym.

Brühl miał w Wilnie swoich sprawozdawców, którzy umieli rzeczy tak malować, jak mu było potrzeba.

Zwykle w nocy przychodziły kresy, zrana je Brühl przeglądał i układał *ad usum Regis*. Heroicznie a nader łagodnie wyglądał w nich wojewoda, jako gwałtownicy i warchoły Czartoryscy i ich sprzymierzeńcy.

Król się nikomu nie dziwował, bo Polaków wszystkich niemal miał za duchy niespokojne, krom podskarbiego Fleminga, ale według Brühla, nad nim przemoc wywierali taką Czartoryscy, że nawet córkę jedynaczkę wkrótce wydrzeć myśleli. I król nad nieszczęśliwym bolał podskarbin.

Można sobie wyobrazić, jak w doniesieniach ministra wyglądało traktowanie o pokój z Czartoryskimi. Radziwiłł wspaniałomyślnie wszystko chciał przebaczyć, podawał ręce obie do zgody, przystawał na wszystkie warunki, nadaramnie.

Czartoryscy go uwodzili... i nastawiali na upokorzenie jego i zgubę.

Oni to zmusili Radziwiłła do ściągnięcia wojsk na swoją obronę, bo się chcieli posłużyć przeciwko niemu wojskiem cesarzowej.

August rozczulał się nad losem wojewody, nad jego umiarkowaniem, taktem, ofiarnością.

Zaciekawiony jak dramatem, król z dnia na dzień wyczekiwał nowych perypecij, zawikłań i z trwogą pytał ministra wieczorem, co jutro przyniesie?

Brühl śmiało zareczał, że zwycięstwo zostanie po stronie tej, która w obliczu Boga zasłużyła na nie.

Kapelan potem odprawiał mszę na intencję Radziwiłła, na którą minister przychodził, dla króla zawsze będąc katolikiem, i czekano dni następnych.

Zerwanie układów tragicznie opisano królowi i dopiero potem poczęły się opisy tryumfów Radziwiłła, uciśnionego, exkomunikowanego przez Massalskich spotwarzzonego w sposób najnikczemniejszy.

— Tandem bona causa triumphat! wołał Brühl.

Król swobodniej teraz oddychał. Nieszło mu o Trybunał, ani o wymiar sprawiedliwości, ale o to, aby jak najprędzej mógł wyjechać do Drezna.

Brühl powstrzymywał jeszcze, ale już czyniły się przygotowania, naznaczony był dzień.

Tymczasem z Saksonji donoszono o niedokończonych restauracjach, mianowicie teatru, który miał służyć potężnie do odwrócenia uwagi króla od jęków wyniszczonej Saksonji. Galerja też z Königstejnu przywieziona jeszcze nie była rozwieszona.

Naostatek łowiectwo królewskie, nie było w stanie takim, aby mogło dawne, świetne przypominać czasy.

Cały etat myślistwa J. K. Mości składał się z dwóchset do trzechset ludzi, łącznie ze starszyzną, stojącą na czele. Saskie łowiectwo pod naczelnikiem Jägermeisterem najwyższym dworu hrabią Wolfersdorf, liczyło trzech landjägerów, czterech kammer łowczych junkrów tyluż, sześciu paziów i jeszcze stu różnych pomniejszych urzędników.

Oprócz tego było łowiectwo polsko-litewskie, także pod zwierzchnictwem Wolfersdorfa, ale z osobnym nad-formejstrem i mnóstwem różnych stopni myśliwych.

Tak zwane myślistwo *Parforce* podlegało zwierzchnictwu i komendzie hrab. Brühla, z naczelnikiem baronem Feulner, panami von Trützsetter i von Wehleu i t. d.

Nie brakło i sokolniczych.

Tych miał pod sobą hrabia Hrezan..., jednego ka-



pitana sokolnictwa, kamerjunkra, czterech sokolmi-  
strzów, ośmiu sokolniczych i sześciu posługaczy.

Wojna, przenosiny do Warszawy, skład nadworne-  
go myślistwa, mocno nadwyreżyły, a szło o to Brüh-  
lowi, aby król w niczem nie uczuł uszczuplenia, zu-  
bożenia.

Właśnie w tem ulubionym zajęciu najdotkliwiej  
mogła się dać uczuć strata. Przygotowywano więc  
ludzi, konie, psy tak aby August znalazł ten sam  
zbytek do jakiego był nawykły.

Brühl dłużej nie mógł już tu króla utrzymać. Jak-  
kolwiek był pewien swej władzy i przywiązania Au-  
gusta do siebie. Z Drezna uu donoszono, iż rodzina  
króla rozdrażniona przygotowywała się wystąpić  
przeciwko niemu do ojca. Potrzeba było osobistem  
swem nieodstępnem czuwaniem zapobiedz katastrofie.

Struna była zbyt naprężona i w końcu pęknąć  
mogła.

Trybunał stanął i spodziewano się, że spokojnie  
urzędować będzie.

Czartoryscy powrócili do domu, postrach wojny  
demowej zniknął. Chociaż następujący Trybunał piotr-  
kowski miał im do nowego wystąpienia w koronie  
dostarczyć okazji, przeciwko Potockim, których pro-  
wadził wojewoda kijowski, mający za sobą Brühla.

Ostatnie dni pobytu w Warszawie, chociaż ani na  
chwilę nie zmieszał się porządek rozrywek i zabawek  
królewskich, nie zachmurzyły czoła Augusta. Chodził  
pod wrażeniem tego co tu tracił, niespokojny co tam  
znajdzie, dokąd powracał.

Przed samym prawie wyjazdem nadbiegli posłańcy  
przynieśli Brühlowi dosyć dla niego niesmaczną wia-  
domość o tem, że Sapieha hetman polny z Radziwił-  
łem się niemal zupełnie rozbrała.

Księżna, jeżeli zerwania z nim nie życzyła sobie,  
przynajmniej za tem była, aby jej mąż nie wisiał  
przy Radziwille, jak mówiła, ale szedł i stał gdzieby  
się podobało, to jest gdzieby ona go postawiła.

Z dawnych przyjaciół i sług Sapiehy, najściślej z nim połączony przyjaźnią w młodości zrodzoną i późniejszymi losy, był generał adjutant buławy polnej Putkamer. Nie mówiliśmy o nim, bo się ów rzadko albo wcale nie pokazywał na pokojach samej księżny. Ona mu to darować tego nie mogła, iż Sapiezie małżeństwo z nią odradzał i uważała go za nieprzyjaciela.

Jakoż w istocie Putkamer jej nie lubił i unikał.

Próbowała go sobie pozyskać napróżno, a przekonawszy się, że tego nie dopnie, usiłowała z mężem poróżnić, a przynajmniej serce hetmana dla niego ostudzić.

Putkamer dumnie i wysoko się nosił, Sapiezie wiele w wojskowości dopomagał, bo ją rozumiał i żołnierz z niego był doskonały. Zresztą w towarzystwie opryskliwy, nieprzystępny, lekko sobie szanujący ludzi, więcej miał wrogów niż przyjaciół.

W czasie tego fundowania sądów Trybunałskich, Putkamer dla Sapiehy ciągle z nim był, zatem i do Radziwiłła uczęszczać musiał, choć go to nie bawiło, bo pijatyki nie znoził.

Uchowaj go Boże było zaczepić, bo jak rękę do szabli, tak język miał straszliwy.

Powiadają o zwierzętach dzikich, że niektórych z nich język tak ostry bywa, że gdy polizną z miłości swojego nadzorcę, to mu skórę język ich zuosi. Nie jednego tak Putkamer polizal.

W kardynalji raz po obiedzie wdał się z nim w dysputę Marcin Judycki, sędzia ziemski rzeczycki, młody człek, który sobie dobrze ufał. Putkamer go dosyć politycznie śmiesznym uczynił i poszedł jak zmyty.

Chciał się potem mścić za słowo, które wszyscy powtarzali, ale po trzeźwemu zmiarkował, że nie było za co, a porwanie się na człowieka szanowanego, na większe go pośmiewisko wystawić mogło. Zdawała się tedy rzecz ubita i skończona.

Księżna hetmanowa, poważniejszy z sobą braci

i hetmana miłość własną poruszywszy, a obawiając się aby czas dłuższy bawiąc w Wilnie nie dał się ująć wojewodzie, nagle zaczęła się zrywać do wyjazdu.

Zwierzył się hetman z tego Putkamerowi, bo by może miło mi było samemu tu pozostawszy bez żony, wypocząć i zabawić się.

Adjutant choć nie radził tego, wszakże skombinowawszy, że dla pokoju domowego lepiej było usłuchać hetmanowej, zrazu nakłaniał do wyjazdu, potem mięsząc się nie chciał, a gdy rzecz postanowioną została, sam też hetmanowi towarzyszył. Był więc w tem neutralnym.

Księżna postawiwszy na swem, bardzo była ucieszona, a, żeby mąż nie zmienił sentymentu, wyjazd przyśpieszała.

Tołoczko jak się tylko dowiedział, iż jechać potrzeba, uradował się tem bardzo, ale o swojej pieczęni nie zapominając, począł pracować nad tem, aby hetmanowa wzięła z sobą pannę Anielę.

Dawszy słowo raz, potem lubiąc się rozerwać towarzystwem ks. Sapieżyna na nowo mu to przyrzekła.

Prawdę jednak powiedziawszy strażnikówna, choć przystojna, układna i dla niej pełna poszanowania nie przypadała już jej do smaku.

Hetmanowa chciała raz jeszcze Tołoczkę wyrozumieć.

— Mój rotmistrzu—rzekła—dałam ci słowo nie cofam, postaram się o to aby Koiszewska, w której się tak rozmiłowałaś twoją była, ale powiedz ty mnie szczerze, wybadawszy siebie, czy ona ci jest tak konieczna do szczęścia potrzebna?

— Ja ci, słowo daję, dobrze życzę, i wyznam otwarcie, dziewczyna mi się nie bardzo podoba. Chce się jej damy jakiejś rolę grać, na którą nie jest pono stworzoną. Fumy wielkie, sentymentalna, a ty na gacha jesteś za stary, w pretensjach. Miarknij, czy ona dla ciebie, czy ty dla niej?

Posłyszawszy to rotmistrz w lament okrutny, ręce łamiąc, do nóg się schylając, błagając począł hetmanową konwinkować, że dla niego niema na świecie nikogo... oprócz panny Anieli.

Naśmiała się z niego hetmanowa—i rzekła.

— Zatem to rzecz skończona, pojedzie ze mną i będziesz ją miał. Daj tylko Boże abyś później tego nie żałował.

Tołoczko natychmiast poniegł do strażnikowej zabiegając, aby dla zyskania protekcji w procesie potrzebnej, córki nie odmawiała hetmanowej do towarzystwa.

Trafił na złą godzinę, bo się Koiszewska tą opieką nad nią rozciągniętą obrażoną uczuła. A że Bujwida chciała do córki, palnęła mu z góry.

— Jeżeli Anielka pani hetmanowej potrzebna, nie odmówię na czas, aby na jej dworze pozostała, choć mi to miłem nie jest, bo my swój kawałek chleba mamy i cudzych kątów wycierać nie potrzebujemy. Ale muszę przestrzedz pana rotmistrza, że jeżeli myślisz, iż Anielkę sobie pozyskasz, a mnie skłonisz, abym ją wydała za ciebie, to z tego nic nie będzie.

— Lubię być otwartą. Waćpanu nie uwłaczam, aleś starszy dużo od niej i wdowiec, a ja jej za wdowca wydać nie chcę.

Tołoczko pochwycony znienacka zmięsział się, i zamiast sprawę swą promować, wytłómaczył się iż nikomu się narzucać nie myśli.

Strażnikowej o wygranie procesu chodziło, ostatecznie więc gotową była zgodzić się na pobyt córki w Wysokiem, i gdy księżna Sapieżyna przyjechała po nią, ułożyło się wszystko łatwo.

Panna Aniela uszczęśliwiona wielce, iż w swoim żywiole czas jakiś przebyć spodziewała się, choć w Tołoczce nie bardzo smakowała, miała na widoku, że znajdzie młodszego i miłszego galanta.

Wszystkim więc stało się po myśli, chociaż hetmanowa zawczasu nad losem Tołoczki bolała. Naj-

szczęśliwszą może była panna Aniela, której się zda-  
wało, że z jej posażkiem, twarzyczką, trochę francu-  
szczyzny i figurką zręczną, kawalera we fraku i przy  
szpadzie dostać będzie łatwo.

Panna Szklarska na drogę jej dała admonicję, ale  
to był groch na ścianę.

— Anieleciu droga, powtarzała jej, ty masz zepsu-  
ty smak, podobają ci się fireyki. Ale na gacha, to  
jeszcze pół biedy, a na męża się nie zdali na nic. Ja  
jestem stara i niepowabna, a gdyby się o mnie taki  
w peruce galant starał, kijembym go od siebie precz  
odpedziła.

Otóż czego świadkiem panna Aniela być mogła na  
tym świecie polerowanym i tak wykwintnego oby-  
czaju.

Z Wilna wyjeżdżać jak do niego wjeżdżać hetma-  
nowi nie godziło się incognito, trzeba było okazać  
hetmańską fantazję, a choć już teraźniejszego Sapie-  
hy dwór nie mógł się równać z tych Sapiechów, kan-  
clerzów i hetmanów dworami, który na raz z sobą po  
kilkaset ludzi dla swej okazałości na koscie swym  
prowadzili; książę też musiał wyciągnąć z pewną  
pompą. Powozów szło kilka dosyć wytwornych.  
W jednym z nich jechała hetmanowa, na przedzie  
mając pannę Anielę, a obok siebie panią Połubińską,  
starościcę nowomiejską. Hetman jechał przodem,  
w karecie też, i chciał mieć przy sobie generała  
adjutauta Putkamera.

Putkamerowi zaś, że czas był piękny, a on konno  
i jeździć lubił i umiał, zachciało się dasiać dzianeta.  
Wymówił się więc, że dla wielkiej parady wystąpi  
konno.

Tak się stało.

Tołoczko też, żeby się przed panną, z tem popi-  
sał, iż koniem włada dzielnie, kazał sobie podać  
wierzchowca i ledwie mu wyperswadowali, że się jak  
na solenność jaką nie przystroił w łuk i kołczan po



staremu. Hetman, bojąc się śmiechu, buńczuka mu przed sobą nieść nie dał.

Jeszcze z miasta nie wyjechali, gdy na gościńcu spotykają Radziłłowską bandę powracającą z za miasta, ze śniadania, wszyscy popodechmieleni, a przodem wywija najlepiej poderżnięty pan Marcin Judycki.

Co mu się stało na widok Putkamera, pan Bóg wie? Wprost z koniem sady na niego, kańczukiem w rękę wywijając. Putkamerowi ani się śniło, ażeby go mógł zaczepić.

Wtem Judycki przypadłszy jak nie zacznie go po plecach tą pletnią, którą trzymał w rękę okładać. Nim Putkamer miał czas szabli dobyć, wygarbował mu plecy porządnie, konia spał ostrogami i poleciał.

Zawierucha się ztąd wzięła okrutna, bo i hetman z karety chciał wysiadać i jego ludzie za Judyckim gonić, ale Radziwiłłowskich nie było ani znaku.

Kobiety w krzyk i płacz, oprócz hetmanowej, która, że Putkamera nie lubiła, śmiać się poczęła.

Złożyli to potem na pijaństwo Judyckiego i że z niego oszalał... choć jako żywo, potem zdrowuteńki był. Hetman z pierwszego popasu list do wojewody ze skargą i z przycinkami na te jego pijaństwo, na rozpustę jego towarzyszków napisał własnoręcznie, bardzo ostry. Wątpić jednak można, ażeby ów doszedł księcia wojewodę, bo on naprzód listów nie lubił, nie czytał ich. Kazał sekretarzowi je rozpieczętowywać i rezolucje komponować. Sekretarz zaś, Judyckiego przyjaciel, pewnie skargę do kieszeni schował.

Putkamer głosił wszędzie Judyckiego za warjata i na tem się skończyło.

W czasie podróży tej wiosennej, Tołoczko ciągle asystowała pani hetmanowej i pannie Anieli, która otrzymawszy to, czego sobie życzyła, a niechcąc aby o Tołoczce rozgadywano, że się o nią stara, unikała go i odwracała się.

Nie miał więc wielkiej pociechy, ale że był cierpliwy i wytrwały, tem się do panny nie zraził.

Podróż była nie bardzo wesolą, zwłaszcza że w drugiej jej połowie deszcz ze śniegiem i burze wiosenne dokuczać zaczęły, Powozy się psuły, na popasach i noclegach wygody nie było, którą hetmanowa lubiła.

Z tego złe humory i kwasy powstawały. Hetman nie chcąc ich znosić pod pozorem, że mu pilno było, przodem śpiesznie ruszył, tak że żona drugiego dnia dopiero po jego przybyciu do Wysokiego nadjechała.

Tu pannę strażnikównę czekały różne niespodzianki.

Przy pani hetmanowej jak na wszystkich pańskich dworach, rezydentek różnej kategorii przebywało mnóstwo. W Wysokiem też liczono ich około dziesiątka. Wszystkie, rozumie się, szlachcianki, żadna więc sobie uchybić nie pozwoliła.

Pannie Anieli zdało się, że od nich była czemś lepszem i na większe zasługiwała względy. Naprzód więc zaraz pierwszego dnia, gdy jej dano mieszkanie z panną Szyszko, łowczego córką, bardzo się skrzywiła, pretendując mieć osobne. Wyszła na ganek i znalazłszy Tołoczkę poskarżyła mu się. Wiedział rotmistrz jak tu trudno co wytargować będzie, i że skarga źle usposobi hetmanową dla strażnikówny, ale pobiegł i kołatał aż dostał pokoić z jednym łóżkiem. Ale tu znowu było a ciasno a ciemno i wilgotno.

Panna płakała. Rotmistrz się jęczył i gniewał.

Wszystkie zaś rezydentki od pierwszego wystąpienia z panną Szyszko, spiknęły się na pannę Anielę.

Trudno powiedzieć, jak wiele dokuczyć można, na pozór nic nie czyniąc. Dostyc spojżenia, uśmiechu, ruszenia ramion, aby prześladowany w ten sposób uczuł się nieszczęśliwym.

Panna Aniela, która się tu takiego szczęścia spodziewała, znalazła się najbiedniejszą w świecie.

Dopiero hetmanowa to postrzegłszy, gdy ją litość wzięła, z pannami się rozmówiła i trochę zapobiegła aby strażnikównie pokój dano.

Nastąpił pokój wrzekomy. Z panien niektóre posłuszne a znające i przenikające hetmanowę, poczęły się zbliżać do panny Anieli, przypochlebiać jej, wyciągać ją na słówka. Dziewczę nie posądzając ich o chytrłość wywnętrzało się ze wszystkim i po kątach ją wyśmiewano, ale trochę była spokojniejsza.

Życie w Wysokiem, które ona sobie wyobrażała strumieniem rozkoszy, zabaw, muzyki, tańców, rozmów dowcipnych i wesołych, na miejscu się weale inaczej prezentowało.

Naprzód, mimo pozornej zgody między małżeństwem i miłości, życie ich było ciągłą walką i łataniem dla pokoju. Ustępował hetman tylko, bo ona póty się skarżyła i lamentowała aż na swoim postawiła.

Tych, których książę w domu lubił, sama pani nie znosiła i upatrywała w nich nieprzyjaciół, naodwrot kogo księżna protegowała, był hetmanowi podejrzany. Donoszono księciu na faworytów pani, jej na nłubieńców męża. Zwykle *modus vivendi* jakiś się znalazł i ciągnęło się z biedy, każde z nich na swoją rękę, ale gromadziły się rankory i potem niespodzianie następował wybuch. Księżna dostawała waporów i słabła książę musiał żałować za grzechy, przepraszać i koić.

Gości bywało dosyć ale nie takich, jakichby sobie panna Aniela życzyła.

O zabawach myślano rzadko. Książę, gdy chciał czas spędzić wesoło, wyjeżdżał do sąsiedniego folwarku i tam mężkie towarzystwo zapraszał na kawalerskie polowanie. Księżna miewała wizyty familji, przyjaciółek, zamykała się z niemi i nie przypuszczała nikogo.

Pozostawały wielkie świąteczne recepcje ceremonialne, niedzielne z kościoła nabożnych, zaprosiny na



objady i wieczorki dla fraucymeru, na które przychodzili do tańca wyżsi ofiejaliści i wojskowi.

Panna Aniela strasznie noskiem kręciła... tego, czego ona chciała, nie było wcale.

Dosłyszała, że fraucymer w ogóle pogardliwie traktowano i przezywano panny do niego należące, Łowczankami. Usiłowała więc wydobyć się z ogółu Łowczanek, jako panna strażnikówna trocka, ale niechciano tego rozumieć.

Miała nadzieję być powiernicą i przyjaciółką hetmanowej, a pobywwszy tu dni kilka przekonała się, że tego dostąpić nie będzie mogła.

Zyskała tylko, że ją czasem używała księżna do czytania na głos francuzkich komedij i do pisania mało znaczących listów, bo gdy poufne potrzeba było ekspedjować, pisała je sama, bez ortografji, niepoprawnie, lecz nie zwierzając ich nikomu.

Tołoczko prawie teraz nieopuszczał Wysokiego, zabiegając około panny Anieli. Pozbawiona wszelkich innych kawalerów i nadziei, przekładając go dla stosunków nad Bujwida, powoli strażnikówna oswajając się zaczęła z myślą, że mogłaby wyjść w ostatku i za niego.

Z domu swego obiecywała sobie uczynić rezydencją przyjemną, któraby dystyngowane towarzystwo przyciągała.

Ostrożna jednakże, w ostateczności dopiero gotową była zaspokoić się Tołoczka.

Wysokie, czasu pobytu obojga hetmanowstwa, choć miało pozór pański, dwór liczny, petentów i kljentów, oblegających je mnóstwo, dla oszczędności, bo w złych interesach był hetman, utrzymywano na stopie bardzo niewykwintnej dni powszednich, tak, że panna Aniela za swój miły grosz musiała sobie coś kupować na miasteczku, aby nie umrzeć głodem.

Przy gościach zbytek był czasem wielki, potem nagle taki wikt, że i na folwarku gorszym być nie

mógł. W ogóle ładu brakło, a nikt go zaprowadzić nie umiał.

Księżnej życie wydawało się bardzo czynne, choć nie robiła nic. Nie nadszedł dla niej jeszcze ten wiek, gdy nabożeństwo zastępuje wszystko. Hetmanowa chciała być młodą i ładną i była nią jeszcze, ale nie taką czarującą jak w pierwszej młodości, gdy dla niej wszyscy głowy tracili.

Zabawiała się więc jak mogła, naprzód pisanien listów, intrygami politycznymi i komerażami, naostatek haftami, do których u krosien zasiadało mnóstwo ubogich dziewcząt, a te dla niej całe suknie, płaszcze, białe hafty i na jedwabiach kolorowe wyszywały.

Sama hetmanowa rysunki wynajdowała, kolory dobierała i komponowała te cuda, którei potem stroje jej się odznaczały.

Panna Aniela, której do pomocy w tem zażyć chciała, okazała się zupełnie niezdolną. W jej przekonaniu były to rękodzieła, których szlacheckie pa-luszki dotykać nie były powinny.

Do stołu, choćby gości nie było, i rzadko się dzień trafił, aby ktoś nie przyjechał, zasiadało osób przynajmniej dwadzieścia kilka. Ale tu rozmowy bardzo trywjalne toczyły się w polskim języku i przypominały rubaszością Bujwida.

Księżna hetmanowa była zalotną i sentymentalną, miała zawsze kogoś w myśli i sercu, ale na oko surowszej nad nią nie było. Im sobie więcej pozwalała może, tem dbała mocniej o to, ażeby zachować w tajemnicy... serdeczne stosunki.

W czasie wielkich uroczystości kościelnych, surowo pilnowano, aby dwór się od nich nie uwalniał i do kościoła uczęszczał. Panna Aniela też była zmuszoną siedzieć z książką godzinami na nabożeństwach.

Słowem utrapień w tem życiu było mnóstwo, a rozrywek i zabaw bardzo mało.

Nie śmiała się skarżyć o to nawet przed Tołocz-

ką, który na osłodę tej egzystencji tyle tylko mógł, że cukierki wykwintne, czekoladę i przysmaki różne przywoził.

Po nocach biedna Strażnikówna łzami się załewała.

---

Nie poszczęściło się pannie strażnikównie w Wysockiem, ale nadto była dumna, aby się do tego przyznała, owszem, umiała wesolą przybrać postawę i nie okazać po sobie ani księżnie, iż się tu we wszystkim zawiodła. Jeden Tołoczko wiedział co o tem trzymać.

Ten biedaczysko, do panny się coraz więcej przywiązując, popadł przez to w niewolę i mógłby był narzekać na nieopatrność własną, że się tak dał zakuć, ale miłość mu wszystko słodziła. Panna w duszy się z niego śmiała, ale go nie zrażała, aby mieć choć jednego sługę na rozkazy.

Ale nikt na tem nie wyszedł lepiej nad panią hetmanową, która nigdy Tołoczki na usługi swe tak wylanym nie miała jak teraz, gdy się od niej i przez nią ręki Anieli spodziewał.

Hetmanowa miała interesów mnóstwo, które jej zastępowały miłostki dawne i intrygi romansowe, a do tych Tołoczko ciągle był potrzebny.

Mogła się nim posługiwać jak chciała, ani mruknął. Nawet w potrzebach swych pieniężnych, gdy bez wiedzy hetmana pożyczkę zaciągnąć na prosty oblig była zniewolona, Tołoczko musiał albo sam dać lub kapitalistę znaleźć, któryby bez zastawu, bez wnoszenia do akt dokumentu, pieniądze chciał wyliczyć.

I hetman polny i sama pani, oboje tkwili w tej wojnie domowej, która kraj na dwa obozy dzieliła. Księżna na oko z mężem zgodnie, on zaś wedle wska-

zówek postępując jakich mu ludzie przebieglejsi dostarczali.

Z Radziwillem na bakier będąc nie zrywał całkowicie hetman, owszem po tej stronie stał niby, i jej dopomagał, choć ona księciu wojewodzie najgorzej życzyła i cieszyłaby się z jego upokorzenia.

Do Czartoryskich ciągnęła ją potajemna miłość ku stolnikowi litewskiemu, która już zwolna obojętnością jego w nienawiść się zmieniać miała.

Radzono coś ciągle, knowano, przygotowywano, bo zwyciężywszy w Wilnie, potrzeba było w koronie ustalić tego stronnictwa królewskiego przewagę, tak samo w piotrkowie niedopuszczając Czartoryskim Trybunału mieć swojego.

Zjeżdżano się na konsylja i konferencje to w Białymstoku u hetmana w. koronnego, to w Nieświeżu.

Z osób nawet wyżej stojących, wiele było, jak hetman niepewnej barwy.

Posądzano Massalskiego hetmana litewskiego, który miał urazę jakąś do kanclerza, że i on gotów był odstąpić go... byle mu nieco bębenka podbito.

Najdziwniejsze było położenie hetmana Branickiego, który z Czartoryską żonaty, przeciwko familji stawał, a pani hetmanowa milcząca i skryta, sercem była z nią i mówiono, że potajemnie ztąd o wszystkim donosiła do Wołczyna.

Ponieważ Sapiechę po kilkakroć Branicki zapraszał i wzywał do siebie, a i hetmannwa pałała żądzą odwiedzenia Białegostoku, ułożono się, aby przed św. Janem i imieninami, na których być musieli, odwiedzić hetmana i przypomnieć mu się.

Oboje państwo w chęci zrobienia tej wycieczki zgodni byli, Sapieha sam wniósł, że do boku swego weźmie rotmistrza Tołoczkę. O pannie Anieli wcale mowy nie było, ażeby jechać miała, ale rotmistrz życzył być z nią, aby korzystać z podróży, dającej okazję przybliżenia się, poczał więc molestować księżną, aby strażnikównę zabrała z sobą.

Wielkiej ochoty do tego nie miała księżna z przyczyny, do której sama sobie może się nie przyznawała.

Oto świeższa twarzyczka młodej panienki jej płeć malowanej i podrobionym rumieńcom krzywdę czyniła. Naśmiewszy się i nadrażniwszy rotmistrza w końcu zgodziła się pannę zabrać z tym warunkiem, aby suknie i ubiory dla wystąpienia na świetnym dworze Białostockim wstydu jej nie uczyniły.

— Strażnikowa skąpa jest—powiedziała Tołoczce, jedynej córce żałuje na sukienki, ja zaś, szczerze ci powiadam, i grosza na wyrzucenie nie mam i obdarczać dziewczyny mającej nie widzę potrzeby, postarajże się, aby ubrać się w co miała, bo choćbyśmy pojechały do Białegostoku, na pokoje jej ładajako, po parafiańsku wystrojonej, nie wezmę.

Niepodobna odmalować i tej radości i tego strachu, jaki przejął pannę strażnikównę, gdy się o wyroku na siebie ferowanym dowiedziała. Natychmiast umyślnego u Tołoczki uprosiwszy, napisała do matki, zaklinając i prosząc, aby choć ten jeden raz jej błaganu uczyniła zadość.

Garderoba strażnikówny, jak na Białystok, bardzo była skromną.

Właśnie pod ten czas rezydencja hetmana wielkiego była w całej Polsce najświetniejszym dworem cudzoziemską modą wykwiśniętą i przepychem słynącym.

Był Białystok dobrego tonu i francuszczyzny stolicą. Życie na wielkiej stopie, bez jutra, płynęło tu jednym strumieniem zabaw, rozrywek i popisów pańskiej wspaniałości.

Przyjaciele hetmana marzyli nawet, iż po Augustie III, którego zdrowie zdawało się ohwiać i niedługie obiecywać życie, nie kto inny jak on zasiądzie na tronie.

Marzenie o tem pono i Branickiego upajało. Żył też zawczasu po królewsku. Przez żonę zbliżony był



do Czartoryskich których mało spodziewał się mieć za sobą.

Małżeństwo to nawet było na owe czasy, nawet w tej sferze, w której polityka, rachuba, chciwość je zawierają, jednym z najosobliwszych.

Hetman był już w wieku podeszłym, choć jeszcze życia pełnym i trzymającym się świeżo, księżniczka mu przeznaczona młoda, piękna, wykształcona i godna wielkiego losu.

Spodziewano się, że go zawojuje z łatwością, rachowano na to, tymczasem hetman wystygły już, zobojętniały, oczarować się nie dał. Z wielkim poszanowaniem obchodził się z żoną, dał jej swobodę wielką, nie okazywał nawet zazdrości, ale nie dozwolił okiełznać.

Małżonkowie po niejakiem czasie pozostali z sobą na stopie grzeczności, galanterji i zupełnego zobojęnienia.

Generał Mokronowski, domownik hetmana, nie było to już tajemnicą, pozyskał serce pani.

Z mężem nic już nie łączyło opuszczonej, na dworze Białostockim była obcą i samą, serce więc ciągnęło ją ku swoim, a szczególnie do brata stolnika. Wszystko co otaczało męża, było jej nienawistnem. posądzano więc ją, że o wszystkim co się tu działo, dawała różnemi sposobami znać do Wołczyna. Mokronowski wierny, służył do czego tylko chciała za pośrednika.

Nie przeszkadzało to Białostokowi bawić się, bankietować, wyprawiać fety świetne w Choroszezy, zapraszać na bale, na których piękna uroczu, powabem smaku otoczona pani hetmanowa królowała.

Branicki tyle miał do wyrzucenia samemu sobie, tyle winy ciążyło na nim, iż nie miał prawa niczemu ze strony żony się obrażać, jej świat wybaczal przywiązanie do Mokronowskiego, bo on sam osobiście zasługiwał na nie, a okoliczności uniewinniały oboje.

Dwór, towarzystwo tutejsze, sposób życia, słynący

w całej Polsce, każdy był ciekawym bliżej je poznać... nie dziwna więc, że biedna strażnikówna żądała tę pałacą aż do suszenia na tę intencję i modlitw natrętnych.

Umyślny posel pobięł do matki i odpowiedź przywiózł pomyślną, chociaż strażnikowa prosiła córkę, aby ta jej zachcianka była ostatnią.

Panna Aniela zapewniła Tołoczkę, iż się za nią hetmanowa wstydzić nie będzie, przygotowywała się do podróży, spodziewała się, że Sapieżyna zechce widzieć jej stroje, lecz hetmanowej ochota odeszła i ani spytała więcej o to.

Miała daleko większą troskę jak stosunki męża zabezpieczyć i nie dopuścić, żeby się ani zbyt wiązał przymierzem, ni narażał chłodem.

Chodziły pogłoski, iż się tu i hetman wielki litewski miał znajdować.

Sapieżyna dbała o honor domu i o znaczenie męża, chciała stać na straży, aby go nie lekceważono.

Upojona swem szczęściem wyjechała panna strażnikówna, a w wyobraźni jej rezydencja hetmana czemś się czarodziejskiem wydawała. Obiecywała sobie nowy świat, nowych ludzi, ideały. Jej przeznaczenie widocznie ją tu wiodło, ku jakiemuś tajemniczemu losowi, tam ją coś czekać musiało, młodzieńiec nadzwyczajnej urody, wielkiego imienia, ogromnych posiadłości pan, padał przed nią zachwycony... i uprosiwszy u matki błogosławieństwo, prowadził do ołtarza.

Śniło się to pannie strażnikównie, ale połowa przynajmniej marzeń ziściła się w rzeczywistości. Pałac i ogrody, pokoje z wytwornością i smakiem wielkim przyozdobione, uczyniły na niej wrażenie. Z dzieciinną ciekawością i wrażeniem przypatrywała się wszystkiemu, uśmiechała do tych wspaniałości nieoglądanych... nigdy w życiu.

Zdała i ludzie, którzy przepełniali te sale, postrojeni, obwieszeni wstęgami i gwiazdami, ludzie, któ-

rych peruki wydawały woń fioletów i lilij, okryci koronkami, błyszczący od brylantów, wydali się jej istotami nadziemskimi... a panie i panny w rogówkach, na których drapowały się mieniające barwami tęczy jedwabie, upokarzały skromne cheć wytworne niby ubranie. Uczyla się patrząc na te nimfy i sylfidy... jak miała uśmiechać się i chodzić.

Z początku nawet tak ją zajmowało przypatrywanie się temu obrazowi, że zapomniała o sobie i nie tęskniła za tem, czy sama w nim jakąś odegrała rolę.

Później jednak oko jej zaczęło szukać kogoś, coby jej choć najmniejsze okazał zajęcie, współczucie. Napróżno, przechodzący spoglądali obojętnie i nikt nie zapytał o strażnikównę trocką.

Los tylko gdy szli do stołu nastreczył jej nieznanego, który przybliżywszy się (a był po francuzku ubrany) z uśmiechem podał jej bardzo zgrabnie w kablak wygiętą rękę i poprowadził do stołu.

Kilka słów przemówił w czasie podróży do miejsca przeznaczonego, piękną wcale francuszczyzną, i znalazłszy nie bez trudności krzesło u stołu, sam wyrzec się musiał zajęcia miejsca przy niej, gdyż kobietom musiano ustępować.

Wejrzeniem pełnem wdzięczności podziękowawszy mu, panna Aniela usiadła pomiędzy dwoma paniami, które na nią dosyć drapieżnie spoglądały.

Jedna z nich przecie, grzeczniejsza, rozpoczęła rozmowę i okazała się znajoma pani strażnikowej. Rozmowa więc dalej szła już dosyć poufale.

Pani starościna wskazywała Anieli osoby, czasem trochę złośliwie komentując ich znajdowanie się w Białymstoku.

Panna Aniela uśmiechała się, słuchała, uczyla, a nie zaniedbała też oczyma szukać tego młodzieńca, który ją prowadził do stołu. Nie przyszło jej łatwo go odkryć w tłumie gdzieś, w kącie przy małym stolicku, w towarzystwie mężczyzn, co umiała sobie wy-



tlómaczyć tem, iż poufałym być musiał u hetmana, albo może jego powinowatym.

Uczta wykwintna trwała nadzwyczaj długo. Pod koniec jej, porządek był zmieszany, część mężczyzn pozostała w sali jadalnej, a panie do innej przechodzić zaczęły. Panna Aniela po oddaleniu się starościnej, już chciała niespokojna sama przeszliźnąć się za innemi, gdy towarzysz jej wierny znalazł się przy boku wczas, podał rękę i z wesołem bardzo usposobieniem, rozpychając stojących na drodze, poprowadził do rzęsiście oświeconej sali z chórami, na których już odzywała się pełna życia muzyka.

Serce biło mocno pannie Anieli.

To być musiał ten mąż przeznaczenia, ten wymarzony jej towarzysz w przyszłości.

Zaledwie odprowadziwszy ją do krzesła znowu, pokłonił się, gdy sądziła, że się przy niej zatrzyma... i zniknął.

Natomiast prawie w tej że chwili ujrzała przed sobą pana Buńczucznego.

Ten także był bardzo ożywionym po uczcie i uśmiechał się wdzięcznie z pod siwiejącego wąsa.

— Niech mi panna strażnikówna daruje, że ja jej do stołu służyć nie mogłem—rzekł.—Hetman mi narzucił panią starościneę Ponikwicką i musiałem z nią iść w parze. Szczerściem, że mnie francuz wyręczył.

— Francuz?—żywo zapytała panna Aniela.

— A francuz—odparł Tołoczko—i wielki ulubieniec pana hetmana, domownik jego od lat kilku.

Panna o inne szczegóły pytać się nie śmiała, aby zazdrości w rotmistrzu nie obudziła, ale Tołoczko zdawał się na ten raz cierpliwym.

Francuz, domownik, przyjaciel, ulubieniec hetmana, zapewne wysoki stopień w hierarchji wojskowej zajmujący. Markiz może lub hrabia, mówiła sobie panna Aniela... i serce znów żywiej jej zabiło.

Tołoczko teraz zamiast cudzoziemca tego wziął ją do polskiego, a choć to był odbijany i panna Aniela

poszła od jednego do drugiego, całym szeregiem nieznaucy jej mężczyzn, spodziewając się że los znowu jej do tego francuza, nie zbliżał się już do niej. Później przywoływała go nawet wejrzeniami, pełnemi znaczenia, ale francuz nieczułym na nie pozostał.

W obejściu się jego było coś dziwnego, musiał to być w istocie jak mówił Tołoczko, domownik a może powinowaty hetmana, bo sam mało się bawił, ale czuwał nad drugimi, aby się zabawiali.

Biegał, prowadził, zapoznawał, częstował, dobierał pary do tańca, a sam nie tańczył, chyba chwilowo kogoś zastąpić było potrzeba. Naówczas z wielką gracją występował i chował się szybko do kąta.

Panna Aniela widziała w nim, tajemniczą jakąś istotę.

Tańce się przeciągnęły bardzo długo.

Strażnikówna nie miała szczęścia w nich, mało ją zapraszano i sama widziała, że wśród tylu postrojonych pań, szczególniej mężatek z fryzurami kunsztownymi na głowach, z brylantami i perłami na szyjach ona w skromnym swym stroju, bez klejnotów, nic robiła żadnego wrażenia.

Tołoczko miał zbyt wiele tego wieczoru obowiązków ażeby się mógł cały pannie Anieli poświęcić. Hetmanowa kazała mu pilnować aby męża jej nie upojono.—Sapieha go posyłał do różnych osób, z którymi się rozmówić pragnął w sprawie przyszłego Trybunału naostatek i hetman się do niego zwracał nieraz. Zabiegał więc tylko gdy mógł, przynosząc limonady, ciastka i cukierki, czuwając nad swym skarbem, który w końcu znudziwszy się i zdesperowawszy, prawie już drzymał.

Najboleśniejsem jej to było, że owego grzecznego francuza przywabić do siebie nie mogła. Oczy jej zawód zrobiły, traciła ufność w siebie.

Rotmistrz zapytał czy tańczyła, odpowiedziała kwaśno, iż nie miała znajomości i zapewne z tego powodu nie zapraszano jej do tańca.

Z tem odszedł Tołoczko, a że był, choć w litewskiem wojsku, ale Buńczuczny hetmana i miał stosunki, przyprowadził jej trzech towarzyszków kawalerji narodowej pp. Merłę, Puzyra i Oporkotowicza. Imiona te, wcale niearystokratyczne niepodobaly się pannie strażnikównie, ale chłopcy bardzo młodzi byli, ochoczy, weseli, ale cóż?? u hetmana który był sam na w pół francuzem, dla niej się dobrali, tacy, z których żaden nieumiał po francuzku, a wszyscy przypominali rubasznoscią Bujwida.

Z tem wszystkiem Oporkotowicz przypadł jej do smaku, choć bez francuszczyzny.

Pod koniec wieczora, hetmanowa mając się usunąć do zabawy, posłała Tołoczkę po pannę Aniłę, który ją do niej przyprowadził.

Po drodze spotkali francuza, ale był mocno zajęty.

Pannie Anieli ebciało się dowiedzieć kto ów był, zwróciła się dosyć zręcznie do Tołoczki, śmiejąc się z tego, iż ów jegomość co ją miał odwagę prowadzić do stołu, nie ośmielił się jej prowadzić do tańca.

Miał rozum—rzekł rotmistrz krótko—bo do stołu gdy zabrakło kawalerów to co innego, lepiej on niż żaden, a do tańca!!!

— Dla czegoż nie mógł prosić do tańca?—zapytała panna Aniela.

— Nie wypadło mu—odparł Tołoczko.

— Dlaczego?

— No, a już ciż ze względu tego kim jest.

— Jak to? a któż on jest? pan mówileś, że tak jak domownik bawi w Białymstoku i hetman go lubi.

— Szczera prawda—potwierdził Tołoczko.

— Któż on jest?

— Asystuje na wszystkich balach, dokończył rotmistrz — mówią nawet, że szlachcie, ale tymczasem tylko mistrz do tańców. Kawaler d'Ormont.

Panna Aniela zbladła jak ściana, ona! strażnikówna trocka, być zmuszoną podać rękę, tanecmistrzowi.

Zbrzydl jej nagle Białystok, zabawa, świat... wszystko.

Szlachecka duma Koiszewskich odezwała się w niej silnie.

Nazajutrz jeszcze wycieczka na cały dzień do Chorzeczy, choć obiecywała wiele przyjemności, wspomnieniem tancmistrza była zepsutą.

Ale od tego zasłaniał ją Oporkotowicz, towarzysz kawalerji narodowej, którego się wstydzić nie potrzebowała.

Tego dnia gości przybyło więcej, a niektórzy znikli.

Pod tą zabawą niewinną nawet niepodobna oko mogło się domysleć jakichś potajemnych zmów, schadzek i narady. Poważniejsi panowie, czynniejsi ich towarzysze, znane postacie tych, którzy Radziwiłom, Sapiezie, Massalskiemu, hetmanowi służyli, przesuwali się z papierami i siedzieli gdzieś po kątach. W kancelarji nikt nie miał spoczynku.

W istocie choć się tam nic dnia tego nie rozstrzygało, wszyscy na wypadek wiedzieć chcieli z kim trzymać i na kogo rachować mogli.

Oprócz tego kresy nadeszły z Warszawy, dawały do myślenia.

Już wyjeżdżający z Drezna król, wielu się wydał zmienionym, smutnym i chorym. Nie rokowano mu długiego życia. Wiadomości przywiezione z stolicy Saskiej, brzmiały niedobrze. Brühl zrobił co tylko mógł, aby król przynajmniej znalazł Drezno przynajmniej takim, jakim je opuścił. Jechał do niego stęskniony z bijącym sercem, cały przejęty wspomnieniami młodości, ale tu zamiast nich, znalazł zawód tylko smutny. Wszystko mu jakoś w czach zmalowało, zbrukało się, zmieniło. Dwór, wedle starego etatu, nie mógł być jeszcze zebrany, poumierali mu ludzie, wielu rzeczy brakło, bo je zniszczyła wojna, zabrali prusacy. Okazałość, którą on tak lubił jak ojciec, nie dorównywała dawniejszej. Zapytywał pociechu Brüllla i choć odbierał zaspakajające odpowiedzi wykrętne, smutno mu było. Żalował nawet żony, która się tak

heroicznie broniła najazdowi na zamku, choć synowie go ożywiali, zdało się smutnie i żałobnie.

Wedle rozkazania pańskiego, Magdalenę Corregia, którą on miał z sobą w Warszawie, odwieziono do galerji. Pozbawienie jej, kosztowało go wiele. Madonna Sykstyńska Rafaela, wydała mu się przyciemniałą. Chrystus z groszem nie miał dawnej kolorytu żywości, Rembrandty mgłą, jakąś były okryte.

Dietrich, który przyszedł powitać pana, niosąc mu jednego Mierisa przez siebie zrobionego i Gerarda Dowa naśladowanego cudownie, ledwie zdobył obojętne słowo. Na dobitkę, pierwsze polowanie w lasach około Huberstburga, nie powiodło się. Rzecz niesłychana, poczwarna, nie do uwierzenia, wstydliva, król do rogarza chybił!!!

Wytłomaczono to, tem, że n'e on ale strzelba dopuściła się tego kryminału, ale niemniej była to straszliwa wróżba. Na każdym kroku zawód spotykał powracającego w laurach powiędłych pana.

Uśmiechał się, dławił w sobie to co doznawał, lecz nie oszukał nikogo.

Doświadczał tego co wszyscy ludzie, długiem oczekiwaniem czegoś spragnieni, osiągnięty cel życzeń nie odpowiadał temu, co wykarmiła wyobraźnia tęsknoty...

Boleść jakiej doznał i nkrył ją w sobie, pomimo, starannego z nią tajenia się, biła wszystkim w oczy. Nosił ją wypiętnowaną na pięknej nie dawno twarzy, nagle zgrzybiałej, obwisłej, w oczach zgasłych, na plecach przygarbionych, w mowie jakającej się i wstydzic, który go zmuszał kryć się przed ludźmi.

Po jedzeniu zaraz usypiał snem ciężkim, a obudzwszy się, gdy mu podano fajkę ulubioną nie smakując i w niej, pykał milczący do wieczora, nie odpowiadając na pytania. Błazny jego zamiast pochwał i podarków, dostawali surowe wejrzenia. Król miał zamiar powróciwszy na swą ziemię, na pamiątkę szczę-



śliwego odzyskania jej, uwolnić kazać wszystkich, którzy siedzieli w Königssteinie.

Było ich tu wprawdzie mniej, niż za czasów Augusta ojca, ale twierdza nie stała próżną. Na pierwszą wzmiankę o tem, Brühl zaprotestował.

— N. Panie—rzekł—mało co ich tam jest, ogra. nieczyliśmy liczbę do ostateczności, ale to co pozostało ludzie są bardzo niebezpieczni, którzyby W. K. Mości pokój mogli zakłócić.

W istocie byli to tylko nieprzyjaciele ministra i ludzie, których on się obawiał.

Opowiadania o stanie zdrowia króla, nie obudziły żalu, ani obawy, ale przynagliły oba obozy do przygotowań na czas bezkrólewia.

Wszyscy pragnęli się wiązać, skupiać, aby przeżyć i mieć w ręku swym przyszłość.

Trzeciego, czy czwartego dnia, pani hetmanowa wybrała się nazad do Wysokiego z Tołoczka, którego zastępował spóźniony Pntkamer. Do Wysockiego nie było się po co spieszyć, a że hetmanowa miała kilka domów przyjaznych na drodze, korzystała z podróży, aby je odwiedzić. Tołoczko nieodstępny, ciągle na usługach panny, zużytkowywał zrzętność dla przypodobania się pannie.

Mówił już z nią otwarcie.

— Niech pana strażnikówna zważy tylko dobrze, czy nie będzie stokroć swobodniejszą u mnie, niż teraz przy matce. Za Bujwida gburą wyjść, pani są, ma widzi, znaczy sobie kamień przywiązać do szyi. Pani ze mną zrobi co zechce, jam jej sługa do grobowej deski.

Zawód, jakiego doznała w Białymstoku, usposobił ją do słuchania cierpliwego...

— Ja pana rozmistrza szacuję wielce — odpowiedziała mu — ale doprawdy nie wiem czybym go uczyniła szczęśliwym. Kapryśne ze mnie dziecko. Pan lubisz więc, spokojne życie, a ja, świat zabawy, weselość, stroje.



Ja dla panny Anieli gotawem gusta odmienić, wszystko poświęcić—przerwał rotmistrz.—Dom otworzymy, pojedziemy do Warszawy... pani... nie ja będę komenderował.

I całował ją po rękach, a pochlebstwami obsypywał.

Zwolna dała się nieco nakłonić, do słuchania, do wspólnych marzeń o przyszłości.

— Ale co to potem?—szeptała w końcu—choćbym ja nawet się zgodziła na to, matka nie pozwoli. Chce mnie koniecznie wydać za Bujwida, którego ja znieść nie mogę. Znam ją, gdy co powie, to jej przełamać nie można.

— Niech panna Aniela da mi tylko słowo—odparł rotmistrz—niech mi pozwoli, a ja rękę, znajdziemy sposób, pani hetmanowa całem sercem pomoże.

Uplanujemy tak, przygotujemy wszystko, iż strażnikowa nie będzie mogła stawić przeszkody.

Obietnice Tołoczki, popierane przysięgami, zwolna poskutkowały panna Aniela przychyliła się do jego życzeń. Bujwid był jej nienawistny, nad nim panować nie miała nadziei. Rotmistrza zawojować spodziewała się na pewno. Hetmanowej dom ułatwiłby jej wejście w świat.

Nie dając jeszcze słowa, milczała, Tołoczka chciał bić żelazo póki było gorące, nie odstępował jej ani na chwilę.

Na jednym noclegu księżna Sapieżyna widząc go tak służącym pannie, że o reszcie zapomniiał, zapytała na ostatku.

— Cóż tam, panie Buńczuczny, jak idą twoje interesy? panna Aniela zawsze ci tak sroga jak była?

— Nie będę się chwalił, M. Księżno—odparł Tołoczko—wszelako zdaje mi się, że m czasu nie stracił. Gdybyś pani raczyła poprzeć moją sprawę, byłbym pewny wygranej.

— Ho ho! tak zaszedłeś daleko?—roześmiała się Sapieżyna—boję się, ażebyś nie doznał zawodu.

Tołoczko ją w rękę pocałował.

— Służyłem, służyć będę—odezwał się—ulituj się nad sługą swoim.

— Cóż mam czynić?

— Proszę przemówić za mną do panny — począł rotmistrz.

— Mnie się zdaje — przerwała hetmanowa — że choćbyś pannę skonwinkował, matka ci nie da córki. W tem sęk.

— Na to jest sposób — wtrącił rotmistrz — tylko że bez pani hetmanowej ja niemogę nic.

— Mów-że bo raz jasno i otwarcie.

— Gdy da Bóg zgodzi się panna, prosta rzecz, zrobimy nroczyste zaręczyny. Strażnikowa się pogniewa, złaje mnie, zbeszta córkę, bo to u niej nie nowina, ale zgrękowin nie złamie, bo te są tak ważne jak sam ślub.

— Ze waćpana złaje i córkę, to nic — poczęła śmiać się Sapieżyna — mnie się też dostanie, obwoła mnie intrygantką.

— Nie będzie śmiała—odparł Tołoczko.—Proces, który miał rozstrzygnąć Trybunał, za mojem staraniem odłożony został dla komportacji dokumentów. Jej o ten proces tak idzie, że córkę gotowa oddać dla niego.

Będzie musiała milczeć.

— Nigdy się nie spodziewała, abyś tak podstępny był intrygantem—zawołała księżna.—Na waszko masz odpowiedź, obmyśliłeś...

— M. Księżno—zawołał Tołoczko bijąc się w pierś—to ostatnia życia mojego nadzieja.

— Panna ci przyrzekła?—spytała księżna.

— Jeszcze nie, ale choć usta niowyrzekły słowa, wiem, że dłużej opierać się nie będzie.

— No, to starajże się mieć od niej zapewnienie, bo bez tego nic. Ja kroku nie zrobię, dopóki ona mi przy świadkach nie powie, że sobie życzy wyjść za

wał pana, i że się zgadza na zaręczyny, bo innego nie widzę sposobu.

Pocałował w rękę Toloczko, uniżył się do stóp księżnej, poprzyświagał wiekuiłą wdzięczność i rzucił się dobijać targu z panną.

Zdawało mu się, że rzecz tak jak skończona, okazało się jednak, że strażnikówna, w chwili gdy sobie miała świat zawiązać, przelekleła się.

Pomyślała sobie, że była młodą jeszcze, że mogła roczek, dwa poczekać, że Bujwidowi się opędzi. Zawahała się w samym progu.

Rotmistrz, który sądził, że już był pewien serca, w rozpacz wpadł prawie. Widząc go tak zdesperowanym, panna prosiła o zwłokę. Sama wprowadzie nie wiedziała jak ją miała zużytkować, ale nie mogła jeszcze oswoić się z myślą, że klamka zapadła.

Plakała po nocach.

W tem przyszedł list od Szklarskiej, nabazgrany na zrzynekach siniego papieru, ale było go sześć stron i dwie przypisków. Panna Szklarska donosiła ukochanej swej, że wszystko jest zmówione, obmyślane, aby natychmiast po powrocie wydać ją za Bujwida. Starosta pogorzelski skłonił strażnikową do tego, wyrzekając się posagu gotowizną i obiecując kontentować się procentem.

Summy tej potrzebowała Koiszewska dla procesu i długu.

„Na twojem miejscu, serce moje—pisała—jabym wolała Bujwida i przyjęła go, ale to niedźwiedź, którego ty nigdy nie nauczysz nawet nosa utrzyć po ludzku.

Żal mi ciebie, bo szczęścia nie zaznasz z nim. Zwlekaj więc powrót, może cię to ominie.. nie pokazuj się w domu, bo matka cię nie puści..

Wiem najpewniej, że wyprawę na gwałt szyją, futro jejmość kupiła i kuśmierz śledzą w stołowej izbie pod dozorem Porkowskiej, bielizna się znaczy.“

Tegoż dnia, gdy pismo Szklarskiej nadeszło, szturm

nowy przypuścił Tołoczko. Padł jej do nóg, Aniela zerwała się i chciała uciekać, gdy nadeszła przygotowana już hetmanowa.

Widząc co się dzieje, łagodnie zaczęła Anielę nakłaniać, przyrzekając jej opiekę swoją i męża. Wspomniała proces, dla którego matka się musiała dać przebłagać.

We dwoje tak z Buńczuczny, naostatek zmusili niemal strażnikównę, iż słowo dała i zgodziła się na wszystko, zakławszy tylko księżnę, aby jej nie opuszczała.

Hetmanowa chciała nie bawiąc, zaraz w dni kilka uroczyste sprawić zaręczyny, sprosić gości, sprowadzić muzykę; ledwie strażnikówna wyprosiła fryszt, dopóki by na list, który miała napisać do matki, odpowiedzi nie otrzymała.

---

Nie daj Boże, aby staremu człowiekowi, który już lata płocze po za sobą pozostawił, miłość do serca zawitała i przyśniło się to szczęście, którego człowiek raz tylko w życiu kosztuje, a nie każdemu i to dano.

Na Tołoczce najlepszy był dowód tego, iż człowiek, gdy sobie nieco cugli popuści, namiętność go poniesie... na złamanie karku.

Człek był zacny, stateczny, poważny i nie mu ugięty, a szczególnie dyssymulacji zarzucić nie było można... a teraz, gdy go miłość dla panny Koiszewskiej zagnała w taki kąt ciasny, z kądem wyjścia nie było.

Uchodził on powszechnie za bezdzietnego, bo nigdy nie mówił o swojej przeszłości, chociaż syna miał z pierwszego małżeństwa, który u babki ciotecznej od dziecka się wychowywał. Mało kto o tem wiedział.

Wyjawiając tę tajemnicę, obawiał się zrazić i pan-

nę i matkę, więc milczał, powiadając sobie, iż do-  
syć będzie czasu później syna zaprezentować.

Zdawało mu się, że w tem grzechu nie było.  
Nie kłamał tem, że milczał... a zbrodnią nie było  
mieć potomka.

Z dnia więc na dzień odkładając ogłoszenie, iż  
go Pan Bóg pobłogosławił potomstwem, sam się z te-  
go przed sobą uniewinniając, brnął dalej.

Niekiedy tylko robiło mu się gorąco, gdy pomy-  
ślał co to będzie za wrzawa, jak się Koiszewska  
o tem dowie.

Księżna Sapieżyna, która dawniej Tołoczki nie  
znała, wcale o niczem tyczącem się go nie wiedzia-  
ła. Sapieha zapominał o bliższych daleko, a o swo-  
jego Buńczucznego stosunki familijne wcale się nie  
troszczył. Nikt go tu zdradzać nie myślał, ale poło-  
żenie było, bądź co bądź, nie do zazdrości i przed  
zareęczynami wypowiadać się było potrzeba pani  
strażnikowej.

Nie był pewnym, czy i panny ten syneczek, pono  
dziesięcioletni nie zrazi.

W czasie tych zabiegów rad zapomniał co go je-  
szcze czekało, ale teraz, gdy termin się zbliżał,  
strach go taki ogarniał i wstyd jakiś, że głowę od  
tego tracił.

Wiadoma rzecz, czem się w takich razach za-  
owych czasów leczyć byli zwykli, ci, którym ból ser-  
deczny dokuczał. Zapijano frasunek...

Tołoczko nie lubił pić, a no teraz bezwiednie  
prawie ciągle za kieliszek chwycił.

Chodził jak błędny, oczy mu wpadły, kaszlać  
zaczął i gdy mu hetmanowa szczęścia winszowała,  
wzdychał jak kowalskie miechy. Żał brał patrzeć  
na niego.

Panna zaś przeciwnie, raz postanowiwszy wyjść  
za niego, z myślą się tą oswajała, godziła i wesolą  
była jak nigdy. Tołoczce zaś wyrzucała, że chodził

jak z krzyża zdjęty i zdawał się żałować chyba tego co uczynił.

Męcząc się po dniach i nocach, naostatek, gdy mu hetmanowa wymawiała ten jego frasunek, wybuchnął.

— Żeby pani hetmanowa wiedziała, co ja mam za troskę, toby mi nie wyrzucała, że się śmiać nie mogę.

— Jeżeli nie wiem, a powinnam, czyjaż wina? — odparła księżna.

— Al moja wina! moja wina! moja bardzo wielka wina! — bijąc się w piersi, zawołał rotmistrz i oczy sobie zasłonił.

— Ja powiadam — wykrzyknęła Sapieżyna — że z waćpanem, jak z dzieckiem kapryśnem nie wie-dzieć co robić... Cóżś sobie uroił.

— Al nie uroiłem ci — wtrącił rotmistrz — alem zgrzeszył.

— Cóż? grzech śmiertelny? — zapytała przedrzeżniając go księżna — to ja chyba władzy rozgrzeszenia nie mam.

Mów prędko, cóżś popełnił?

Masz pewnie jakąś jejmość, której ci się pozbyć trudno? co? nie zgadłam?

— Żadnej nigdy nie miałem — żałośliwie stęknął rotmistrz, ale byłem żonaty i z pierwszej strony syna mam, który się od dzieciństwa chowa u babki. O tym synu mało kto wie, a jam nie wspomniał.

Skrzywiła się księżna.

— W istocie — odezwała się — nie ma nic, a wać pana to jakby na kłancę wystrychnie.

— Nikt się mnie nie pytał — rzekł Tołoczko —, cóżem miał za obowiązek głosić, że syna mam?

Potrząsnęła głową Sapieżyna.

— Ja o tem wiedzieć nie chcę — dokończyła.

Rzucił się do stóp Tołoczko.



— W łeb sobie palnę—zakrzyknął.

— Nie rozumiem, coby to ci pomódz mogło? — odparła Sapietyna.

— Nicch mi W. Książęca mość poradzi co mam czynić?—błagał.

Hetmanowa zlitowała się.

— Niesmaczna to rzecz — odpowiedziała — ale jak się poczęło tak kończyć potrzeba... Nie mówiłeś waćpan o synu dotąd, suponując, że o nim wszyscy wiedzą, milcz-że już.

— A jak się dowiedzą?—zapytał rotmistrz.

— Nie obrachują, co oni poczną—po namyśle odzwala się hetmanowa. — Zdaje mi się, że waćpana odprawia, bo matka go niechce... a to pretekst doskonaly.

— Mam ja to powiedzieć paunie?—radził się rotmistrz.

Parsknęła księżna.

— A wy! mężczyźni!— poczęła. — Krzyczycie na nas, że my was zwodzimy, nazywacie te biedne kobiety najgorszymi przczwiskami, chytrość nam przypisujecie i zdradziectwo, a co sami robicie? Kobiety zwieść to wam fraszka. Wam wszystko wolno...

Tołoczko stał jak pod pręgierzem.

— Moje całe tłómaczenie, że się zapóźno pokochał, a od tej miłości głowę utracił.

— Ja nie wiem czy ją miałeś kiedy — przerwała księżna. — Takeś sobie z tą całą sprawą poczynął, jakbyś naumyślnie ją chciał zawikłać.

Co tu radzić dziś, kiedy pora, w której trzeba było coś na to poczynąć, minęła. Nie mówiłeś wczas, milcz, a po ślubie co będzie, to musisz przyjąć jako karę za grzechy. Na sucho ci to nie ujdzie.

Nic nie zyskawszy u księżnej, ale trochę sobie ulżywszy ciężaru tem zwierzeniem się, rotmistrz zajął się jak najgoręcej przygotowaniem do zaręczyn, które przyspieszyć usiłował.

Tymczasem burza się gotowała.

Strażnikowa wprowadzie ulegając księżnie, dała jej córkę, chociaż domyślała się, że to była intryga Tołoczki. Nie sądziła go wcale niebezpiecznym dla córki, bo Bujwid był przystojniejszy i młodszy.

W ostatku, gdy hetmanowa się uparła wydać Anielę za rotmistrza, strażnikowa spodziewała się, że jej wyświadczy jakieś dobrodziejstwo, puści dzierżawę, zapisze sumę, wyrobi coś u króla. Nie rada była temu wszystkiemu, ale czuła, że nie mogła się uwolnić od tych łask i protekcji.

Wahając się tak, a ciągle Bujwida mając na myśli, w końcu swojego dawnego opiekuna, krewnego, starego marszałka Głińskiego, postanowiła wezwać i zwierzyć mu się, a pójść za jego radą.

Głiński ów, którego niekiedy kniazieniem tytułowano, bo się wywodził od owego sławnego warchoła, był człowiekiem znacznym, choć niezbyt majątym.

Umiał sobie w obywatelstwie wyrobić wziętość i słynął z rozumu.

Był to doradca, pośrednik, rozjemca, do którego z najdalszych stron ludzie jak chorzy do doktora się zjeżdżali.

Ogromnego wzrostu i tuszy, z twarzą rozlaną, wielką, brodawkami dziwnie porośłą, z brzuchem, który mu chodzenie utrudniał, marszałek był nadzwyczaj czynny i szczycił się tem, że dla współobywateli życie poświęcał.

Stosunki miał rozległe bardzo, znajomości wiele, pamięć ludzi i pokrewieństw a kolligacji zadziwiającą. W całej Litwie nie było może rodziny, którejby wszystkich członków nie mógł wyliczyć. Była to genealogja chodząca.

Nie śmiejąc go zapraszać do siebie, Koiszewska pejęcbata do niego.

Przyjął ją, jak był zwykł wszystkich mnogich swych klientów, tak jak gdyby szczególny miał afekt dla każdego z nich. Wiedział już o wszystkim i o tem nawet, że Aniela była w Białymstoku.

Strażnikowa wyznała mu właśnie dla poradzenia się o jej postanowienie przybyła. Marszałek, który miał sobie za prawidło wyrozumiewać petentów i raczej w ich myśl niż przeciw niej iść, łatwo odgadnął, że strażnikowa była za Bujwidem.

Stało się to dla niego wskazówką jak sobie miał postąpić. Tołoczkę znał bardzo dobrze i od bardzo dawna, nie był z nim jednak ani źle ani dobrze.

Wysłuchawszy długiej chryi pani Koiszewskiej, rzuciwszy pytań kilka, zamyslił się głęboko.

— Jesteś pani strażnikowa matką—rzekł—serce jej pewnie dla dziecięcia najlepiej poradzić potrafi.

Co do mnie, chociaż ja przeciwko Tołoczce nie mogę powiedzieć, bo człek zacny, uczciwy, rozumny, ale ani wiek, ani te koła, w których się on obraca, nie zdaje mi się, żeby go czyniły partją stosowną dla panny Anieli. Z protekcją hetmana albo raczej hetmanowej, może się posunąć wysoko... chyba go król obdarzył starostwem, królewszczyną, bo inaczej to tam honorów będzie podostatkiem, ale chleba omal...

— Tołoczko wyszedł z rodziny zubożalej, dopiero mu pierwsza żona wniosła posag i posadziła go na wiosce, ale to, krom dożywocia na wsi, nie jego własność ale syna.

Koiszewska się porwała przestraszona.

— Syna, jakiego syna? jako żywo nigdy nikt nie mówił o synach? Więc ma syna? Miał może chyba ale umarł.

— Przepraszam panią strażnikową, syn się chowa u ciotecznej babki, oddając go do szkół, do Połocka, chłopiec ma *ni fallor*, lat dziesięć.

Strażnikowa, cała purpurowa z gniewu, słuchała.

— Jakże to nazwać, jak? — odezwiała się — żeby słowo pisał o synku? Więc to poprostu podejście, chciał byśmy myśleli, że to co ma i czem świeci do niego należy...

Marszałek poglądził łysinę i sapnął.

Nie zaprzeczał, ani potwierdzał tego sposobu zapatrywania się pani strażnikowej.

— Nie mogę o tem sądzić — rzekł — ale zawsze jest niedelikatność. Co się tkanie majątku, moja mości dobrodziejko, nie jest tajemnicą, że odłużony. Rotmistrz żył, popularności mu się chciało, karmił, poił, sejmikował... długów dziś przez wierzch głowy, na majątek jego wcale się nie ma co oglądać.

— A! jak Boga kocham — krzyknęła impetycznie Koiszewska — córki mu nie dam. Straciłby jej posag, jak zmarnował majątek pierwszej żony! Niech sobie hetmanowa robi co chce, córkę odbiorę, zamknę, wywiozę i nie dam mu się ani zbliżyć.

— Pewno, że to będzie najrozumniejszym — rzekł Gliński — ale i to pewna, że z hetmanową pani będziesz miała przejście ciężkie. Obawiam się, czy rzeczy nie za daleko zaszły. Naszą panią hetmanową trzeba znać, rządziła pierwszym mężem, panuje nad drugim, zręczna, rozumna, gwałtowna... Pomódz nie może wiele, ale zaszkodzić, oho! okrutnie... a jest uparta i mściwa.

— Cóż ona zrobić mi może? — wyrwało się Koiszewskiej, która na krótko zapomniała o procesie.

— To prawda — poprawiła się — że ten nieszczęsnny proces..

— Właśnie chciałem go przypomnieć — wtrącił Gliński. — Ona po Trybunałach gospodaruje jak u siebie w domu.

— Nie trzeba tracić męztwa — dodał marszałek. — Zechce ona szkodzić, będziemy pomagali.

— A! kochany marszałku — wykrzyknęła strażnikowa — zaklinam was, nieopuszczajcie mnie sieroty. Córki dla procesu gubić nie mogę, miałabym na sumieniu.

— Za pozwoleniem — przerwał Gliński — jakże usposobiona, za kim panna Aniela, bo i to trzeba wziąć w konsyderację.

— Nie będąc taila — rozpoczęła strażnikowa — córkę

mi siostra zbałamucila. Chciałam ją mieć dobrą go-  
sposią i kobietą jak my wszystkie, nabili jej głowę  
elegancją, francuszczyzną, zabawami... Bujwida ona  
nie lubi, bo rubaszny jest... Tołoczko układny, ale  
kłamca, oszukaniec. Dworskich się kłamek trzyma,  
kochać go ona nie kocha, ale z Tołoczką się spodzie-  
wa wejść w ten świat, do którego tęskni. Ot co jest.

— Hm!—bąknął Gliński—skomplikowana sprawa,  
potrzeba energii, którą waćpani dobrodziejka masz,  
aby szczęśliwie wyjść z tego, ale ufam, że się to po-  
myślnie ukończy.

Po długich w tym przedmiocie naradach i roz-  
prawach, które utwierdziły strażnikową w przekona-  
niu, że powinna niedopuszczyć małżeństwa z Tołoczką,  
nastąpił obiad, a po nim zjawił się gość właśnie  
z okolic Wysokiego Litewskiego, pan podstarości  
Górski.

Był to jeden z tych ludzi gładkich, bywających  
wszędzie, od wszystkich mile widziany, a wyśmie-  
wający tych nawet, których się najserdeczniejszym  
głosił przyjacielem. Górski nie przebaczył nikomu,  
a tak lubił dowcipkować, że dla dowcipu wszystko  
poświęcał.

Im zaś kto wyżej siedział, imię nosił piękniejsze,  
odznaczał się czemś więcej, tem on dla niego był  
surowszy. Sapięha, którego bawił, lubił go, zapraszał  
i bierał z sobą.

Zobaczywszy strażnikową, zaledwie ich przywitał  
natychmiast i począł winszować marjażu córki.

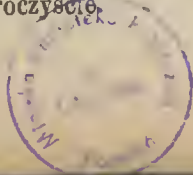
— A daj mi pokój panie podstarości—odparła —  
Anielka młoda, wydawać ją ani myślę.

— Jakże, a te blizkie zaręczyny.

Wprost zaprzeczyła im Koiszewska.

Pana Górskiego być posądzonym o puszczanie  
fałszywych pogłosek, oburzało. Uparł się.

— A, za pozwoleniem—rzekł. — Jest to rzecz pe-  
wna, iż w Wysokiem się spodziewają obchodzić je  
wkrótce bardzo uroczysto.





— Bez mojego zezwolenia? bez mojej wiedzy chyba?—wołała strażnikowa. — Toby było coś nowego, porządek naturalny obalony... Jestem matką.

Górski się tłómaczył bardzo obszernie i namiętnie, dowodząc, że nie nie zmyślał... Strażnikowa w końcu musiała zamilknąć. Gospodarz pocieszał.

Powróciwszy ztąd, Koiszewska, która miała siłę mężką, umiała znosić, walczyć, czekać, tym razem bardzo osłabła. Trzeba było na gwałt ratować córkę od Tołoczki, przewidywała jakie mieć będzie trudności do zwalczenia, lecz obiecywała sobie nie dać się pokonać i córkę odebrać.

Napisała list grzeczny do pani hetmanowej, przeprasząc, że sama po córkę przybyć nie może z powodu choroby, i domagając się powrotu Anieli. Nastawała na to, że była chora i że miejsce córki było przy matce.

Listy do hetmanowej i do Anieli wielkiego niepokoju były przyczyną.

Hetmanowej nie szło o to w istocie wiele za kogo strażnikównę wydadzą i czy ona będzie szczęśliwą lub nie, ale nie mogła tego dopuścić, aby się jej sprzeciwiać śmiano, jej łaskami pogardzać i mieć swoją wolę.

— Nie dam Koiszewskiej córki — zawołała, — list odczytawszy.—Ja na to pozwolić nie mogę.

Aniela przeleżała się, postanowienie wyjścia za rotmistrza było teraz jak najmocniejsze. Tołoczko, który chciał się zalecić pannie, w ciągu ostatnich dni w rozmowach uczynił jej obietnice wielce nęcące.

Przyrzekł jak najuroczyściej, iż mieć będzie karetę podobną do tej, którą jeździła ks. Sapieżyna, eug koni sześciu, dworzanina, hajduka, liberję. Do kościoła miała jej towarzyszyć służba, niosąc poduszki herbowe i książki. Co rok dwa razy przynajmniej zobowiązywał ją wozić do Warszawy, wyprawiać zapusty świetne i na rok nowy spraszać sąsiedztwo.



Obietnice te w rozmowie przychodziły, bez żadnego nacisku, z największą łatwością.

Rotmistrz nie rachował się z niczem, głowę tracił, submitował się, akomodował i nie odmawiał nic, a nic.

Zawołano pannę Anielę do hetmanowej.

— Moje dziecko—odezwała się do niej.—Pisze mi strażnikowa że chora i żąda twego powrotu, na który ja pozwolić nie mogę. Chora nie jest, to rzecz symulowana, idzie o to, aby ciebie pochwycić. Nie mogę ci dać ginąć i do rozpaczyny przyprowadzić Tołoczkę, który cię do szaleństwa kocha.

Rozpłakana panna Aniela padła jej do nóg.

— Odpiszę, że waćpanna też chora jesteś i że doktor Müller ruszać ci się nie pozwala...

Tak się stało, pół dnia czekał posłaniec na odpowiedź i otrzymał obie odmówne, chociaż ocukrowane i osłodzone.

Rotmistrza, gdy się to działo, nie było w Wysockiem, powrócił późno i uradował się mocno, dowiadując, że księżna tak się energicznie znalazła.

Panna Aniela wybiegła naprzeciwko niego... paruszona i przełękła. Tołoczko widząc ją we łzach, zaklął się, że chybaby mu życie odjęto, inaczej nie wyrzeczy się nigdy w świecie tej, którą już uważał za przyrzeczorą i jakby poślubioną.

— Niech panna Aniela rozkazuje co mam czynić, gotówem na wszystko, a najpierwej jechać, szukać tego Bujwida i raczej mu życie wziąć, niż odstąpić bogdanki.

Chciał go zaraz wyzwać na rękę, w szable, na pistolety, jak zechce.

Panna Aniela złąła się krwi przelewu, płakała.

Tołoczko w gorączce po korytarzach biegał, rzucał się, odgrażał i naprawdę myślał o rozprawie z rywalem. Ledwie go księżna zawoławszy umitygowała.

Od księżnej poszedł do hetmana, gdzie się napił

niewiedząc o tem co robi, tak był wielkiego animuszu tego wieczora.

Poszli spać nadzedniem. Rotmistrz pacierz ledwie zmówił, ciągle sumując o tem, co tu robić, zawziął się i niekładąc się spać, pobiegł zbudzić przyjaciela Rybińskiego, który był pod nim chorążym, aby z nim jechać szukać Bujwida.

Nie było nic łatwiejszego, jak go znaleźć, bo się nigdy do kąta nie chował. Rybiński, rębacz sławny, nie mógł odmówić przyjacielowi, odział się natychmiast, do węgierskiego swego wozu kazał zaprzęgać i ruszyli.

A że na wsiadanem, po wczorajszym chmielu, wódką się gdańską trzeźwili, nie odjechawszy za wrota, pospali się oba.

Gdy Tołoczko obudził się wreszcie, musiał sobie chwile dobrą oczy przecierać, rozpamiętywać, nim przypomniał poeo gdzie i gdzie jest.

W karczmie na granicy, o pół mili od dworu Bujwida. Tołoczko czekać miał, a Rybiński pojechał wyzywać.

Ale jak pojechał, tak w wodę wpadł, nie było go do wieczora, nie powrócił w nocy, aż z rana rotmistrz musiał posłać wyrostka na zwiady.

W godzin parę wrócił on ze smutną nowiną, że Rybiński jadąc wczora wieczorem, gdy się konie na mostku spłoszyły, z bryczką i z niemi spadł do rzeczki i potłuczony strasznie ze złamaną nogą, leżał u Bujwida we dworze.

Rotmistrzowi zamąciło się w głowie, co tu robić? Nie mógł się cofnąć, ani odkładać, musiał w sąsiedztwie szukać, kto by mu zastąpił Rybińskiego. Przeszedł cały dzień na tem poszukiwaniu po nieznaney okolicy, aż znalazł się stary towarzysz broni.

Był on niegdyś rotmistrzem w kawalerji, guzów i blizn miał dużo, opowiadał o sobie dzieje osobliwe, ale już teraz ręka mu się trzęsła i szablą nie władał. Za to swadę miał osobliwą i gębę wyparzoną.

Po wszystkich tych przejściach, następnego dopiero dnia Bujwid wyzwany, nie wymawiając się rzekł:

— Służę!

W Tołoczce krew kipiała, gdy go zobaczył na placu przed sobą, Bujwid był spokojniuteńki. Pojedynek nie konno z pistoletami, jak naówczas się często trafiało, ale umówiony był na szable.

Trwał on nadzwyczaj długo, gdyż oba byli prawie równych sił, nakoniec tak się złożyło, iż rotmistrz w ramię głęboko ciał Bujwida, a ten mu dwa palce u ręki oderwał jak brzytwą.

Zakrzyczano: dosyć.

Tołoczko się domagał słowa, że mu Bujwid w drogę wchodzić nie będzie, ten nawzajem żądał, aby mu rotmistrz nie przeszkadzał.

Bić się natychmiast dalej nie było sposobu, nahałasowawszy, rozeszli się nie sprawiwszy nic. Tołoczko musiał zaraz do cyrulika śpieszyć, aby mu rękę obwiązał, bo na palce rady nie było.

Nie żałowałby ich, gdyby spotkanie korzyść jaką przyniosło, a tu rotmistrz przekonał się tylko, że z Bujwidem nie rychło koniec być może, zaś zgoda nigdy.

Straszliwie przybity ewentem tym, już nawet do Wysokiego nie wracając, pojechał do doktora do Brześcia.

W Wysokiem pod bronią czekała pani hetmanowa strażnikowej, albo od niej wiadomości, a panna Aniela modliła się.

— Dziej się wola Boża—mówiła. — Nie odstąpię rotmistrza... hetmanowa nam wiele obiecuje. Bujwid mnie przeciw mojej woli mieć nie będzie.

Rozniosła się zaraz wieść o tem, że Tołoczko z Bujwidem o pannę się porabali i wielką obudziła ciekawość.

Bujwid z mocno rozplatanem ramieniem, choć

miał jechać do strażnikowej, nie mógł, bo dostał gorączki. Cyrulik noc i dzień czuwał przy nim.

Nie było nawet komu dać znać Koiszewskiej, która się od sąsiadki dowiedziała co się stało.

Gniew ją opanował wielki z powodu tego szczególnie, że niepotrzebnie awantura ta na córkę jej oczy zwracała i języki. Nie było już nic do stracenia, więc strażnikowa krótko pomyślawszy pojechała sama do Bujwida.

Miało to wielkie znaczenie, a Koiszewskiej o to szło, żeby Bujwida sobie zachować. Zobowiązała go też do wielkiej wdzięczności i choć doktor wzbraniał, byłby się z łóżka zerwał przyjmować strażnikową, ale ona mu ruszać się nie pozwoliła. Przeciwno Tołoczce niechęć i gniew Koiszewskiej doszły do najwyższego stopnia, a że gwałtowną była zawsze, nawet w mniejszej wagi sprawach, tu już miary nie miała.

Niemniejszy żal i oburzenie opanowały ją na wspomnienie księżnej, której przebaczyć nie mogła przywłaszczenia sobie jakiejś władzy nad córką i diwnej zachcianki kierowania jej losem.

Nieszczęśliwa strażnikowa naprzemiany przeklinała, lała, płakała i odgrażała się.

Wróciwszy z tej wycieczki do domu, mnsiała się do łóżka położyć, bo choć jej zdrowie zawsze służyło, teraz tak była przeciągniętą niespokojnością zmęczona, iż nawet energią swą dźwignąć się nie mogła.

Ani krople Hoffmana, ani inne medykamenta po-krzepiające, nie pomogły jej nic, dopóki sama nad sobą pracować nie zaczęła, aby męztwem pokonać przeciwność.

— Córkę mi przecie gwałtem odebrać nie mogą, a ja Tołoczce jej nie dam, choćby konał—wołała po kilku dniach wstając znękana strażnikowa.

W tem usposobieniu znalazł ją gość wcale niespodziewany—Tołoczko.

Jak on do tego doszedł, aby uznać potrzebę osobistego widzenia się i rozmówienia z panią Koiszewską, wytłomaczyć nam trndno. Namiętności mają logikę odrębną.

W istocie nie było może ani potrzeby swoją obecnością drażnić pani strażnikowej, ani się mógł najmniejszej z tego spodziewać korzyści, ale znajdował się w takim stanie ducha, który przekłada najgorszą ostateczność, niż niepewność.

Koiszewska przeżegnawszy się i z mówiwszy „pod Twoją obronę“ wyszła do niego blada, ale wielce poważna i dumna.

Tołoczko chciał rozpocząć od obszernego wykładu sprawy swojej, dla której chodził jeszcze z ręką ogromną chustą opłataną. Zaczynał już *ab ovo*, ale strażnikowa mówić mu nie dała.

— Co pana tu sprowadza?—zapytała.

— Chciałem pani strażnikowej dobrodziejce wyznać uczucia, która mnie do panny Anieli wiązą i...

— Odwiąż-że się waćpan od niej i odemnie—odparła gospodyni. — Ja mojej córki za waćpana nie wydám... i otwarcie mu to mówię, abyś darmo nie balałmucić jej, a mnie nie męczył.

— Sercu nakazać nie można—rzekł rotmistrz.

— Nie takimi drogami zdobywa się serce — przerwała Koiszewska — nie przez protekcje magnatów, nie przez fałszywe wieści i kłamstwa.

— Pani dobrodziejko!—zawołał Tołoczko.

— Zataiłeś waćpan, że masz syna z pierwszego małżeństwa, abyś się nie wydał z tem, że nie masz nic... a długów po uszy—mówiła strażnikowa.—Opreśią chcesz wymódl na mnie, czego z dobrej woli mieć nie możesz. Ale ja należę do tych, którzy sobie gwałtu czynić nie dają. Mnie ani hetman, ani hetmanowa nie nabawią strachu. Wydám córkę za kogo zechcę i zaręczam, że nie za waćpana. Bywaj waćpan zdrów.

Chciał odpowiedzieć zmięszany tem przywitaniem



rotmistrz, ale strażnikowa słuchać go nie myśląc, odwróciła się, wyszła i drzwi za sobą zatrzasnęła.

Nie miał już tu co robić nieszczęśliwy i czapkę pod bok wzięwszy, wyniósł się.

Nie było się z czem chwalić, przyjechawszy więc do Wysokiego, zmilczał i ani o bytności swej u Koiszewskiej, ani o tem co o niej posłyszał, nie mówił nikomu.

Księżna tymczasem przy swoim stała z równym oporem, choć z mniejszem prawem niż matka.

Aniela też trwała w swem postanowieniu. Hetmanowa, która ją lepiej poznała teraz, wiedziała czem przynęcić i obietnicę świetnych nie skąpiła.

Drugi list, wzywający pannę Anielę do powrotu do domu, wysłała Koiszewska wieczorem tego dnia, gdy ją odwiedził Teloczko.

Napisany był zimno, ostro, tonem obrażonej matki i nakazywał jej natychmiast powracać, jeżeli nie chciała, aby się jej wyrzekła.

Podobneż wezwanie do księżnej, aby pannę Anielę odesłała, w bardzo krótkich wyrazach, oddano do rąk własnych hetmanowej.

Z księżną Sapieżyną jedynym sposobem, aby nie nie otrzymać, było chcieć co na niej wymódz siłą, aby się potem chlubić, iż ona uledez musiała. Jak skoro tak nalegano o wydanie córki, postanowiła ją bronić i zatrzymać.

Anieli kazano natychmiast pójść do łóżka i nie wstawać, a księżna odpowiedziała zimno pani Koiszewskiej, że córce jej doktor nie pozwala wstać, ani się z miejsca poruszyć, więc księżna dbając o jej zdrowie nie może pozwolić na to, aby się narażała na niebezpieczeństwo. Troskliwość o pannę Anielę w liście księżnej tak wyglądała, jakby była wyrzutem, iż rodzona matka o nią nie dbała.

Miedzy hetmanową a strażnikową przychodziło tedy do walki i zdawało się, że pierwsza zwyciężyć musi. Koiszewska miała za sobą prawa matki, cha-



rakter śmiały i energiczny, ale księżna Sapieżyna przebiegłość, wszystkie środki ludzi bardzo możnych, rozgałęzione stosunki, w potrzebie i protekcją króla.

Im to drożej kosztować mało, tem mocniej stała przy tem, że Aniełę wyda za swojego Tołoczkę.

A że ze strony strażnikowej mogły być wszelkie środki użyte, nawet podstęp i przemoc, w Wysokim z rozkazu pani hetmanowej otmyślano ostrożność nadzór, czuwanie na korytarzach i t. p.

Tymczasem jednak strażnikowa nie uczyniła żadnego kroku, musiała się namyślać. W pisma się wdawać nie chciała, posłała po Szklarską, zapraszając ją, aby chorą odwiedziła.

Stara panna nadbiegła natychmiast uprosiwszy konie u pana strażnika koronnego. Wiedziała już mniej więcej o wszystkim i oburzała ją ta prepotencja kobiety, która cudzem dzieckiem dla swojej fantazji lub interesów rozporządzać chciała.

Koiszewska przywitała ją w progu.

— Szklarsiu, moja droga, wzywam cię na pomoc. Aniełę mi hetmanowa skonfiskowała. Pisałam dwa listy nadaremnie, jedź, przekonaj się czy prawda, że chora, a Anieli powiedz, jeśli nie chce, abym się jej wyrzekła jako córki wyrodnej, niech powraca.

Siuchaj że strażnikowo—odparła Szklarska — pojedę, ty wiesz, że ja się nikogo nie ulęknę, ale daj mi słowo, że jej ty gwałtu nie zadasz i nie zmusisz iść za Bujwida. Ona go niechce.

— Ale ja go chcę! — zawołała strażnikowa — na tem dosyć.

— Nie pojedę—skonkludowała Szklarska.

Zaczęły się z sobą niemal już kłócić, gdy Koiszewska w końcu oświadczyła, iż za Bujwida nigdy przymuszać nie będzie, ale za Tołoczkę nigdy nie pozwoli.

— Jedź mi ją przywieź—rzekła—głupia jest, ja ją kocham, chcę jej szczęścia... ona woli obcych slu-

chać co nią frymarchę, niż matki, która ją ma jednę i dla niej tylko żyje.

Szklarska zaledwie spocząwszy chwilę, pognąła do Wysokiego. Śmiała i rezolutna nie myśląc się księżnie oznajmywać wprost się udała do panny Anieli, która z pokoju nie wychodziła, ale chora nie była.

Nie wpuszczono posła tego i dano znać do hetmanowej, która Szklarską kazała prosić do siebie. Mówiliśmy już, jak się ona ubierała ze staroświecka i cudacznie. Jadąc do Wysokiego w ostatniej karczemce na drodze wystroiła się tak śmiesznie, że wyglądała jak straszidło na wróble.

W tym stroju stanęła przed hetmanową, która się liczyła do największych elegantek współczesnych. Ta mało ze śmiechu na jej widok nie parsknęła.

Chciała zaimponować przybyłej, ale Szklarska nikomu nie pozwalała sobie uczybić.

— Przyjechałam tu z mandatem od pani strażnikowej trockiej, aby zabrać jej córkę—rzekła.

— Panna Aniela jest chora — odparła hetmanowa—Müller jej jechać nie pozwala. Pani strażnikowa jest niewdzięczną, mogę powiedzieć, zajęłam się losem jej córki, którą pokochałam... i muszę za to znosić nieprzyjemności.

— Pani strażnikowa bardzo księżnie pani jest wdzięczną, umie łaskę jej ocenić, ale chce sama nad swem dzieckiem czuwać.

Hetmanowa usta zagryzła.

— Nie puszczę panny Anieli, chybaby ona sama tego zażądała—rzekła po namyśle.—Możesz się pani widzieć z nią i przekonać, że ja jej gwałtu nie daję, owszem od niego bronię.

Na tem księżna Sapieżyna skończyła, dumnie odprawiwszy Szklarską, która też niezmięszana pożegnała ją, ledwie głową skinąwszy.

W chwilę potem zaproszono przybyłego posła do panny Anieli. Tu już było wszystko przygotowanem na przyjęcie. Okna zapuszczono firankami, przy łó-

żeczku poustawiano faszki od lekarstw, Aniela na pół ubrana, leżała sparta na poduszkach.

Zostawiono je same, ale Aniela wiedziała, że księżna nieochybnie będzie podsłuchiwała. Szklarska wpadła ze zwykłą swą gwałtownością i uściskawszy strażnikównę, zgóry wpadła na nią.

— Jak ty możesz rodzonej matce odmawiać posłuszeństwa!—krzyknęła.— Strażnikowa chora, narzeka na ciebie... jedź, zmiłuj się, ja przybyłam po ciebie, gotowam czekać do jutra.

— Ale i ja jestem chora!—odparła Aniela.

Szklarska śmiechem parsknęła.

— Chora jesteś na upór, Anielko—zawołała.—Tołoczko i ta twoja protektorka księżna okłamują cię... obiecują góry złote, a to wprost rachuba na twój posag. To hołysz ten Tołoczko, w długach po uszy. Księżna nie chce mu nic dać z kieszeni, płaci z cudzej, nie wiem za jakie posługi.

— Ja ci przywożę od matki zapewnienie, że Bujwida ci nie narzuci, ale musisz powrócić.

Milczała panna Aniela.

— Zlituj się, moja Anielko, nie rób tego, co cię w oczach ludzi potępi. Matka ma swe prawa!

— Co ci ten Tołoczko tak bardzo miły. To człowiek już nie młody, majątku niema.

Wtem Aniela przerwała gwałtownie.

— Wiem, wiem, że na niego potwarze rzucają, ale ja im nie wierzę... darmo mi ich nie powtarzają. Dałam mu słowo i dotrzymam.

Szklarska ręce załamała.

— Bój się Boga, ależ to bunt!

— Matka mnie nie dla mojego szczęścia chce dać za Bujwidę, ale dla tego, że on się jej podobał. Ja go niecierpię.

— Ja się też w nim nie kocham, wierz mi — zawołała Szklarska — parobek jest i tyle. Nie sądz jednak, aby matka się upierała, mam jej najuroczy-

stsze zapewnienie, że zmuszać nie będzie. Nie chcesz go, nie wyda cię za niego.

— Moja Szklarcu—słodko, zmieniając ton poczęła prawie błagając Strażnikówna. — Kochałaś, nie miałaś litości nademną, nie przyprowadzaj mnie do rozpacz.

— Ja tylko z Tołoczka mogę być szczęśliwą. Każdy ma swoje upodobania i gusta... ja potrzebuję żyć na świecie, na wielkim świecie. Śmieję się ze mnie, ale wolę nie żyć jak gnić na wsi. Tołoczko to rzecz umówiona, przyrzeczona, da mi karetę, konie, służbę, dom otworzy. Wymówiłam to sobie u niego... On mi będzie posłuszny.

Poczęła się śmiać Szklarska.

— Oni wszyscy bo są przed ślubem posłuszni, a po ślubie zobaczysz w co się to obróci. Jemu na to nie starczy.

— Dostanie starostwo—przerwała Aniela.

— Al moja pani starościanko — ciągnęła dalej Szklarska — pozwól sobie powiedzieć, że dzieckiem jesteś.

Zasiadłszy przy łóżku, stara panna zajęła się przekonaniem Anieli, namawianiem jej, lecz znalazła opór tak niepokonany, iż oprócz łez nic z niej nie wycisnęła. Wieczór nadszedł, musiała Szklarska nocować. Z gniewu tylko wieczery księżnej jeść nie chciała, i kontentowała się z kieszoni dobytym suchym chleba kawałkiem.

Nazajutrz powracała z niczem...

---

Daje to wyobrażenie o charakterze pani hetmanowej polnej litewskiej, że daleko i nieskończenie ważniejsze mając na swej głowie sprawy, panną strażnikówną i Tołoczka tak się zajmowała gorąco, jak gdyby nic więcej do uczynienia nie miała.

Podziwiać było potrzeba niczym mordowaną pracę,

zabiegi, intrygi, któremi jednych ku sobie ciągnęła, drugich starała się pozbyć.

Tołoczko naturalnie służyć jej musiał do wszystkiego, rzucała nim, posyłała, wcale go nieoszczędzając, a że się jej zdawało, iż mu małżeństwo zapłaci to sownie, nie miała nawet tej delikatności, ażeby narażając go na kosztą znaczne, kiedykolwiek o tem dać wspomnieć.

Rotmistrz musiał opędzać wydatki z własnej kieszeni, a były niemałe. Nie jednemu podobne całą substancją zjadły.

Dnia jednego prawie spocząć mu nie dając, księżna wysyłała go za swemi interesami. Tołoczko musiał nie z potrzeby, ale dla okazałości, aby hetmanowi nie czynić wstydu, ludzi i koni z sobą ciągnąć gromady. Rzadki dzień, aby gdzie przyjmować, poić i karmić nie był zmuszony, a co się tam najadł gorczy, to się też nie leczyło. Słowem męczeński wiódł żywot. Długi rosnać musiały i to już lichwiarskie.

Na posażek strażnikówniej musiał rachować, aby je popłacić, bo na hetmanową rachować ażeby ona go indemnizowała, ani było myśleć.

Hetmanowa naówczas właśnie snuła jedną z tych intryg, któremi wojewody wileńskiego znacznie podkopać usiłowała, w miejsce jego podstawując hetmana Massalskiego.

Powszechnem naówczas przekonaniem było, że Massalski ojciec i syn jego biskup wileński stali oba również przeciwko Radziwiłłowi, trzymając się księcia kanclerza Czartoryskiego.

Wtajemniczeni tylko jak przebiegła księżna wiedzieli, iż hetman miał żal głęboki do kanclerza za to, że Ogińskiemu sprzyjał, i do województwa wileńskiego go prowadził, że kanclerzowi mógł stanąć opornie... i do przejednania jako pośrednika bezpiecznie by go użyć można, a Radziwiłła zostawić na stronie.

Księżna chciała hetmanowi Massalskiemu dać rolę



mediatora i pojednawcy ze dworem Radziwiłła opuszczając.

Wciągnięto w to i marszałka nadwornego Mniszcha i wiele innych osób, a że hetmanowa sama nie chciała być zbyt widoczną, więc w Wysokiem się nie zbierano, ale w Białymstoku.

Potrzeba było ciągle tam posyłać, ciągle jeździć, a że Anieli porzucić nie chciała, bo się lękała, aby jej pod niebytność wpadłszy, matka nie zabrała, wozila więc ją z sobą.

W oczy to biło, że strażnikówna do Białegostoku bywała zawsze zdrowa, a w Wysokiem ciągle chorą.

Konieczność sprawienia bodaj naprzód zaręczyn, potem wesela, lub odrazu dania ślubu Tołoczce, stała się niezbytą. Trzeba się było zapewnić, że znajdzie się duchowny, który bez pozwolenia matki pobłogosławi nowożeńców.

Tymczasem z ks. kanonikiem, proboszczem w Wysokiem, hetmanowa była w stosunkach bardzo nieprzyjaznych.

Nawykła dysputować według swojej fantazji, domownikami, których żeniła, rozporządzała nimi, nie pytając o nic, księżna po kilkakroć miała nieprzyjemne zajścia. Kanonik był surowy i w kościele tyjących się sprawach obstawał przy prawie, niezem się nie dając.

Tołoczko posłany, aby go wyrozumiał, znalazł wprost ślub bez matki i pozwolenia jej, niemożliwym. Prosić i błagać ani było sposobu.

Sama hetmanowa już nawet o tem z nim mówić nie chciała. Lecz na szczęście jej ówczesne ducbowieństwo, pod wpływem czasu, całe było na dwa wielkie obozy podzielone. Jedni widząc kościół zagrożony prześladowaniem, w surowości szukali obrony i ściślej niż kiedy trzymali się nie tylko ducha prawa, ale litery i formy.

Z temi o żadnych ustępstwach być nie mogło mowy. Drudzy mieli to przekonanie, że kościółowi toleran-



cją, wyrozumiałością posuniętą do statecznych granic, zyszcza zwolenników. Ci lekceważyli prawa kościelne, kanony i nawet jawnogrzesznictwo tolerowali.

Ksiądz kanonik monstrualnym znajdował ślub bez matki, ale inny wolnomyślniejszy kapłan mógł go dać nie oglądając się na formalności.

Księżna tego drugiego łatwo znaleźć mogła. Był nim bawiący w Białymstoku ksiądz francuz, kanonik de la Branche, który już po kilkakroć miał z nuncjaturą nieprzyjazne zajścia, ale mimo to śluby dawał po pięćdziesiąt czerwonych złotych, jak obwarzanek za grosz.

Kanonik francuz tłumaczył, że wszystkie przepisy małżeństw się dotyczące, później zostały wymyślone i że parze, która błogosławioną być żądała, kapłan nie mógł odmówić błogoławieństwa.

W jednej ze swych wycieczek do Białegostoku, księżna na pokojach spotkała się z kanonikiem, który był galantem wielkim i adoratorem wdzięków przywidłych, ale nadzwyczaj starannie odświeżanych księżnej pani.

— Kanoniku—zawołała chwytając go po drodze—szukałam cię, tęskniłam za tobą, mam cię prosić o jedną łaskę.

— Mościa księżno! — wykrzyknął francuz — dla mnie to łaską będzie, jeżeli mi sobie w czem usłużyć pozwolisz.

— Mam pod moją opieką dwoje ludzi, którzy się kochają, ciągnęła dalej, chcą się połączyć, chcą sobie miłość poprzysiądz... ale matka barbarzyńska staje im na przeszkodzie. Dasz im ślub.

— Z największą przyjemnością, z rozkoszą — odparł francuz — choćby mnie miał *Loci ordinarius* wsadzić do domu demeritów na rekkolekcje.

— Ale do tego nie przyjdzie, matka po ślubie da się przebłagać.

— Jestem na rozkazy W. Ks. Mości — dodał kanonik.

— Mam wasze słowo?—zapytała księżna z uśmiechem.

— Jak najuroczystsze — potwierdził kanonik. — Chrystus zabronił przysięgać nienawiści, ale miłości przysięgę utwierdzać zalecił. Mogę wiedzieć kogo błogosławić będę?

— A! to są osoby do naszego należące dworu — odparła od niechcenia księżna.—*Jeus obscurz*, hałas z tego nie będzie wielkiego.

— Młodzi?—zapytał kanonik.

— Ona młoda, on człowiek dojrzały—mówiła hetmanowa.

Rozmowa po kilku jeszcze zamienionych z obu stron komplementach, na tem się skończyła. Kanonik tylko zawarował sobie, aby jedna z osób, którym ślub miał dawać, zasiedziała parafię w Białymstoku.

Hetmanowa więc uspokojona, przy pierwszym widzeniu się z Tołoczka, umiała to tak łatwo wyrobione przyrzeczenie wystawić mu jako uzyskane z nadzwyczajną trudnością i zapewnić sobie za to niemierną wdzięczność.

— Widzisz, rotmistrzu — dokończyła — że ja dla ciebie się sakryfikuję, że nie zapominam o tobie.

Było to doskonałym wstępem do nowych wymagań od Tołoczki, który musiał za to pojechać szpiegować księcia wojewodę i dojść, kto mu radził i nim kierował. Postępowanie Radziwiłła, zdradzało głowę rozumną i człowieka wytrawnego, a hetmanowa nie miała wojewody za obdarzonego temi przymiotami.

Im więcej skutkiem swego temperamentu nieunoszonego popełniał wybryków, tem Sapieżyna więcej się tem radowała. Starła się też męża od niego trzymać zdaleka, ho wiedziała, iż pojednanie jej interesom byłoby szkodliwe.

Zamiast w Wysokiem, zbierano się teraz na narady w Białymstoku.

Było to ze wszech miar dogodniejsze i mniej kosztowne. Panna Aniela od matki nic odbierając przez

czas jakiś wiadomości, ani przynagleń, łudziła się nadzieją, że przestała się opierać... i że ją łatwo przeblagać.

Stało się to jednak wcale inaczej niż ona sobie wyobrażała.

Bujwid się wylizał ze swej rany dosyć prędko, tak, że nawet już ręki na temblaku nie nosił, tylko mu jeszcze dolegała i ubierać się było trudno.

Ale chłop był zdrow i silny, na ból nie zważał i jak tylko kontusz mógł wsadzić, pojechał do strażnikowej na zwiady.

Koiszewska przyjęła go radośnie, ale na zapytanie o córcę, odparła, że jej znać nie chce, że myśli adoptować małą Skrzyńską, krewną swą, a o niewdzięcznej zapomnieć.

— Strażnikowo, dobrodziejko, nie czyn tego, zlituj się. Ja mam w Bogu nadzieję, że wszystko się zmieni.

Panna Aniela z hetmanową raz wraz jeżdżą do Białegostoku i tam przesiadują, ja też u hetmana i generała Mokronowskiego mam zachowanie, pojedę i ja. Będę nazłość Tołoczce przysiadła się do panny... coś mi mówi, że ja sobie dam radę.

Koiszewska nie odciągała go od tego przedsięwzięcia, zostawiła mu swobodę postąpić, jak sobie życzył i Bujwid wystrojony po polsku, ale nadzwyczaj elegancko, zjawił się jednego dnia na pokojach, właśnie gdy wczoraj przybyła księżna Sapieżyna z Anielą występowały.

Przestraszyła się nieco panna, ale nie straciła całkiem odwagi i gdy starosta pogorzelski przystąpił do niej z komplementem, przywitała go z powagą.

— Bardzom szczęśliwy, że ja tu pannę strażnikównę spotykam—rzekł Bujwid—frasowałem się właśnie o to gdzie mam jej szukać, aby przeprosić.

— Za co?—spytała zdumiona panna.

— Za to, żeś obciął tak haniebnie bohdanka jej, bo to całmu światu wiadomo, że pani hetmanowa

ją wydaje za Tołoczkę. Jam temu nie winien, sam mi w oczy wlaź i guza szukał. On mnie też palnął w ramię, że przez kilka tygodni cyrulika musiałem trzymać i plastrami się okładać. Ramię moje się zrosło, ale jemu palce żeby odrosnąć mogły to wątpię. Mańkutem się musi uczynić, aby pannie służyć.

Panna Aniela słuchała ze spuszczonemi oczyma, Bujwid baraszkował, żartował i jak gdyby do niej żalu nie miał nadskakującym był.

Przy pierwszej jednak sposobności, gdy pan starosta napomknął o małżeństwie, panna mu otwarcie oświadczyła, że ma niezmiennie postanowienie oddać rękę Tołoczce.

— Niech tylko pani stara się wprzód z matką pojednać, bo mocno obrażona i dotknięta, głosi iż małą Skrzynkę chce adoptować i jej oddać wszystko, a stracić tak marnie piękną substancję, nie miło będzie pani, a jeszcze więcej da się czuć rotmistrzowi, bo on nie ma zanadto.

Wiadomość o tem strwożyła nieco pannę Anielę i nie miała nic pilniejszego, nad wypowiedzianie się z niej natychmiast hetmanowej.

Tę już nieustanne zajmowanie się Anielą nudziło, odprawiła ją dosyć kwaśno tem, że niedorzecznych plotek słucha i że nawet pewnie tego Koiszewska uczynić nie mogła.

Chociaż zapewniła o tem Anielę, sama jednak hetmanowa pewną nie była, czy ta pogróżka się spełnić może, lub nie. Tego dnia zaraz wzięła na bok jednego z prawników, na których naówczas ani w Białymstoku, ani nigdzie nie zbywało i przelożyła mu wypadek.

Jurysta głową potrząś.

— Może to być i może nie być, bo mościu księżno dobrodziejko *est modus in rebus*, ale niech z piekła nie wylezie kto taką myśl podaje. Jeżeli prawnie by się to nie dało zrobić, ma tysiąc sposobów matka

córkę wydziedziczyć. Kłopotliwa to rzecz i lepiej zgody szukać, niż takiej ostateczności dopuszczać.

Odpowiedź utkwiała w głowie księżnej.

Bujwid dwa dni przebywszy na Białostockim dworze, wyjechał i jakby grali z sobą w mienianego z Tołoczka, rotmistrz nadciągnął nazajutrz z Nieświeża, przywożąc raport dosyć hetmanowej przyjemny.

Wysłuchawszy go Sapieżyna westchnęła.

— Boli mnie, że ja ci nie mogę wywdziękzyć równie dobrą wiadomością — rzekła. — Być może, iż Bujwid kłamie, ale oznajmił Anieli, że matka jej rozniewana na nią, myśl powzięła adoptować małą jakąś Skrzyńską, a ją wydziedziczyć. O pieniądze ci nie chodzi pewnie—dodała—ale smutna rzecz pannę brać młodszą, potrzebującą wiele, a po niej nic.

Rotmistrz zająknął się, chciał coś mówić, w ustach mu zaschło. Pot zimny wystąpił na czoło.

— To pewna—począł—to pewna, że ja tam o pieniądze tak bardzo nie stoję, mościa księżno, ale powietrzem człowiek nie żyje... smutna rzecz stracić taką fortunę.

— Ha! masz się jeszcze czas namyślić — dodała księżna—możesz się cofnąć.

Rotmistrzowi serce się w piersiach ścisnęło, gdyby mógł, zapłakałby.

— Ostatnia nadzieja szczęścia w życiu — mówił w duchu — mam—że się ja jej wyrzekać dla marnego groszal Nigdy w świecie... Chyba by mnie sama panna odpędziła, ale ona tego nie uczyni. Szczęście do nas zawitać może. Matka nie będzie tak okrutną.

Witając potem pannę Anielę, bardzo wesołego przybrał postawę.

Ona niespokojna, zaledwie słów kilka z nim zamieniwszy, zapytała go czy wie, z jaką wiadomością tu Bujwid przyjechał.

Tołoczko oświadczył, że nie wiedział o niczem.

Opowiedziała mu panna Aniela, co przywiózł.



Rotmistrz słuchając głową potrząsał.

— Jakże to panna strażnikówna nie zmiarkowała, że jego tu wysłano umyślnie z postrachem, bo to nie innego nie jest jak straszenie panny Anieli i mnie.

Co się mnie tknie, ja sobie z tego nie czynię nic. Zechce pani strażnikowa wydziedziczyć, woła jej, ja na posag i pieniądze nie polowałem... a da Bóg żyć, znajdziemy się czem sustentować i bez posagu. Mogłaby panna Aniela i jednej koszuli nie mieć, zawsze bóstwem dla mnie będzie.

Oświadczenie to wywołało z powodu koszuli, rumieniec na twarzy panny, którą Tołoczko w rumianą (bo niezbyt białą) rączkę pulchną z paluszkami krótkimi, pocałował dodając.

— Jawna rzecz że to nowy sposób rozerwania tego związku, który jest życia mojego jedynym celem. Niech panna Aniela będzie spokojną. To są strachy na lachy.

Tołoczko tymczasem jakiś czas wypoczywał w Białymstoku, zarówno z innemi ciągle starając się między panią hetmanową Branicką, a panem hetmanem tak ekwilibrować, iżby się każdemu z małżonków zdawać mogło, że jemu jest oddany.

Wszyscy przyjaciele domu to jest wybornego i wesolego życia w rezydencji hetmana, doskonale wiedzieli jaki jest stosunek dwojga państwa, żyjących z sobą, obok siebie, ale jakby się wcale nie znali.

Hetman z francuzką grzecznością przychodził oddać żonie dzień dobry i zapytać jak spała i dowiedzieć się o jej rozkazy.

Dzień potem za wspólną zgodą schodził w Białymstoku, w Choroszczy, na wycieczkach, a hetmana i samą panią otaczali przyjaciele, rozdzieleni na dwa ohozy, choć na pozór jeden stanowiący.

Hetman wśród dnia zbliżał się rzadko do żony, ona do niego nigdy. Pośrednikiem, który w razie potrzeby, służył mężowi i żonie, był generał Mokronow-



ski, o którym wiadomo, że się kochał w hetmanowej i domyślano, że pozyskał też jej serce.

Nie było to tajemnicą dla hetmana, ale niechciał tego widzieć. Mokronowski był mu potrzebnym. Ona dla generała była na pozór zimną, surową, obojętną, co go bynajmniej nie zrażało.

Mokronowski dowcipny, wesół, uprzejmy, był raczej typem francuza, niż polaka. Można go było postawić na wzór dyskrecyi, taktu, delikatności. W sprawach politycznych bardzo zręczny, wielkiej do nich pasyi nie zdradzał, lecz hetmanowi służyć musiał.

Nie okazując tego Mokronowski w Białymstoku był jednym z najczynniejszych, najwięcej ważących ludzi. Począwszy od najmniejszych spraw, aż do najważniejszych, nie omijały go żadne i przeciw jego woli rzadko co się dokonać mogło.

Hetman apatyczny, dumny, wyżyty, bez niego by był żyć nie mógł. Zazdrość wydawała mu się śmieszna, a byłaby zapóźna.

Sapieżyna, która umiała i starała się wszystko zużytkować dla siebie, była z Mokronowskim bardzo dobrze, a generał, jako galant okazywał jej nadzwyczajną grzeczność. On to miał wyrobić, ażeby w Białymstoku mogło się odbyć wesele panny strażnikówniej.

Pani Branicka znudzona, na wszystko co rozrywkę obiecywało chętnie się zgadzała. Dla księżnej miała usposobienie tem przyjaźniejsze, że stolnik, ukochany jej brat, nią się zajmował, a ona nie tała się ze słabością dla niego.

Wolała też ją jako kochankę brata, niż rywalkę jej wojewodzicową, mściłowską, która była z domu Branicką, ale z rodziny zupełnie obcej starożytnemu rodowi, którego hetman był ostatnim potomkiem.

Ta jednostajność imion tak nierównego znaczenia w Rzeczpospolitej, panią hetmanową drażniła.

W kółku poufnem mówiono już o weselu, które zaaprobować miano. Hetmanowa litewska chciała

je przyśpieszyć, Tołoczko był w gotowości, ale pannie Anieli bez wyprawy, bez tego, co pozostawiła w domu, smutno było z parą sukienek skromnych iść do ołtarza.

Chciała przez Szklarską chociaż gotową swą wyprawę otrzymać.

Z tą troską panna Aniela, znowu po kilkudniowym pobycie w Białymstoku wracała do Wysokiego.

Księżna Sapieżyna przez całą drogę mając Anielę z sobą, rozmawiał z nią i przekonać się mogła, że dziewczę roilo tylko o życiu na wielkim świecie z Tołoczka, bo przez matkę nie spodziewała się nigdy wydobyć z cichego zakątka, w którym jej miłości własnej było za ciasno.

Księżna wiedziała bardzo dobrze, że rotmistrz tych pragnień wygórowanych nie był w możności zaspokoić, ale dla niej to była rzecz obojętna. Natomiast postawienie na swoim, zwycięstwo odniesione nad matką bardzo jej pochlebiało. Miała despozyt w charakterze.

Naostatek Tołoczko w kłopotach, zadłużony, stawał się jeszcze zależniejszym od hetmana i od niej, a ona go ciągle potrzebowała.

Był wtajemniczony we wszystkie jej intrygi, a co mu nakazywała, ślepo spełniał.

Małżeństwo to więc przyprowadzić do skutku, było zawyrokowaniem.

W Wysokiem zastała hetmanowa, mecenasa Płaskowskiego, który miał sobie powierzone interesa księcia na Litwie. Prawdę rzekłszy, był to więcej daleko sługa jej, niż mąż, bo tak interesami kierował, by zawsze się spełniała wola księżnej i temu był winien, że od lat dziesiątka pozostał na miejscu, dostając co roku gratyfikację.

Zobaczywszy go, przypominała sobie zaraz wdziedziczenie Anieli, którem ją straszono.

— A! mój mecenasie—zawołała—rada ci jestem niewymownie, bo tobie jednemu wierzę. Ty mi po-

wiesz czy to może być, aby matka córkę wydziedziczyła i jej się wyrzekła?

Mecenas prosił o szczegóły, które księżna w krótkich słowach zawarła.

— Mościa księżno—odparł Płaskowski—nim na to pytanie będę mógł odpowiedzieć kategorycznie, proszę mi pozwolić sprawdzić okoliczność jedną. Oto przypominam sobie, że byłem na pogrzebie ś. p. strażnika i tam rozmowa się toczyła o jego spadku. Zdaje mi się, że nie cały majątek należy do żony, że on też coś zostawił, a to co po nim zostało tego nikt w świeceie panie Anieli odebrać nie może.

Hetmanowa się uradowała bardzo.

— Nie jestem tego pewnym—rzekł Płaskowski—ale jutro i tak do akt jechać musiałem, zrobię kwerendę.

Nazajutrz w istocie mecenas pojechał, a hetmanowa panie nie nie powiedziała. Trzy dni zabawiwszy gdy powrócił i wszedł na pokoje, podbiegła do niego hetmanowa.

— A cóż? a co?

— Nie omyliłem się — rzekł mecenas — połowa majątku należy do nieboszczyka męża, a na tej dożywocie tylko ma strażnikowa.

— Pewnym jesteś tego—zapytała Sapiżyna.

Płaskowski dobył notatki, na której stały daty zapisów, nie ulegało to więc wątpliwości.

Z wielką potem radością, rozpromieniona kazała do siebie przywołać pannę Anielę.

Życie w Wysokiem od chwili gdy się rozpoczęły intrygi z Tołoczka, było nudami lub męczarnią. Chodziła z myślami swemi nie mając się ich zwierzyć komu, nie rada z siebie, kwaśna. Rozrywką jej jedyną były książki, francuzkie romanse, które zamiast ją pocieszać, zdawały się wyrzucać, iż próżności i dumie życie oddawała, a sercem nie żyła wcale. Lecz mogłaż pokochać Tołoczka, Bujwida lub kogokolwiek z tych ludzi, którzy się jej nastęrczali?

Jednym, jeden powierzchownością swą ją złudził, a i ten był, niestety, tancmistrzem! Los spikał się na nią.

Weszła do salonu tak blada i smutna, że księżna.. zamiast się jej ulitować, do najwyższego stopnia tym wyrzutem została dotknięta.

— A! moja panno Aniello — zawołała — nie czyńże się tak nieszczęśliwą! Patrząc na ciebie, możnaby sądzić, że ja jestem tyranem... i że wam bardzo źle u mnie.

-- Niech księżna wierzy — odparła strażnikówna — że ja łaskę jej dla mnie ocenić umiem, ale tak jestem nieszczęśliwą.

Sapieżyna ruszyła ramionami.

— A ja wacpannie dobrą wiadomość zwiastuję — nśmiechając się dodala opiekunka. — Matka wacpannie grozi, że ją wydziedziczy, otóż choćby chciała, uczynić tego nie może, bo połowa majątku należy do nieboszczyka ojca jej, i na niej matka ma tylko dożywocie.

Aniela rumieniąc się pocałowała ją w rękę, ale zabolalo ją to, że matce zarzut taki czyniono... że się musiała niemal wstydzić za nią.

Napisala zaraz tegoż dnia do Szklarskiej, że ją zaklina aby się widzieć mogła. Na list ten długo musiała czekać odpowiedzi i nie przyszła ona wcale, ale powołana przyjaciółka przyszła sama.

Nie czyniono jej trudności z wpuszczeniem do Anieli, która z rozdrażnienia nerwowego, powitała ją łzami.

— Moja droga przyjaciółko — rzekła na wstępie. — Wiesz całą moją tę historją nieszczęśliwą. Matka mi zagroziła wydziedziczeniem. Rozeszło się to już po świecie. Nie powiem, ażeby miło mi było chodzić z tem piętnem złego dziecka na czole, jako odepchnięta przez własną matkę, ale nie mnie jedną z tej okazji srom spotyka. Ludzie się zaczęli grzebać w papierach i doszli, że matka niema do tego prawa, bo

połowa majątku należy do ojca. Matce więc zarzucają, iż chce ludzie i swe dziecko zwodzić.

Szklarska się porwała z siedzenia. Zakryła sobie oczy.

— Daję ci słowo, że ja o tem nie wiedziałem — zawołała.—Serce matki dobrze ci życzy, pragnie twojego szczęścia, używa wszelkich środków, aby cię uratować od zguby. Tołoczko jest stary, zadłużony i człek chytry, poluje na twój posag. Bujwida ci nie narzucają, zerwij z księżną i nim.

— Ja, byłabym najniewdzięczniejszą — krzyknęła Aniela.—Ja już nawykłam do innego towarzystwa... matka mnie zamknie a potem wyda za jakiego hrecz-kosicja... A! nie! nie!

Zmienić jej postanowienia sposobu nie było, Szklarska więc przyrzekła jej tylko ostrzedz matkę, aby się nie narażała na złe języki, głosząc to czego nie mogła uczynić, ale stara panna zniecierpliwiona w końcu powiedziała prawdę Anieli, wyłajała ją i ledwie się dając przebłagać nieco, powróciła do strażnikowej.

---

Za nieboszczyka króla Augusta zwanego przez Sasów mocnym, pomiędzy licznym dworem znajdował się mało komu znany, choć zaszczycony zaufaniem króla niejaki Reinold Steinheil, który przez czas długi, do osoby króla samego był przywiązany. Nie miał ani tytłu żadnego, ani ściśle oznaczonych funkcij, ale nawet najwyżej położeni w łasce pańskiej, w hierarchji, w zanfaniu monarchy, obawiali go się.

Steinheil, miał zawsze wstęp wolny do króla. Powiadano, że w jakimś wypadku życie mu ocalił i że tem miłość i nieograniczoną ufność sobie pozyskał. Utrzymywali niektórzy, że czasem gdy August sobie pozwalał nadto, Steinheil ośmielał się mu we cztery oczy wyrzuty czynić, i że widząc w końcu króla nie-



poprawnym, płochym i lekkomyślnym a okrutnym razem do starości, wyprosił sobie oddalenie zupełne od dworu, małą pensyjkę i obowiązek *sine cura* rezydenta Saskiego w wolnem mieście Frankfurcie nad Menem.

Tu się w zacisze usunąwszy Steinheil zabawiał się badaniami starożytności greckich i rzymskich, jak student. Słyszał też z biegłości i znawstwa w tym przedmiocie.

Król August gdy go sumienie gryzło, gdy miał drażliwą jaką kwestję do rozstrzygnięcia niekiedy wzywał rezydenta potajemnie do Drezna, zamykał się z nim godzinami, konferował i odpuszczał obdarrzonego.

Po śmierci króla Steinheil pozostał z nazwiskiem radcy tytularnego na swoim stanowisku we Frankfurcie.

August III, który pamięć ojca miał w najwyższem poszanowaniu i respekt dla ludzi, których on kochał, po śmierci jego wezwał do siebie Steinheila.

Radca przybył, zabawił tu trzy dni, i po kilku długich z królem rozmowach odjechał nazad do Frankfurtu. Przed siedmioletnią wojną parę razy go sprawdzano, ale Brühl się go obawiał i nie lubił.

Skończyło się na tem, iż zupełnie został zapomniany.

Po powrocie króla do Drezna, w dni parę, w porze o której król nie przyjmował nikogo, a w przedpokoju oprócz służby nikt się nie znajdował, znalazł się tu stary Steinheil.

Wpuszczać do króla, kogokolwiek bądź bez pozwolenia Brühla, było to narazić się na zemstę jego.

Powiedziano radcy ażeby się oznałmił Brühlowi. Stary się skrzywił i zasępił.

Stał tak naprzeciw drzwi, iż za otwarciem ich, August zawsze na jednym miejscu siedzący z fajką, musiał go zobaczyć. Traf chciał aby się drzwi otwarły, bo jeden ze sług wychodził.



Król spostrzegł Steinheila.

O mało nie krzyknął i porwał się z krzesła swego, wołając, aby go wpuszczono. Wahali się lokaje, wiedząc co ich od ministra spotkać miało, ale król poczynął się niecierpliwić.

Wpuszczono starego przyjaciela rodziny. Król się rozplakał. Powitanie było bardzo serdeczne.

Brühl tego dnia, było to w jego przeznaczeniu zasnął dłużej nieco, potem przeciągnął z jakiegoś powodu przyjście na zamek, tak że gdy przybył tu, nie zastał już króla Augusta.

Służba zdumioną była tem, że tego dnia król się emancypował i okazywał swą wolę.

Ranek był bardzo piękny, powietrze czyste i łagodne. August który od przyjazdu z Warszawy chodził posępny i niespokojny, szukał widać sobie jakiegoś ratunku, pociechy, rozrywki. Steinheil nastroczył do tego zrzęcnosć.

Czy chciał N. pan użyć świeżego powietrza, czy uciec od natrętów i sam na sam zostać ze sługą ojca, nikt nie odgadywał, faktem było, że nikomu nie rozkazując sobie towarzyszyć, dwie lektyki dworskie zawołać kazał i siadłszy do jednej, w drugiej za sobą radcę nieść polecił.

Niesiono ich wprost do Bażantarni.

Przed tym pałacykiem teraz pustych, około którego domki małe zajmowali w części oficjaliści, obie lektyki stanęły. Król opierając się na lasce wysiadł. Oczy miał nabrzmiałe, twarz zarumienioną do zbytku, oddychał ciężko.

— Patrz-że mój Steinheil — odezwał się—jak tu dziwnie i nic się nie zmieniło i wszystko teraz jest inaczej. Próżno mi perswadują, ja się w Dreźnie nie czuję swobodnym, panem. Co chwila się boją aby mnie gruzy nie przysypały.

Steinheil słuchał z uwagą i poszanowaniem.

— N. Panie—rzekł—ja też samo tu czuję.

*Saskie Ostatki T. II.*

— Poczciwy Brühl stara się mi wmówić, że ja z tej wojny wyszedłem jeszcze zwycięzko—po cichu, idąc zwolna poczał mówić król. — Mnie tu nikt prawdy nie powie, chyba ty.

— Oni mi mówią, że powinienem być szczęśliwym ja się czuję upokorzonym i biednym.

Zdaje się, że zagadnięty tak rezydent, znalazł się w bardzo przykrem położeniu. Dumał z głową spuszczoną nie odpowiadając nic. Król zamilkł także, aż w końcu Steinheil rzekł.

— Prawdę mówić, N. Panie często rzecz i niebezpieczna i mało pożyteczna. Człowiek lubi się łudzić, wielu tej gorzkiej medycyny nie znosi.

— Ja, ja—wyjąknął August—zdaje mi się...

— N. Panie — przerwał Steinheil — monarchowie w ogóle rzadko prawdę słyszą, a W. Kr. Mość nie stanowicie wyjątku.

— Ale Brühl mówi mi wszystko—zawołał król.

— Tak N. Panie, wszystko co znajduje właściwem, a co nie zaburza spokoju W. K. Mości.

— Co trzymasz o Brühlu? — wtrącił August — zdolności ogromne, miłość dla mnie niezruszona.

Steinheil się uśmiechnął bardzo nieznacznie, lecz król, który niespokojnie badał go, dojrzał ten nienarodzony półuśmiech i zasepił się.

— Gdyby nie Rossja—rzekł—gdyby nie Moskwa, Brühl tak prowadził interesa moje, że bylibyśmy wszystko odzyskali. Ocalił wiele, honor mój cały. Saksonja odżyje... Polska wybierze po mnie jednego z synów... Alboż to nie świetny koniec takiej zajądłej wojny. Siedm lat wytrwać alboż to nie bohaterstwo?

Za każdym frazesem król się zatrzymywał spodziewając odpowiedzi. Steinheil patrzył w ziemię i milczał.

August łagodnie jakby go chciał przebudzić z uspienia, wziął za suknię i rękę położył na ramieniu.

— Mów, mów—odezwał się łagodnie.—Od moje-

go powrotu męczę się myślami. Cierpię... Brühl mnie pociesza... ale wewnątrz czuję, słyszę jakieś głosy.

Zwolna rezydent głowę podniósł, stara jego, jakby z pargaminu wykrojona twarz przybrała wyraz uroczysty, poważny.

— N. Panie — odparł. — Ci co mówią ci pochlebstwa, kłamią, a głos twój wewnętrzny prawdę ci mówi. Siedmioletnia wojna zadała ci cios śmiertelny. Prusy rozpoczęły te zdobycze, które się skończą ich panowaniem nad Niemcami całymi. Nie twoja jedna korona zachwiała się na skroni, Cesarska także chwile się i spaść może.

August stał blady.

— Polska nie ucierpiała nic za mojego panowania, wojna jej nie tknęła — począł żywo — spodziewam się miłości od nich, rządziłem łagodnie, nie posadziłem nikogo na Königsteinie. Saksonja, boli mnie to, mówią, że wycieńczona, ale Brühl powiada, że ją zniszczył Szwed, a Prusacy już przyszli na wygnędniały. Jednakże podatki płacą, pieniądze mamy, nie brakło ich nigdy, nigdy. Pytałem o to Brühla.

— N. Panie, jeżeli była czyja wina — rzekł Steinheil — to pewna, że nie twoja.

— Brühlowi winienem największą wdzięczność — mówił August — a za to, że się dla mnie poświęcił ściga go nienawiść, obrzucają go potwarzami.

Rezydent zamilkł.

— Mów-że — nalegał król.

— Nie będę kłamał — odparł Steinheil — ale po co Wam N. Panie, po czasie zgryzoty szukać? Brühl służył wam może dobrze, ale sobie lepiej jeszcze, uczynił was niewolnikiem, niedopuszczył ludzi ani prawdy do uszów waszych...

— Jakto? i ty go obwiniasz? — przerwał król przestraszony.

— Ja? nie, ale własne jego sprawy.. — począł powoli Steinheil.

Na chwilę August zamilkł oniemiały. Podeszli kroków kilkanaście.

— Nie uwierzysz—zaczął król znowu, zmieniając ton—jak mi smutno teraz. W tym ogrodzie, za życia mego ojca, co to była za wesołość, jaki przepych, jakich tu miewaliśmy gości! A ja ja... nie mam już takiego myślistwa. Opera mi nie smakuje, trzeba ją odnowić. Nikt do mnie nie przyjeżdża, aby mi powinszować powrotu.

Nie Brühl temu winien, ale moje przeznaczenie. Gdyby nie Brühl, byłbym najnieszczęśliwszym z ludzi. Patrz-że z siedmioletniej wojny, która mogła pożreć wszystko i pochłonać, wszystkie klejnoty ocalone. Galerję schował do Königsteinu i ona ocalała.

Bez niego czy ja bym dał radę sobie z burzliwymi polakami. On dopiero ich okiełznać potrafił. Sam się zrobił polakiem, aby tego dokonać. Wiesz ty o tem?

— Słyszałem, N. Panie—westchnął rezydent.

— Widzisz, ja jemu winienem wszystko.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, król się żywiej trochę poruszył.

— Przekonałem cię?—zapytał.

— Nie, N. Panie—rzekł Steinheil.—Z innym człowiekiem ty byś ucierpiał więcej, ale Saksonja by nie miała w sobie zarodu śmierci, zyskałbyś przynajmniej wieniec i palmę męczeńską.

Zachmurzył się król.

— Nie mogłem nic zrobić więcej — rzekł po namyśle.—Brühl nie winien nic.

I wśród milczenia, powtórzył kilka razy z niespokojnem naleganiem też słowa:

— Nie! nie!

Rezydent głowę schylił.

— Ja ci tego nie mam za złe, że ty go nie oceniasz sprawiedliwie, ja jeden go znam. Wierz mi.

Wiem, że ma nieprzyjaciół, ale heroicznie znosi pociski, które na niego miotają. Co za człowiek!

Steinheil nie odważył się już nic powiedzieć więcej.

Król, jakby czuł potrzebę wywnętrzenia się, ciągnął dalej.

— Nie mogło być inaczej, a gdyby inaczej było, to nierównie chyba gorzej. Wystaw sobie, pałac mu zburzyli... te piękne sale, tę bibliotekę, te obrazy... czego nie pochował, to wszystko zniszczono... przez zemstę nad nim... bo on mnie ocalił! on!

— Ocalił!—wyrwało się Steinheilowi.

— Bez niego byłoby tysiąc razy gorzej — ciągnął dalej król.—Na zamku prawda, nie tknęli nic, tylko to archiwum.

— Al! wiem o archiwum—zawołał rezydent—bom słysząc co zaszło z królową, o mało nie umarł z bólu i wstydu.

August pobladł jak ściana.

— Archiwum i królowa?—zapytał—ale cóż wspólnego ma nieboszczka święta pani z archiwum?

— N. Pan nie wiesz?

— Ja? nie—odparł król.

— Aleś wiedzieć powinien — odezwał się Steinheil.— Królowa przeczuwała, że do archiwum dostać się zechcą. Leżała chora, kazała się podnieść, prowadzić i wzięwszy klucze, siadła we drzwiach archiwum, aby nie dopuścić łupieży.

Blednął i czerwienił się król. Wargi mu drżały.

— Nie pomogło to nic—dokończył rezydent—kazano żołnierzom ująć królowę i opierającą się, krzyżującą, żołdacy gwałtem odnieśli, aby drzwi mogli wylamać.

Słuchał król i lzy mu z oczów ciekły.

— Nie powiedzieli mi tego—szepnął. — Na jutro nakazę nabożeństwo uroczyste za jej duszę. Heroinę się stała... gdy ja... Ale cóżbym ja poradził tu, gdybym został? Czyżby oni mnie poszanowali?... Biedny Brühl, ile go to kosztować musiało przedemną to zataić, aby mnie goryczą nie napoić.

Zwęczony niedługą przechadzką, August usiadł na ławce, sparł się na lasce i głęboko zamyślił. Stojący przed nim rezydent z politowaniem patrzył na niego, nie śmiejąc już się odezwać. Król jakby o nim zapomniał. Po długim przestanku podniósł głowę, potoczył wzrokiem dokoła.

— Wszystko tu posmutniało — rzekł. — Jeździłem do Huberstburga, byłem w Moritzburgu, zwierzyzny prawie niema, tak mi ją prusacy wybili, ale Brühl mówi, że się rozmnoży rychło... Radziwiłł gotów mi przysłać ją z litwy. Wiesz? on jeździ niedźwiedziami. Kazałem żubry tu przysłać, których niema w Europie, ja jeden ich mam... tem się król pruski nie pochłubi!

Wstał nagle.

Lektyki i ludzie mający je nieść, w kanarkowych frakach, z granatowemi wyłogami, stali pokornie na stronie... ruszyli się ku lektykom. Wtem powozu turek dał się słyszeć. Karetka mała, parą koni pieknych zaprzężona w złocistych szorach, biegła w tę stronę.

— To Brühl! — zawołał król uradowany i zwracając się do Steinheila, szepnął — ja mu nic nie powiem.

Rezydent miał wielką ochotę oświadczyć, że tajemnicy z myśli swych nie czyni, ale nie miał już czasu na odpowiedź i król się oddalił, wyszedłszy naprzeciw ministr.

Na twarzy Brühla dziwnie się mieszały dwa sprzeczne wyrazy, wielkiej radości kłamanej i wielkiego niepokoju rzeczywistego.

Ucałował naprzód rękę królewską, a gdy August powiedział mu jedno słowo tylko — Steinhein! — rzucił się z przesadzoną czułością witać go i ścisnąć.

Rezydent przyjął to z wielkiem umiarkowaniem, możnaby powiedzieć, ze wstrętem.

— Wierny, stary sługa W. K. Mości — rzekł minister — ale ten ranek... był dla mnie niespodzianek



pełen. W. K. Mość wyjechałeś nie o swej godzinie. Co powie doktor, który zalecił ostrożność taką? Przeraziłem się...

— Ja bo się zdrów czuję—rzekł August — rano piękny, no i Steinheil mi się trafił!

— Gdzie?—zapytał Brühl.

— Zobaczyłem go przez drzwi otwarte i natychmiast przywołałem...

Podejrzliwie spoglądał Brühl na rezydenta, który milczał.

— Powróćmy na zamek — odezwał się August— jeżeli doktorowie nie pozwalają.

Uśmiechnął się Steinheilowi. — Niech cię niosą za mną, ja cię jeszcze chcę widzieć.—I skinął na niego tajemniczo, ale Brühl pochwycił to przelatujące skinienie.

Steinheil wsiadł do lektyki spokojnie. Brühl do powozu swego. Kenie musiały iść noga za nogą, bo króla nie chciał minister odstąpić ani na chwilę. Droga do zamku trwała dosyć długo.

Zbliżając się ku niemu, Brühl zatrzymał swój powóz, wysiadł i przystąpił do królewskiej lektyki. Tu pochylony, w postawie pokornej, bardzo długo z królem rozmawiał. Królewską lektykę wnoszono w bramę zamkową, gdy Brühl odstąpiwszy od niej, skierował się ku Steinheilowi.

Pomógł mu wysiąść z tego pudełka, w którym był zamknięty i przywitał nadzwyczaj miłym uśmiechem.

— Panie radco—odezwał się—nie wiem, czy król J. M. kazał wam się stawić zaraz na zamku, ale mnie dał polecenie powiedzieć wam, że się czuje trochę zmęczony i życzy, abyście poczekali, aż wezwać was będzie.

— Byleby to nie zbyt długo trwało, bo ja nie dworak, życzę sobie do Frankfurtu powrócić.

— Macie słuszość, Frankfurt jest jednym z najprzyjemniejszych miast niemieckich—mówił Brühl —

pobyt w nim bardzo miły, woda bardzo zdrowa... klimat łagodniejszy niż u nas. Rozśmiał się w końcu.

— I pieniędzy tam mają dużo... Żegnam was — dodał — dam znać, gdy król wezwać was raczy.

Rezydent nic nie odpowiedział i poszedł pieszo do gospody.

Niespokojny, rozdrażniony, Brühl rozpoczął na zamku od śledztwa, kto śmiał Steinheila wpuścić tak do przedpokoju, ażeby go N. Pan mógł spostrzedz.

Jedni składali na drugich, Brühl przypominał, że za tę zbrodnię, dopuszczenia kogoś bez jego wiadomości, karą było — wygnanie. Nastraszył wszystkich, ale nie wypędził nikogo.

Przygotował się do rozmowy z królem sam na sam.

Skutkiem długiego obcowania z królem miał dar szczególny, zgadywał on, co na wszelki przypadek król miał odpowiedzieć, a nawet co uczynić.

Rachuba nigdy go nie myliła. Grał tak na duszy jego, jak wirtuoz na znanem sobie muzycznym narzędziu. Łatwo mu więc było doprowadzić Augusta gdzie chciał i potrzebował.

Przed wejściem do gabinetu, w którym król przez znaczniejszą część dnia fajkę palił, Brühl się zatrzymał u progu, jakby program rozmowy układał.

Wszedł wesół i słodki, uśmiechnięty, dobroduszny, nadewszystko pokorny. August spoglądał na niego z czułością i myślał w duszy.

— I tego to człowieka obwiniać śmieją.

— A! uradowałem się też, zobaczywszy Steinheila — zawołał. — Tyle go czasu nie widziałem, a tak go szanuję... O to mi człowiek!!

Król słuchał widocznie uradowany.

— I ani dobija się wywyższeń, tytułów, majątności, on pragnie tylko służyć wiornie swemu panu! Nieoceniony człowiek!

Król coraz żywiej puszczał kłęby dymu... a fizjognomja jego potwierdzała.

— Takich ludzi mało—ciągnął dalej Brühl.

— Bardzo mało—potwierdził August.

— Niestety tylko, że Steinheila i jemu podobnych do niczego użyć nie można, choć oniby byli do wszystkiego zdolni.

Król zachęcał do mówienia, ale sam nie wtrącał nic.

— Nieoszacowani w zwykłych życia okolicznościach, wśród zawikłań politycznych głowy tracą.

Ze złymi, przewrotnymi ludźmi mając do czynienia, polityk musi odgadywać złe myśli i czasem, aby zapobiedz nieszczęściu, sam się postawić w dwuznacznem położeniu.

Tego Steinheil, otwarty do zbytku, weredyk, apostoł prawdy nie umiał nigdy. Najzacniejszy z ludzi, ale najmniej użyteczny.

We Frankfurcie na swoim miejscu, ale na dworze, w ministerjum, którego byłby godnym.. a jabym go tak rad w niem widział, byłby szkodliwym nam i sobie! Jaka to szkoda! Ja go tak kocham...

— Poczciwy Brühl—odezwał się król rozczulony—ty masz rozum i baczność na wszystko.

Brühl stał chwilę, wpatrując się w królewskie oblicze.

— Jak się W. Kr. Mość dzisiaj czuje? — zapytał.

— Nie źle—odparł August.

— Trzeba się oszczędzać—dolożył minister—a nade wszystko porządku życia nie zmieniać.

Ja się obawiam o tę ranną przejażdżkę do Bazantarni i to jeszcze w towarzystwie tego najzacniejszego Steinheila, który ma dar karmienia i pojenia goryczą.

Król spojrzał zdumiony tem, że odgadnięto rozmowę.

— Dla tego—dodał minister — jeżelibyś W. Kr. Mość życzył sobie widzieć się i mówić z Steinheilem, jako antidotum mieć trzeba kogoś, coby był obdarzonym weselszym poglądem na rzeczy. Ale jabym

był tego zdania—dodał—abyś W. Kr. Mość nie zaraz przynajmniej kazał go zawołać. Ja sam tego doświadczam, po każdej z nim rozmowie, wypoczynek pewien jest potrzebnym.

— Sądziysz?—spytał król.

— W. Kr. Mość masz ślady znużenia na twarzy—dodał Brühl.

August spojrział w zwierciadło. W istocie twarz miał nabrzękłą i jakby nalaną, powieki ciężkie, senne zapadały mu na oczy, skóra faldowała się około ust zaciśniętym.

— Przyznam ci się, że chciałem widzieć tego pocziwego Steinheila—rzekł cicho.

— Ale dla czegoż nie i owszem — przerwał minister — nie wiem tylko jak W. Kr. Mość tem rozporządzisz. Mnieby pilno było bardzo posłać go do Frankfurtu właśnie dla naradzenia się z rezydentem cesarskim co do... przyszłej sukcesji tronu. Nie rad bym tego odkładać, Steinheil jest mi potrzebny, jemu jednemu to powierzyć mogę, bo jego jednego jestem pewnym. Więc chybabyś N. Pan za powrotem jego.

Król głową dał znak przyzwolenia.

— Pożegnaj-że go odemnie—rzekł łagodnie.

Brühl się skłonił.

W godzin parę potem karetka jego stała przed Żłotym Aniołem, w którym Steinheil zajmował małą izdebkę.

Na stoliku leżał otwarty Tacyt, który w drodze mu towarzyszył.

Steinheil stojąc czytał z niego coś, kończąc chleba kawałek posmarowany ulubionym mu gęsim smalcem. Wszedł Brühl i niezmiernie uprzejmie go powitał.

— Przychodzę od króla—rzekł.—N. Pan, który do waszych usług najwyższą przywiązuje wagę, prosi cię, byś do Frankfurtu pośpieszył. Kazał mi wyrazić ubolewanie, że widzieć się na teraz nie będzie z wami, a tyle sobie z tego obiecywał, rozkoszy. Ale król

swoją rozkosz zawsze jest gotów dla dobra kraju złożyć w ofierze. Święty to monarcha.

Steinheil milczał, ocierał usta i patrzył na Brühla, jak się czasem spogląda na wyprawiających hecę.

Minister mówił żywo.

— Zdaje mi się, żeście mi oświadczyli, że życzyście sobie powrócić do Frankfurtu.

— Jak najrychlej!—rzekł rezydent.

— Wracajcież, gdy i sprawy króla tego wymagają—dodał minister.

— Nieomieszkam—zamknął lakonicznie Steinheil.

— Mam królowi co powiedzieć? — zapytał Brühl.

— Wyrażcie mu cały smutek mój, iż ręki jego ucałować nie mogę — rzekł Steinheil. — Jadę dziś jeszcze.

— Czynicie rozumnie, chwili dziś nie ma do stracenia—mówił Brühl. — Wojna jest skończona na pozór, myśmy ze wszystkich zasadzek wyszli zwycięzko, ale dla tego nieprzyjaciele nasi, pozorni zwycięzcy wycieńczeni, osłabieni, na nowo kopać pod nami poczynają doły. Wy jesteście naszą przednią strażą.

Steinheil słuchał tylko. Brühl mający nadzieję dobyć coś z niego, przekonawszy się, że nie jest skłonny do zwierzeń, spojrział na zegarek, podał mu rękę i pożegnał go.

Steinhein nie odprowadził go nawet do wschodów.

Na dole przyparta do wrot stała niepozorna bardzo figurka, mężczyzna w kapelusiku wyszarzanym na peruczce rudej.

Minister spojrział na niego i dał mu znak. Mijając go, rzucił mu w ucho.

— Ani kroku ztąd dopóki nie wyjedzie... i dać znać...

Niepozorny człowieczek słuchał jednym uchem, drugim chwytając, co się działo koło niego.

Brühl zniknął, a on pozostał w miejscu jak przykuty.

W izdebce, zajętej przez Steinheila po odejściu ministra śmiech się rozległ szyderski. Rezydent złożył Tacyta i począł się ubierać na drogę...

Niepozorny ów stróż, który pozostał u wrót gospody, szukał sobie wygodnego miejsca, w któremby mógł spoczywając nie tracić z oczów ruchu, jaki pannaował pod Aniołem i tak dobrze zaszyć umiał w kątku, iż nikt jego bytności nie dostrzegł.

Steinheil miał między polakami i niemcami przyjaciół. Gdy się dowiedziano o nim, poczęli go odwiedzać wszyscy. Posłał był już na przettę po konie, gdy szambelan królewski Zabiello zapukał i nie czekając odpowiedzi wszedł do niego.

— Kochany panie radco—odezwał się od proga—nie posądzaj mnie o natrętność, gdy cię nudzić przychodzę na wsiadanem.

— A zkądże wiecie, że mam wsiadać — zapytał rezydent.

— Przypadkiem—odparł szambelan, oglądając się dokoła. — Nie przychodzę z własnej woli, ale jestem przysłany do was.

— Jeszcze od Brühla?—zapytał Steinheil.

— Ja? od Brühla—ofuknął Zabiello.—W wielkim sekrecie sam Król J. Mość do ciebie mnie posyła.

— W sekrecie przed Brühlem?—zapytał Steinheil.

Zabiello skłonił głowę.

— Kazał mi przeprosić, że już cię widzieć nie może, czuje się chorym, a ty, biedny panie radco, musisz, jak się zdaje, w pilnych sprawach do Frankfurtu powracać.

Śmiał się Steinheil.

— W istocie—rzekł—sprawa pilna... mówiono mi o wynalezieniu nieznanego ułamku pism Cicerona, rozumiesz panie szambelanie, że potrzeba śpieszyć, aby się z tem poznać.

Zabiello stał patrząc mu w oczy.

— Biedny król—westchnął — otoczony jest taką troskliwą opieką, że ona równa się niewoli. Miałże-



byś ty panie rezydencie podejrzanym być, żeś go z niej chciał wyzwolić.

— Niewiem, ale dziś rano król mi dał posłuchanie bez wiedzy dyktatora i został za to ukarany. Schwytano nas na gorącym uczynku tajemnej narady w Bażantarni!

— Jakto? król śmiał? bez zezwolenia?

— Bez wiedzy nawet—dokończył Steinheil.— Domyślałem się rozstając z nim, że mnie już tam więcej nie dopuszczają.

— Biedny nasz pan—rzekł Zabiello. — Kazał mi wam wyrazić cały swój dla was szacunek i obiecuje wkrótce powołać do Drezna.

Rezydent zadumał się milczący.

— Znalazłem go strasznie zestarzałym i zmienionym—odezwał się po malej pauzie—a wy?

— Niestety! — odparł Zabiello — bogdajbym nie był prorokiem. Dni jego są policzone. Gryzie się i niepokoi, kłamie sam przed sobą, czepia się Brühla... w polowaniu i operze szuka pociechy, ale jej nigdzie znaleźć nie może. Widmo Fryderyka, którego ciężkie stopy wszędzie się tu wypiętnowały, chodzi za nim. Widmo królowej, która tu znękana i upokorzona umarła, wyrzuca mu słabość jego.

— A Brühl?—zapytał Steinheil.

— Jest czem był — odparł szambelan. — Potrafił króla uczynić swym sługą i drży, aby się na nim nie mszczono tej niewoli. Tu przyszły elektor, książę Kurlandji, Chevalier de Saxe, cała rodzina ze zgromadzenia patrzą na to, na co myśmy w Polsce przez lat kilka patrzyli i zemsta dojrzewa w ich sercach.

— Wie i czuje, ale zmienić nie może nic, ani się cofnąć. Wie, że gdy król oczy zamknie, on z nim umrzeć powinien, aby nie poszedł na Königstejn lub wygnanie. Mówią, że drogo opłaconą nosi przy sobie truciznę, ażeby swej władzy nie przeżyć.

Steinheil podniósł rękę.

— O biedny ten oślepiiony pan nasz — zawo-

łał. — Nigdy on nie przejrzy? nikt-że mu oczów nie otworzy?

— Operacja ta byłaby zapóźną—odparł Zabiello.— Wszystko, co mogło dotknąć Saksonję i Polskę, spełniło się już.

Zabiello westchnął.

— Król nie najlepiej wygląda—rzekł rezydent.

— Bardzo źle nawet—dodał Zabiello.— My co go kochamy i bolejemy nad nim, ze strachem patrzymy na jego oblicze.

— Historia nam nie daje przykładu takiego panowania—po chwili namysłu rzekł Steinheil.—Kilkadziesiąt lat trzymać króla nieprzystępnym, nieświadomym, pojonym kłamstwem, nie dać mu się przebudzić i przejrzyć. Pieścić go, aby samemu nad nim i nad krajem panować.

— Zbogacić się, urosnąć—wrzucił Zabiello.—Kraj nasz zawichrzony też z jego łaski... leży dziś bezsilny, zdany na samowolę tego, co go zechce opanować.

— Ale po cóż te żale daremne—dodał Zabiello—my, panie radco, zamiast starożytnego *fatum*, które tłumaczyło wszystko, mamy naszą chrześcijańską wiarę w Opatrzność Bożą. Pocieszamy się nią. Rzeczpospolita dźwignie się... a i Saksonja odrodzić się może... bogdajby tylko nie wydawała na świat więcej podobnych ministrów.

— Saksonja?—podechwycił Steinheil—przepraszam was, panie szambelanie, ten mąż wielki nie urodził się w Saksonii, przyszedł do niej na służbę... i tak samo się wpił w nią, jak we wnętrze wasze, wywodząc się z polskiego rodu. Wszystko w nim było kłamstwem, począwszy od religji aż do skóry. Maluje się jak kobieta, a wiarę mienia jak suknie. Ewangelik w Dreźnie, jest katolikiem w Warszawie. Steinheil śmiał się gorzko.

W tem trąbka pocztowa zabrzmiała przed hotelem i sługa rezydenta wszedł ubrany już do podróży.

— Bądź zdrow, panie szambelanie, ucałuj rękę

tego biednego króla mojego, którą bym chciał rozkuć, ale już dziś zapóźno.

Zabiello wkrótce potem wyszedł z hotelu i wrócił na służbę do zamku.

Król widząc go z powrotem nie miał pokoju, aż mijając go, ostrożnie mu szepnął.—Byłeś u niego?

— Byłem gdy wsiadał do powozu, z rozkazu ministra pośpieszając z powrotem na swe stanowisko.

August trochę się zdziwił temu pośpiechowi, lecz zdawał się swobodniej oddychać.

U drzwi pałacu Brühla, który już znowu wspa-  
niale wyglądał, bo potłuczone posagi odzyskały, co  
z nich pruscy żołnierze otłukli i ściany świeciły nową  
sukienką, stał niepozorny człeczek i patrzył we wnę-  
trze, gdy powóz ministra wyjeżdżał wioząc na wie-  
czór ustrojonego Brühla.

Zobaczywszy go, podniósł się minister i pochylił  
ku niemu.

— Wyjechał!—szepnął prędko człek mały.

— Był kto u niego?

— Szambelan króla, polak.

Minister zbladł i zagryzł usta.

— Który?

— Najsłuszniejszy i z największemi wąsami —  
rzekł zapytany.

— Zabiello!—mruknął Brühl.

Powóz, który niby przypadkiem zwolnił biegu  
w bramie, na dany jakiś znak ruszył nagle, a Brühl  
znalazł się z przeciwnej strony na poduszkach jego,  
w głębi.

---

W przyciemnionym pokoju gościnnym u pani  
strażnikowej trockiej, odbywał się rodzaj rady fami-  
lijnej.

Kilka osób z twarzami smutnemi, otaczało biedną

Koiszewską, która głowę i gardło miała podwiązane, a głos jej schryply, ciężki, gdy się z tych chust dobywał, tak był stłumiony, iż ledwie go zblizka dosłyszeć było można.

Na stole zastygłej kawy poobiedniej szczątki i butelka omszona, stały zapomniane.

Wszyscy byli znużeni, spoglądali po sobie i oczyma się pytali siebie.

— Długoż to tam tego będzie jeszcze?

Pierwsze miejsce przy kanapie zasiadał naturalnie Gliński, który je sobie zawsze umiał przywłaszczyć.

Prawnik, mecenas Tołudziejewski, przywieziony przez niego, na krześle nieco w tył cofniętem, przez uszanowanie siedział z włosem do góry nastrzępionym i fizjognomją wrażającą postrach, groźną i nachmurzoną.

Jeszcze dalej krył się w kątku Bujwid i dwóch ubogich krewnych milczących. Panna Szklarska i starsuszkę w białym czepcu z żółtymi wstążkami, obok strażnikowej, naostatek mała Skrzyńska dopełniały tego frasobliwego zgromadzenia.

Głos miał Gliński.

— Cóż tu mówić o pocponderacji i przemocy, jaką na nas wywierają te familje, co sobie nad nami regimen przywłaszczyły w sprawach politycznych, gdy nawet stosunki nasze rodzinne, wolne od gwałtów nie są.

Któż pani hetmanowej polnej prosił o tę opiekę nad osobą, mającą matkę i majątek, a nie potrzebującą ani rady, ani darów? Że się panna strażnikówna dała uwieść splendorem domu, zaszczytem spoufalenia z księżną jejmością, dziwić się nie możemy, ale że z tego księżna korzystać się ośmiela, podziwu godnem jest. Do Trybunału o rapt pozywać trudno.

— Słyszałem—przerwał Tołudziejewski—iż jakieś obietnice dobrodziejstw poczynione zostały.

— Obietnice uczynić, obiecanka, cacanka... pańska

rzecz — wtrącił Gliński — ale jakaż nadzieja, aby się one ziściły, gdy hetman i hetmanowa, nawet własnych wierzycieli wiatrem, to jest słowem, kontentować są zmuszeni.

— Ja ich dobrodziejstw nie potrzebuję — z oburzeniem odezwała się Koiszewska. — Nie należeliśmy i nie należym do tych, którzy klamki się trzymając, z panów żyją i tyją.

— Najsmutniejsze to, że panna Aniela po ich stronie — wtrącił Tołudziejowski.

Szklarska się poruszyła na swem krześle.

— Cóż w tem dziwnego? — zawołała — dziewczę niedoświadczone obalamucić, nie łatwiejszego. Bo żeby się choć kochała w tym gachu pięćdziesięcioletnim, żeby taki zachwycający był... ale to stary rzemień. Żołdakami dowodzić i ogony końskie wozic przed hetmanem, tyle jego, a do zalotów ani mu postawy, ani wiek jego po temu.

Tołudziejowski, demagog gdy mu było potrzeba, przerwał głośno, jakby stał przed kratkami.

— Ogólne to prawo, gdy ci magnat dobrodziejstwo chce uczynić, patrzaj dobrze, pewnie miodem smaruje usta, by wyrwać ząb trzonowy. Tak i tu. Z kieszeni pani strażnikowej trockiej, życzą sobie wynagrodzić imię pana Buńczucznego, który im faktorował po sejmikach i spełniał wszelkie usługi. Pani hetmanowa kocha tak pannę strażnikównę, aby ją staremu dać. Tołoczko *ultimis spirat*, bo mu już pono mięsa na kredyt nie dają... więc się posag przyda.

— Ja żadnego nie dam! — zawołała strażnikowa.

— Ze swojej substancji — rzekł Tołudziejowski — ale rozpatrzmy się czy nie dać można. Co pan strażnik zostawił po sobie?

— Nic — krótko i gniewnie, rzekła strażnikowa.

— Przecież! — spytał Gliński.

— Mielśmy z mężem wszystko wspólne na prze-

życie—odezwała się gospodyni—a ponieważ Bogu się podobało mnie uczynić nieszczęśliwą wdową...

— Za pozwoleniem — rzekł poważnie Gliški. — Podobno te zapisy na przeżycie z powodu zmienionego stanu fortuny, uległy modyfikacji za wspólną zgodą małżonków. Rozdzieliliście państwo fortunę na dwie schedy. Pozostała tedy scheda nieboszczyka, która na córkę przypada, *salvo advitalitio* pani do brodziejki.

— Takby to było — żywo poczęła Koiszewska— ale mój mąż czując się chorym, naprawił omyłkę i znowu mi schedę swą zapisał.

— Ale tego w aktach niema — odparł Tołudziejowski.

— Tak, to prawda, spisał wolę swą, ostatnią przy jednym świadku... nie było nawet czasu przyłożyć pieczęci, ale co to ma do ważności rozporządzenia... Nikt mi nie śmie zaprzeczyć.

— Za pozwoleniem — przerwał znowu Tołudziejowski. — Córką nie będzie negować, ale zięć może i będzie. Rozwinie się tedy akcja o ten dokument, który trudno, aby się utrzymał w znaczeniu swem. Przewidujemy najgorsze.

— Ja pójdę choćby do Trybunału — oparła się strażnikowa.—Apelować będę, niebo i ziemię poruszę, grosza nie dam.

— Pani strażnikowo!—przerwał Gliški.—Nie godzi się mścić na własnem dziecku.

— Nieposłusznem, krnąbrnem...

Obalamuconem—rzekł Gliški.

— Ale ja preces ten wygram. Chybaby w świecie sprawiedliwości nie byłol — wykrzyknęła kaszłąc mocno strażnikowa.

— Ja bym za to nie ręczył — reflektował Tołudziejowski.

— I skandal... ludzkie języki—dodał marszałek.

— Ale radźcież mi, proszę, jak ja inaczej postąpić mogę?—z płaczem prawie poczęła strażnikowa.—



Odbierają mi córkę, chcą wyrwać majątek... a ja mam z pokorą przyjąć to i... milczeć... Nie byłabym Koiszewską!

Wszyscy zamilkli.

— Jabył radził—rzekł Gliński — córce dać wolność wyjścia za mąż tylko z tą groźbą, że jej pani strażnikowa znać niechce jako swe dziecko. Co się tyczy wiana, niech idzie wedle prawa, ale niech Tołoczko pozywa, waćpani się broń, ani grosza nie dać... w sądach pójdą delaty, odkładania, wyroki i kassaty, rozpoczynanie *ab ovo, de noviter repertis*, dwadzieścia lat się to ciągnąć może, a waćpani dobrodziejka nie dasz złamanego szeląga, krom tego co wezmą mecenasi.

Rozśmiał się Tołudziejowski.

Strażnikowa nie replikowała.

— A ja powiadam — odezwała się Szklarska — że to wszystko daremna zgryzota. Strażnikowa tylko miej cierpliwość. Panna Aniela im tam dłużej pobędzie u hetmanowej, im się lepiej przypatrzy, im się rozślucha więcej, a Tołoczkę pozna bliżej, tem pewniejsze, że powróci do nas ze skruczą. Za rotmistrza nie ręczę, gdy się dowie, iż na posag czekać trzeba, ażeby nie cofnął się. Za hetmanową, gdy ją to znudzi, iż musi matkę zastępować nie sercem ale workiem, bo nawet wyprawy nie damy, nie ręczę żeby ręk nie umyła.

— Naówczas ja—wtrącił śmiejąc się starosta pogorzelski — submituję się jako zastępcą rotmistrza, chociaż bez buńczuka.

— Niema z czego żartować — westchnęła strażnikowa.

— Ja też wcale nie lekko to mówię—rzekł Bujwid. — Mam nawet prawo stanąć jako pretendent, gdy mnie za pannę obcięto.

— Tołoczce waćpan dwa palce obciąłeś!—śmiejąc się dodała Szklarska — będziesz musiał za to grzywny zapłacić.

— Gotówem, gdy mi dowiedzie, że były warte choć tyńfa... i że niemi, gdy je miał, zrobił co dobrego.

Tołudziejowskiemu rozmowa tak przechodząca w żarty nie podobała się, począł papierami, które trzymał na kolanach szeleścić.

— Tandem—rzekł—radźmy a nie prawmy *govialitates*, bo nie pora...

— Nie dam nic—zakończyła strażnikowa—zresztą gdy i błogosławieństwa odmówię, niech sobie robią co chcą... A że się przebłagać nie dam, to pewna.

Gliński pochylił się i w rękę ją pocałował.

— Cierpliwości tylko, strażnikowo dobrodziejko—rzekł.—Widzę ze wszystkiego o czem się tu dowiaduję, że dotąd się nic nie stało, coby się odstać nie mogło. Z obu stron straszycie się, spieracie, a przy acani dobrodziejce jest i prawo i słuszość. Hetmanowa radaby zaimponować, nie dać się trzeba i stać przy swoim. Gdy córka zobaczy, że tego starego pretendenta do ręki jej inaczej mieć nie może, tylko narażając się na niełaskę matki, na wyrzeczenie się, w ostatniej chwili się rozmyśli i powróci z pokorą prosić o przebaczenie.

— Święte słowa, pana marszałka — potwierdził Tołudziejowski—inaczej być nie może.

Powoli wszyscy zaczęli potakiwać marszałkowi, uspokoiła się pani Koiszewska.

— Cóż mam robić?—zapytała.

— Nic, obojętnie patrzeć i nie okazywać wcale niepokoju—dodał Gliński.—Powiedziałbym śmiać się, gdyby się godziło tak poważne sprawy śmiechem zbywać. Przysłać może prosić o wyprawę, bo ta podobno była gotową.

— Niedam jej—przerwała strażnikowa.—Jeszcze czego?!

— Za pozwoleniem — kończył Gliński. — Co się tyczy wyprawy ściśle wziętej, jak pani chce, ale inne rzeczy należące dawniej do panny Anieli, jabym wydać kazał, aby nie okazywać, że się o to wielce

troszczy, wróci czy nie wróci. Pierzyny i bieliznę, suknie panieńskie odeślij pani.

Szklarska śmiejąc się przerwała.

— Marszałek jesteś niebezpiecznym, tak umiesz kombinować wszystko bacznie. Te dystynkce między wyprawą a garderobą.

Gliński z widocznem zaspokojeniem miłości własnej się uśmiechnął.

— Służę już moim braciom, szlachcie lat tyle radą i doświadczeniem, żem się wiele nauczył — dodał z uprzejmym zwrotem do starej panny. — Gdy asindźka będziesz miała iść za mąż, proszę mnie zawezwać do pisania interczy!

— O! o! dziękuję, ja za mąż weale iść nie myślę — rzekła Szklarska — ale gdy testament przyjdzie układać, pewnie go będę fatygowała.

Tak skończyła się konferencja, z której opuchła strażnikowa wyszła spokojniejszą.

Wielki nawet żal do córki, ustąpił politowaniu, nad tą ofiarą przewrotności magnatów.

Wszystkich swych gości strażnikowa zatrzymała potem na wieczerzę i rozmowy weselej już się toczyły o rzeczach obojętnych, tylko że wszyscy do hetmanowej mieli żal za Koiszewską i za jej dumne obchodzenie się ze szlachtą, opowiadano o niej różne historie, nie pozostawiając poczciwej nitki.

— Gdyby nie mój proces — tłumaczyła się Koiszewska — córkibym tam nie dała... albo ją dawno odebrała, ale my biedna szlachta z życiem i mieniem na ich łasce, bo oni panują w Trybunałach, oni na sejmach, oni u boku króla, oni sami wszędzie, a nasi pp. posłowie na sejm im jadą służyć.

Królewską moc objęli zupełnie, pod pozorem wolności, ale w istocie żeby sami panowali.

Na odjezdnem Bujwid polecając się łaskawym względom strażnikowej, zapewnił ją, że czekać gotów mając szczerę przywiązanie do panny, którą o niem przekonać się spodziewał.

Szklarska pozostała ze strażnikową, choć dla niej siedzenie na miejscu, skazanej na spoczynek, na zabawianie strażnikowej i proboszcza, który przyjeżdżał czasami, było wielką męczarnią. Nudziła się strasznie, choć miała robotę zawsze jakąś w rękach.

Drugiego tygodnia wytrzymać nie mogąc, wtrąciła nawiasem, że możeby nie szkodziło, gdyby ona od siebie, pojechała do Wysokiego zobaczyć się z Anielą.

Strażnikowa, której dokuczyło to, że nie o córce nie wiedziała, mało co się zawahawszy zgodziła się na to.

— Dałabym ci konie i moją bryczkę na pasach— rzekła — ale poznają i pomyślą, że jesteś przysłana przezemnie, a toby było niedobrze.

Postarano się więc o konie i woźnicę, a powóz proboszcz dostarczył.

W doskonałym usposobieniu panna Szklarska pojechała do Wysokiego.

Nie było już trudności z wpuszczeniem do strażnikówny, która zobaczywszy ją z wykrzykiem radosnym pobięła uściskać.

— Widzisz ty, niewdzięczna jakaś—odezwała się Szklarska — ja umyślnie jadąc do pani Dzierżanowskiej, zajechałam do ciebie. Co u ciebie słyhać.

Zadumała się Anieli.

— Hetmanowa przygotowuje się do zaręczyn i wesela—odpowiedziała—ale z tą moją wyprawą... Wystaw sobie, matka mi nic wydać nie chce, ja nie mam nic, a od księżnej, przekonałam się, nie dostanę nic, choć mi wielkie rzeczy obiecuje, ale małych nawet nie da. Jakże tu stanąć na kobiercu...

Załamala ręce.

— Co się tyczy twojej starej panięńskiej garderoby—przerwała Szklarska—sama słyszałam, mówiącą strażnikową, że ci ją wydać rozkaże, ale na wyprawę nie rachuj. Matka mówi: „głupiabym była żebym ją stroiła i obdarzała, kiedy przeciwko mej woli z domu mi ucieka.“

— Księżna ani myśli o wyprawie—mówiła dalej Aniela — ciągle mi jednak coś obiecuje, może w sekrecie chce mi zrobić niespodziankę.

Uśmiechnęła się Szklarska.

— Księżna nie da ci nic — rzekła — a mężowi, przybywszy do domu, kazać zaraz się oporządzać, od pończoch poczynawszy... rzecz nie miła. Ja jestem starą panną, ale gdyby mi w tych warunkach udawało się zaślubić choćby księcia Ostrońskiego, nie poszłabym za niego. Mężczyźni potem mają zwyczaj wypowiadać: wziąłem cię bez koszuli i t. p.

— Wiem ja to wszystko i mówiłam sobie stokrotnie, ale cóż poradzę?

Wyczekawszy nieco Szklarska, ciągnęła dalej:

— Mówisz, co poradzę? poradziłoby łatwo było, ale na to potrzeba rezolucyjności wielkiej. Powiedzieć wręcz i hetmanowej i Tołoczce: bez pozwolenia matki nie pójdę, lękając się niebłogosławieństwa Bożego.

Aniela nie odpowiedziała. Tyle już nasnuła i namarzyła o życiu z panem rotmistrzem, przy dworze hetmanowej, w towarzystwie Białostockiem, w rezydencjach pańskich, wśród francuzów prawdziwych i naśladowanych, że wyrzec się tego wszystkiego nie miała siły. Opuszczenie przez matkę, dla niej miało znaczenie—ulagodzenia.

Szepnęła o tem Szklarskiej.

— Mylisz się moja Anielko—odpowiedziała—matka dopóki miała nadzieję, że cię odzyszcze, rzucała się, wołała, gniewała, teraz straciwszy ją, ani myśli o tobie... Cała zajęta tą smarkatą Skrzyńską.

Aniela widząc się tak łatwo zapomnianą, zapłakała.

Przez cały czas bytności w Wysokiem, pracowała przyjaciółka nad nawróceniem jej, ale nie widziała sposobu. Spostrzegła tylko, że strażnikówna z mniej-szym zapalem mówiła o księżnie i zdawała się mieć do niej jakąś urazę. Więcej teraz rachowała na Tołoczke.



— Kiedyż tedy ten los ma się rozwiązać? Kiedy się to raz skończy?—zapytała stara panna.

— Albo ja wiem? — odparła strażnikówna.—Mnie się zdaje, że wszystko gotowe, tylko ja zwlekam spodziewając się, że matka mi da wyprawę. Sama teraz nie wiem co robić. Powiadasz, że matka mi odeszłe rzeczy! a widziałas ty kiedy moję panieńską garderobę? Chyba nie. Koszule wszystkie stare, pończochy cerowane, jedwabnych dwie pary i to nie nowe, suknie z pani matki przerabiane. Mizernej rogówki nie mam.

— A cóż ty poradzisz bez niej. Toć do ślubu nawet bez niej nie pójdziesz!

— Chyba mi księżna pożyczycy, ale z niej będzie krótka i mała—mówiła Aniela. — Rogówka kosztuje, choćby używana, pewnie ze dwadzieścia kilka dukatów, a ja grosza nie mam.

— Pożyczyłabym ci, rozumie się pieniędzy, bo rogówką się brzydzę, jak grzechem śmiertelnym — odparła Szklarska—ale ja jestem też bez grosza.

Kłamała przyjaciółka, ale nie chciała w istocie pożyczki ułatwiać i przyspieszać wesela.

— Księżna widząc cię w takim położeniu, będzie musiała pomódz—dodała Szklarska.

Aniela ramionami poruszyła.

— Ja księżnej nie rozumiem — szepnęła cicho.—Mówiąc ze mną złote góry obiecuje, a tu gdy o drobnostkę chodzi, nie chce zrobić nic. Al! żeby się to raz skończyło — dodała strażnikówna — gdyby raz było po ślubie, jabym z rotmistrza wydobyla, cobym chciała.

— Mówią wszyscy ogólnie, że wiele stracił, a mało co mu pozostało—rzekła Szklarska.

— To nie może być, nie może! — przerwała niecierpliwie Aniela.—Choć zaręczyn nie było, przywiózł mi pierścień, pokażę ci go, kto takie klejnoty chowa, ten nie może być ubogi.

To mówiąc strażnikówna, pobiegła do swego ku-



ferka, otworzyła go i dobyła z głębokości pudełeczko starannie obwiązane. W niem na pięknie usłanem bawełną, łóżeczku, spoczywał pierścień, w którym w istocie ogromny brylant połyskiwał, rzucając iskier tysiące dokoła. Oprawa była staroświecka, kunsztowna i bardzo piękna.

— Mówią, że może być wart z pięćset dukatów— dodała Aniela, kładąc go na palec.

— Pewnie! pewnie!—potwierdziła przyjaciółka — ale twoja wyprawa daleko więcej była warta, a z niego ci nic; oczy tylko nasycisz.

Schował się więc pierścień nazad do kufra, a rozmowa powróciła do rogówki, która wszystkie myśli panny Anieli ku sobie pociągała.

Bez rogówki ani do ołtarza, ani na bal... nigdzie nie było można. Jeżdżąc do Białegostoku z księżną, pożyczala jej u Barcińskiej, ochmistrzyni księżnej, ale ta opuściła była Wysokie, a gdyby i była razem ze swą rogówką, to tak zużyta, płaska była i nie formna, że na ślub ją włożyć nie było sposobu.

Suknię białą morową, zasłonę ślubną i inne przybory księżna półgębkiem obiecywała. Co się tyczy rogówki wyraźnie zapowiadała, że jej dostać nie może.

Szklarska uczyniła tę uwagę, że pięknej, świeżej rogówki dostać na wsi było bardzo trudno, chyba po nią posyłać do Warszawy.

Tak o rogówkach rozprawiając do nocy, rozstały się, bo Szklarska nazajutrz do dnia chcąc odjechać, nocować miała w miasteczku.

— Nie dałabym za to grosza, że się wszystko o rogówkę rozbije—mówiła sobie w duchu, wsiadając do bryczki.

Aniela sen miała niespokojny, a wstawszy, dowiedziała się, że w nocy rotmistrz Tołoczko przyjechał.

Pośpieszyła więc asystować przy śniadaniu księżnej, sądzić się spodziewała go zastać. Serce jej biło, ale do rogówki! nie do niego — niestety!

Księżnę zastała po śnie ciężkim ziewającą i kwa-

śną. Toloczko też nie osobiwe przywoził wiadomości. Wszystkie starania około Massalskiego, aby go z kanclerzem rozdzielić, nie powiodły się.

Radziwiłł, którego spodziewano się zaplatać w zawikłanie z wojskiem ruskim i doprowadzić do wybuchu zuchwałego, któryby go sparaliżował, znajdował się, nad wszelkie przewidywanie ostrożnym, baczny i trzeźwym.

Wyciągnawszy z niego co tylko mogła, hetmanowa poszła do męża na radę, zostawując pannę Anielę z rotmistrzem.

Strażnikówna zrozpaczona postanowiła chwilę tę zużytkować.

— Panie rotmistrzu — odezwała się — oddawna zbierałam się z nim mówić otwarcie, nie mogę dłużej milczeć. Matka niechce mi przebaczyć, ani na małżeństwo nasze zezwolić. Ja postanowiłam mimo to oddać mu moją rękę, mając opiekę księżnej, ale ta opieka... mów pan z nią... mnie potrzeba niezbędnie wielu rzeczy, ja nie mam nic... Wyprawy matka nie wyda.

Jąkała się i płatała biedna panna strażnikówna.

Rotmistrz słuchał i bladł a czerwieniał. Tegoż samego dnia właśnie, począł się biedzić, że na cukrową wicherzę, wi na, kondymentów różnych, słodczy, nie będzie miał kupić za co.

Spodziewał się, że pannę mu hetmanowa przystroi i opatrzy sutą wyprawą.

— Panno strażnikówno, dobrodziejko — rzekł — księżna pani nasza, ma dla niej macierzyńskie serce, niech pani się z nią otwarcie rozmówi.

— Mówiłam! — odparła strażnikówna. — Obiecała mi suknię do ślubu, ale ja wszystko zostawiłam u matki, ja nie mam nic, nic!

Toloczko czupryny potarł... bo czuł zimne poty.

— Z przeproszeniem pana — dodała strażnikówna — rogówki mi nawet braknie.

Rotmistrz się uśmiechnął.

— E! cóż bo znowu — rzekł — ta się chyba znajdzie łatwo.

— Ale ja jej ani szukać nie umiem, ani znaleźć nie będę mogła! — dodała panna. — Powtarzam panu, mów o tem z księżną, niechcę się wstydem nakarmić. Bez futra nie wyjechać też.

Zniżyła głos, łzy się jej z oczów polały.

— Widzisz pan, żem mu wszystko sakryfikowała — rzekła w końcu — więcej nie mogę.

— Niech panna strażnikówna będzie spokojną, wszystko się załatwi. Proszę o tem nie myśleć. Hetmanowa ma na głowie mnóstwo kłopotów, zapomina się, ale serce jej najlepsze.

Wstyd jej było i lez i dłuższej o tem rozmowy, słysząc szmer, domyślała się nadchodzącej pani — uciekła.

Rotmistrz stał długo jak skamieniały. Znał nadto dobrze księżnę aby się łudzić, że skutecznie i wspa-  
niałomyślnie przyjdzie w pomoc... niewiedział sam co  
robić. Mówić z nią o tem zawczasu, było ją nabawić  
złym humorem i gniewem może. Sądził, że zostawu-  
jąc rzeczy naturalnemu ich biegowi, będzie najlepszym  
sposobem dojścia do celu. Księżna dać co brakło,  
będzie musiała.

Hetmanowa powracająca od męża, z którym miała ciężką przeprawę, weszła zaperzona, znalazła rotmistrza samego i domyśliła się, że i tu coś zająć musiało.

— Cóżście to z panną Anielą się nieporozumieli? — zapytała.

— I owszem, i owszem, mościu księżno — rzekł szybko Tołoczko — frasuje się tylko, że jej wiele rzeczy brak... ale to fraszki..

— Ona mnie już nudzi temi wymaganiami — zawołała hetmanowa. Wiesz waćpan co, jedź do strażnikowej jeszcze raz, powiedz jej, że nic nie żądasz, ale niechże jej przynajmniej przysze koszule i trzewiki!!

Rotmistrz, który wiedział jak zostanie przyjęty, strasznie się zmieszał.

— Mówię ci, jedź — dodała — jedź do niej odemnie. Zajmę się losem córki... ale żebym miała wyprawę jej robić!! Czasu nawet nie starczy, bo wesele musi być w przyszłym tygodniu. Jedź waćpan nie zwłócząc...

Tołoczko nie mógł się wymawiać, skłonił i przyrzekł, że pojedzie.

Zaledwie się wysunął od hetmanowej, powoli krocząc korytarzem, gdy drzwi pokoju panny Anieli się otworzyły. Słuchała ona rozmowy rotmistrza z księżną.

— Niech pan pamięta o rogówce!! — rzuciła mu w ucho, i uciekła.

Rotmistrzowi się w głowie zawracało.

— Piwam sobie nawarzył—zamruczał.

Zawołano go do hetmana, potem jeszcze raz do pani samej, naostatek pod wieczór kazał zaprzęgać, aby z Wysokiego się wydobyć i nazajutrz rano być u Koiszewskiej. Gościła tu jeszcze panna Szklarska i ona go pierwsza zobaczyła. Pobiegła do strażnikowej.

— Tołoczko przyjechał—rzekła śmiejąc się.

— Co? Tołoczko?—zakrzyczała gospodyni—Każże mu powiedzieć, żeby sobie wracał zkad przybył, ja go znać niechcę, i mówić z nim niebędę.

— Strażnikowo kochana!

— Nie będę!—tupiąc nogą, powtórzyła Koiszewska—ty mnie znasz, skoro powiadam, nie będę, dośyć na tem.

Niepodobna było nalegać, Szklarska poszła sama.

Rotmistrz z wielką pokorą prosił o posłuchanie.

— Bardzo mi przykro panu to zwiastować—odezwiała się Szklarska — ale strażnikowa mocno chora i widzieć się z nim nie może i nie będzie.

— Pani dobrodziejko...

— Ja na to nic nie poradzę, wyrok jest nieodwołany.

— Przybywam nie od siebie, ale wysłany przez panią hetmanową.

— To zupełnie wszystko jedno—odparła Szklarska. Gdyby nawet pani hetmanowa, honor ten uczyniła Koiszewskiej i sama przybyła, ręczę że nie byłaby przyjętą. Tak — powtórzyła — nie byłaby przyjętą.

Tołoczko potrzebował namysłu, nim się na dalsze transakcje zrezolwował. Rozpoczął je z delikatnością wielką, zawsze w imieniu księżnej.

— Ja nic więcej nadto nie mogę—odpowiedziała pośredniczka—że żądanie zaniozę i odpowiedź wiernie powtórzę.

Wyszła więc.

Tołoczko zaczął po pokoju się przechadzać, zatopiony w myślach i ani się spostrzegł, że pół godziny upłynęło nim panna Szklarska powróciła.

— Pani strażnikowa, kazała mi powiedzieć—rzekła—że garderobę córki wydać rozkaże, ale nie wypawę. W istocie, wyprawa jest w gotowości, ale pani strażnikowa, nie wydając córki wedle życzenia, dawać jej nie myśli i do tego jej skłonić nikt nie potrafi.

Powiedziawszy to Szklarska, z pończochą usiadła na kanapie i Tołoczko prosić jej już nie mógł, aby raz jeszcze poszła w poselstwie do Koiszewskiej.

Wymęczywszy się z godzinę, to prosząc, to usiłując zmięczyć serce pośredniczki, rotmistrz w końcu musiał wziąć za czapkę.

Wyszło mu w gardle od argumentowania, a nawet kieliszkiem wódki go nie poczęstowano. Przeklinał więc w duchu strażnikową, a może dzień i godzinę, gdy się niepotrzebnie zajął panną Anielą. Tyle tylko zyskał, że mu garderobę nazajutrz wysłać obiecywano.

Strażnikowa tak była rozżaloną przeciw córce, że to, co oddawała jej, jakby naumyślnie spakować kazała bezładnie, bieliznę nie praną, suknie pogriecione



a niektóre z nich podarte i pocerowane tak, że wstyd tylko ich było.

Można sobie wyobrazić, jakie to wrażenie uczyniło na biednem dziewczęciu. Na domiar wstydu, sama księżna przyszła oglądać co wysłano i nielitościwie sobie szydziła.

Wpadła niemal w gorączkę panna Aniela, aż ją trzeźwić musiano, uspakajać, poić i pocieszać. Słuchając, gdy hetmanowa wymyślała na jej matkę, porywała się jej bronić i nie umiała. Powzięła tylko do księżnej żal i uczucie jakieś niewysławione wstrętu... tak, że rada była co najprędzej się ztąd i z pod jej opieki wydobyć.

Nazajutrz wreszcie z rozkazu, pani ochmistrzyni i panny szwaczki zajęły się jakimś przygotowaniem czegoś, co wyprawę zastąpić miało.

— Nie wyobrażaj sobie, mój Tołoczko — mówiła do niego hetmanowa — że ja namęczywszy się, żeby ci dać żonę, przyczyniwszy sobie tem nieprzyjaciół, których i tak mam dosyć, miała się sadzić na wyprawę. Musisz, biorąc żonę, pomyśleć o tem, żeby ci wstydu nie robiła.

Ktoby w tych dniach strapienia widział pana Buńczucznego, siedzącego na krześle i zajętego swoim przyszłym szczęściem, które wyglądało na męczeństwo, nie poznałby w nim wesołego, ochoczego, męznego dowódcy Janczarów z dawnych czasów.

Panna chodziła, nie patrząc na niego i nie mówiąc. Gdzie się posunął tylko o pożyczkę, odprawiono go z niczem.

Księżna gderала na niego i gniewała się, że nie był szczęśliwy. Nie wiedział gdzie się obrócić.

A że o rogówce słyhać nie było, w końcu panna Aniela raz jeszcze, w korytarzu, bardzo serjo i z naciskiem wielkiego znaczenia, powtórzyła mu, iż rogówkę mieć musi.

Przyparty tak nieszczęśliwy rotmistrz musiał na



zwiady pójść, gdzieby mógł dostać tej rogówki, którą przeklinał.

Litościwa dusza jakaś oznajmiła mu, że wdowiec pułkownik Matuszewicz miał pono aż dwie ich po żonie i życzył sobie je sprzedać.

Siadł tedy rotmistrz na bryczkę i choć z pułkownikiem był nie najlepiej, ruszył na zdobycie rogówki.

Dotarwszy do miejsca dowiedział się, że pułkownika nie było, ale rogówek aż dwie w istocie.

Stara jejmość, pani Urmowska, która się gospodarstwem pułkownika zajmowała, grzecznie bardzo kazała przynieść rogówki, objaśniła wszystkie ich zalety, zaręczała za trwałość i za to, że nieboszczka więcej nad parę razy żadnej z nich nie miała. Oba te drogocenne dzieła kunsztu nie więcej nad kilkadziesiąt dukatów sztuka kosztowały. Skrzywił się rotmistrz, ale byłby zapłacił, gdyby miał czem. Potrzeba było pieniędzy, zresztą księżna, zdaniem jego, powinna była opłacić. Kupno więc do namysłu oddłożono.

— Niech się pan rotmistrz śpieszy—odezwała się Urmowska—bo tu już kilka pań jest, co się o te rogówki dobijają. Teraz bez nich ani stąpić, kto w świecie bywa... a tę ich na okolicę nigdzie nie dostanie. Tembardziej tak przedziwnych jak te, które pewnie aż z Paryża pochodzić muszą.

Rotmistrz z tem powrócił do Wysokiego.

---

Bywało w Wysokiem wesoło, ale bywało też tak nudno, że sam hetman utrzymywał pod czarną gozdzinę księżnej Magdaleny, ludzie sobie od ziewania szczęki wyłamywali.

Despotyczna pani nie znosiła twarzy wesołych, gdy sama raczyła być smutną, ani pochmurnego oblicza, jeśli miała usposobienie do śmiechu i zabawy.

Nie zawsze się powodziło, była nadzwyczaj drażliwą i nie umiała nic znieść spokojnie, przychodziły więc burze bardzo często, a rozpedzić je nie było łatwo.

Sprawa potajemnego knowania przeciwko Radziwilłowi, ożenienie Tołoczki, obojętność stolnika, którego chciała i spodziewała się pociągnąć ku sobie, wszystko to razem nadzwyczaj źle wpływało na humor hetmanowej, a od niej szła burza na dwór cały i na pana hetmana.

Opór Koiszewskiej, niemożność postawienia na swoim prędko i łatwo, samej księżnie już tak dokuczyły, że chciała skończyć jak najprędzej.

Gotowa była nawet na pewną ofiarę, byle nie pieniężną, bo pieniędzy w kasie nie było. Napadła na Tołoczkę, ażeby wszelkie drobne trudności i przeszkody starał się sam załatwić.

— Mościa księżno — odparł pokornie rotmistrz. — Bóg widzi oddałbym ostatnie, ale muszę się przyznać nie wiele mam. Świeci się tam coś jeszcze, taję jak mogę, żem zadłużony po uszy, ale ostatkami gonię i nie wiem zkad wziąć na wesele, bo mi żydzi nawet pożyczyć nie chcą.

— Gdzieżeś się tak zaszargał? — zapytała księżna.

Tołoczko zdesperowany zdobył się na odwagę, zarumienił się i rzekł:

— Na usługach W. Ks. Mości.

Zmarszczyła się piękna pani.

— Widzi księżna całe moje życie, nałogów żadnych nie mam, kawałkiem chleba razowego gotówem żyć, ale gdy idzie o służbę księciu lub księżnic, z jutrem się nie rachuję.

Westchnął ciężko.

Księżnie się go jakoś żal zrobiło.

— Mój rotmistrzu — odparła — spodziewam się, iż wiesz o tem, że my oboje tym co nam z serca służą umiemy wdzięczność okazać, możesz się więc nie frasować swoją przyszłością. Chcę też Koiszewskiej pokazać, że nie na przekór jej córkę wzięłam, ale coś

dla niej uczynię. Choćby dla tego, aby nie żałowała, co traci ze strony matki.

Skłonił się z przykłonieniem Tołoczko, a że do księżnej przywołano któregoś z jej faworytów, wyszedł żywo, rozmyślać o przyszłym szczęściu i o rogówce, której wspomnieć nie śmiał.

Wieczorem po wieczerzy książę go wziął do swego gabinetu. Miał minę jakąś uroczystą, na stole leżał list wielką pieczęcią Sapieżyńską zamknięty. Książę był wesół i dobrej myśli.

— Wiem od Magdusi o twych kłopotach i wier-nych służbach—rzekł do niego hetman—naradziliśmy się z nią czem ci pomódz. Mnie w tej chwili ciężko, bardzo ciężko, ale mam przyobiecane u Brühla dla waćpana pierwsze pomierne starostwo, jakie zawa-kuje. Dowiaduję się właśnie, że Kąkolownica jest do dania, bo ten, co ją trzyma, umiera. Doktorowie go widzieli. Nikt o tem nie wie, nikt się nie spodziewa, potrzeba korzystać z czasu. Musisz dniem i nocą jechać do Drezna. Do Brühla mam list gotowy, zalecam cię, dał mi słowo, otrzymasz Kąkolownicę. Tylko pośpiech gwałtownie potrzebny. Ruszaj natychmiast do Drezna.

Rotmistrz hetmana w ramiona i po rękach całował, Sapiecha mówił dalej:

— Daję ci listów dwa, do Brühla i do szambelana Zabielly. Nim się tu ludzie o wakansie na Kąkolownicę dowiedzą, ty powinienes mieć w kieszeni list królewski.

— A któż go zapieczętuje?—westchnął rotmistrz.

— To moja rzecz — dodał Sapiecha — przywieź tylko.

— Mam zaraz jechać?—przerwał Tołoczko.

— Mówiłem ci, dziś na noc jeszcze, ale nikt wie-dzieć nie powinien dokąd i po co. Gdy powrócisz starostą i kredyt się znajdzie i wszystko pójdzie jak po maśle, a nawet strażnikowa zmięknie.

Pożegnaj-że bohdankę twą, księżnie podziękuj, bo jej winienesz najsilniejszą instancję i w imię Boże.

Wdzięczności Tołoczki opisać niepodobna, zdawało mu się, że litościwe nieba kładły koniec jego cierpieniom.

Wszystko się teraz składało dobrze i łatwo. Żmigrodzki rotmistrz jechał do Dreżna i ofiarował się podróż tę odbyć z Tołoczką.

Z wieczora jeszcze tegoż dnia otrzymał audiencję u księżnej, nie mogąc wyjechać nie podziękowawszy. Księżna kazała przywołać pannę Anielę do swego pokoju, aby rotmistrz i jej rączki mógł ucałować, dała mu notatkę sprawunków w Dreźnie, zapomniawszy dać pieniędzy na nie... i Tołoczko mógł wyjechać natychmiast, bo na porękę Żmigrodzkiego żyd Aron Białostocki dał mu oberżniętych sto dukatów. Rotmistrz się zobowiązał wypłacić je za trzy miesiące z przyrostem tylko pięćdziesięciu. Ale żeniąc się kto zważa na takie bagatele.

I to też do pomyślnego składu okoliczności zaliczyć można, iż do podróży dostał takiego nieoszacowanego towarzysza, jakim był Żmigrodzki, sławny jowialista, oczał dusza, człowiek serca szerokiego, kochany od wszystkich. Z nim w drodze rozkosz była, bo jeśli się nie śmiał lub nierozśmieszał, to śpiewał, a częstować nadzwyczaj lubił. Humor miał taki, że go na pogrzeby nie zapraszano, bo by na cmentarzu do śmiechu pobudził.

W Warszawie miał przysły starosta dostać pismo polecające go panom poczmistrzom, jako jadącego w pilnym interesie J. K. Mości.

Pora była jesienna i chłodna, ale przewidując to Żmigrodzki miał w nogach puzderko z flaszkami, napełnionemi wódką gdańską i kubek srebrny dobrej miary. Raczyli się więc po drodze, naprzemiany zakąsując to piernikiem toruńskim, to półgęskim.

Do Warszawy przybyli nie opatrzywszy się. Tu gościć nie myśleli i natychmiast wybitym naówczas

traktem saskim podążyli nad Elbę. We Wrocławiu pierwszy raz ciepłego czegoś zjedli.

W drodze spotykając się ciągle z jadącemi do Warszawy, mieli sposobność się dowiadywać o zdrowiu króla. Zaręczano im, że i Brühl i on cieszyli się jak najlepszem. Działo się to dnia trzeciego października.

Dnia następnego Żmigrodzkiemu zostawując zupełną swobodę obracania się tu wedle własnego natchnienia, rotmistrz z listami udał się naprzód do Brühla. Nie zawsze do niego dostąpić było można. Dopiero przed samym obiadem, wystawszy się w przedpokoju, Tołoczko został przypuszczony do oglądania pośódkiej twarzy ministra, który udawał jeszcze młodego, strojny był z przepychem i elegancją, ale na obliczu zmęczonem nosił najsmutniejszą przepowiednię.

Brühl okazał się nadzwyczaj dobrze usposobionym, bo wojując z Czartoryskimi, wszystko co im opór stawiało, rad był sobie pozyskać i trwale przywiązać.

— Spodziewam się — rzekł mu w końcu posłuchania Brühl — że jutro lub pojutrze król W. panu list na to starostwo podpisze, a jeżeli W. panu pilno, nazad będziesz mógł się stawić N. Panu z podziękowaniem natychmiast.

Zadał jeszcze kilka pytań Tołoczce, tyczących się Radziwiłłów i sytuacji wojsk russkich i z uprzejmością nadzwyczajną do widzenia go pożegnał.

Szambelan Zabiello przyjął też znajomego sobie zdawna Tołoczkę, rad że z nim o Litwie będzie mógł pogawędzić.

— Niema najmniejszej wątpliwości — dodał — że przywilej na starostwo podpisany zostanie. Brühl taki tu wszechmogący jak był w Warszawie, a daleko mu się łatwiej obracać.

— A król? — zapytał Tołoczko.

— Król, zdaje mi się, że utył już nawet od swego



przybycia. Nie może się nacieszyć Dreznem—mówił Zabiello—teatr mu przyozdabiają, polowania przygotowują, które, gdyby nie żubry, zagasiłyby Białowieżskie i Pragskie. Przed swoją ukochaną Madonną sam widziałem, gdy się modlił i płakał. Niema nad niego szczęśliwszego człowieka, bo tego, co by go zgryźć mogło, nie widzi.

Rozmawiali długo. Zabiello opowiadał o życiu w Dreźnie, o dworze, o następcy tronu, który chory był i kaleka, o księżniczkach... królownie i tem, co Augusta otaczało.

Od Zabielly dowiedział się rotmistrz, że rano o siódmej godzinie król był zwykły słuchać mszy świętej w kaplicy zamkowej, do której wstęp osobom wybranym był dozwolony. Szambelan też obiecywał wprowadzić z sobą rotmistrza, aby na intencją pomysłnego skutku zabiegów swych mógł się pomodlić i rodzinę pańską zobaczyć, bo tej nie znał wcale.

Resztę dnia ledwie mógł spocząć Tołoczko, tak go rozrywali panowie przy królu bawiący, ciekawi dowiedzieć się jak stały sprawy od czasu ich wyjazdu. Szło głównie wszystkim o Trybunał piotrkowski, który Potocki wojewoda kijowski tak samo miał opanować jak Radziwiłł wileński i jeden z Potockich już był na marszałka głosem powszechnym dezygnowany.

Tołoczko i Żmigrodzki biesiadować musieli od rana do nocy, bo ich sobie z rąk do rąk podawano.

W rotmistrza też przy tak szczęśliwych wróżbach wstąpiło męztwo, powróciła mu wesołość. Dość późno powrócił do gospody swej pod Trębaczem za bramą i zasnął snem twardym. Żmigrodzki dużo później powróciwszy, zabawił się tem jeszcze, iż go w najlepsze usypiającego póty wołał i potrząsał nim, aż go zbudził oświadczając, że chciał tylko wiedzieć co mu się śniło.

Zasnął potem znowu Tołoczko i przez pacholika trochę zapóźno rozbudzony, ledwie miał czas się przy-



odziać, aby do kaplicy na mszę świętą pobiedz do zamku.

Z wyznaczonego mu miejsca mógł się przypatrzeć królowi, który wszedł stąpając ciężko, bo zdawało się, że nogi miał obrzękłe. Twarz choć łagodnie uśmiechnięta, nadzwyczajne wyrażała znużenie, w czasie nabożeństwa oczy mu się przymykały i zdawał się drzeć. Słuchał jednak i mszy i modlitw po niej następujących, klęcząc pobożnie i modląc się... dopiero gdy mu przyszło wstać do pocałowania pątki, ludzie pomagać i pod ręce go wiaść musieli, ale Zabiello zwyczajem to tłumaczył.

Nie wiedzieć z jakiej przyczyny, rotmistrz ciekawie się wpatrując w N. Pana, znalazł go smutnym i sam doznał przykrego wrażenia.

Zabiello, który mu towarzyszył, a miał tego dnia służbę i pokój dla siebie na zamku, zaprowadził go z sobą.

Nie spodziewał się Tołoczko, aby dnia tego mógł dostać wiadomość pomyślną od Brühla, ale chciał pilnować się, aby czasu nie tracić. Zbliżenie się więc do osoby króla, do szambelana, który mógł mieć o podpisaniu papierów wiadomości, bardzo mu było na rękę. Zabiello też śniadanko swe z królewskiej kuchni rad był podzielić z przyjacielem.

Za orszakiem dosyć licznym dworaków, towarzyszących N. Panu, udali się na zamek, w którym Brühl już na niego oczekiwał.

Zabiello odprowadził Tołoczkę do pokoju.

Kazał śniadanie rychło podawać, bo miał zawsze wilczy apetyt, a sam się poszedł stawić na chwilę na pokoje.

— Król przekąsi coś pewnie i siądzie z fajką słuchać, co mu Brühl na ten dzień przyniesie, a ja będę mógł do was powrócić.

Siadł tedy Tołoczko u okna i przypatrując się ruchowi nader ożywionemu na podwórzach zamkowych, spokojnie na przyjaciela oczekiwał.

Czasu trochę upłynęło nim szambelan powrócił i zawołał o przekąskę.)

— Króla widzieliście?—spytał rotmistrz.

— A jakże! zagadnął mnie nawet o tem, iż sły-szał o kilku ichmościach przybyłych z Polski, a ja mu was wymieniał.

Rozśmiał się Buńczuczny.

— Nie wiele się z tego nauczył, bo mnie jako żywo nie zna, tak jak większej części swych wier-nych poddanych. Jakże się dziś ma? — dodał To-łoczko.

— Zdrow, tylko nogi podobno w kaplicy przezię-bił, a ma zasłużoną pedogrę w nich—odparł szambe-lan. — Pedogra dopóki w nogach, póty człowiek zdrow, gdy pomaszeruje do głowy i piersi, niema ratunku. Kazali mu się panowie doktorzy w łóżko położyć, aby się odgrzał. Siądzie potem do obiadu, o swej porze i zje dobrze, bo na popis może wystą-pić z apetytem. Je i pije co się zowie.

— Daj Boże na zdrowie—wtrącił Tołoczko.

Nie długo zabawiwszy, Zabiello wysunął się dla służby, a rotmistrz wygodne sobie krzesło, skórą obite, znalazłszy, zanurzył się w niem i myślał o pannie Anieli.

Szambelana, który miał natychmiast wrócić, nie było pół godziny, upłynęła godzina, nie doczekał się go rotmistrz. Zbliżało się południe.

Aprehensi ztąd jednak żadnej nie powziął Tołocz-ko, sądził, że Zabiellę służba przy królu zatrzymała, lub chęć dowiedzenia się o czemś, dla usłużenia jemu.

Jednakże w korytarzach jakaś bieganina, ruch żywy, głosy niecierpliwe, dające się słyszeć coraz częściej, wydały mu się podejrzanemi. Znajdował to czemś nadzwyczajnem, ale się uspakajał tem, że zwy-czajnego życia nie znał.

Wtem drzwi się rozwarły nagle i Zabiello wpadł śpiesznie, ale jak ściana błądy.

Tołoczko zerwał się z krzesła.

— Nieszczęście! — wykrzyknął wbiegając szambelan — nieszczęście! Królowi od tych nóg przeziębionych pono pedagra do góry postąpiła. Pełno już koło niego doktorów i cyrulików. Przed chwilą, gdy do ciebie przyszedł nie było najmniejszego niebezpieczeństwa, a lękam się, aby za chwilę nie było już żadnej nadziei.

Rotmistrz ręce załamał i naiwnie wykrzyknął:

— A mój list na starostwo nie podpisany! to trzeba mojej doli! Ale możesz to być, co pan szambelan mówiś? Król wczoraj miał być zdrow jak ryba.

— Zdrow był jeszcze przed godziną, gdy mi się leżąc w łóżku uśmiechał. Szyję bym był dał, że do obiadu wstanie, a teraz gdy tu siedłem, ten łotr cyrulik Charon zamruczał mi: „Co tu doktorów sprowadzać? jemu ksiądz potrzebniejszy niż oni.“

Zbladł Tołoczko i jakby w niego grom uderzyło stał osłupiały.

— Mój rotmistrzu — odezwał się do niego Zabięło. — Mnie się zdaje, że ty tu nie masz co robić. Ne zamku, w tej izbie, samemu siedzieć smutno ci będzie, i nie wygodnie. Powracaj do gospody, dam ci znać, co pan Bóg na nas ześle. Nie taję jednak, że z tego co słyszałem i widziałem, złe bardzo wróżby. Siódmego tego miesiąca mieliśmy jego sześćdziesiąt siódme urodziny obchodzić, daj Boże, aby ich dożył!

— Nieszczęśliwa ta dola moja! — zamruczał Tołoczko. — Ha! dziej się wola Boża.

Schwycił za rękę Zabięłę.

— Mój szambelanie — dodał — pozwól, żebym ja tu pozostał, pręcej się dowiem, co mnie czeka. Lecz co tu mówić o sobie? kiedy nie wiadomo co się z królem stanie.

— Jeżeli chcesz — rzekł szambelan, biorąc już za kłamekę — zostań tu. Jesteś o kilka kroków od sypialni króla, co się stanie, dam ci znać.

To mówiąc, wybiegł z wielkim pośpiechem.

Korytarz zamkowy pełen już był nadbiegających zewsząd członków królewskiej rodziny, duchowieństwa, urzędników, lekarzy.

Nikt nie zwracał uwagi na rotmistrza, który chcąc się lepiej przypatrzeć i przysłuchać co się działo, pozostał przyparty do ściany, na przesmyku, którędy biegli przestraszeni słudzy i dworacy.

Na twarzach wchodzących i wychodzących czytać było można, jak położenie groźnem się stało.

Mówiono głośno. Lekarze na zapytanie o zdrowie króla, odpowiadali otwarcie.

— Król żyć nie będzie, jest bardzo źle. Nikt z nas niema najmniejszej nadziei. Krew puszcza mu jeszcze.

Brühl, który w czasie zmiany zaszłej nagle w stanie zdrowia króla Augusta nie był na zamku, dopiero w godzinę może później przyniesiony został w lektyce.

Rotmistrz zobaczył go bezprzytomnego prawie, wpadającego na górę i przeciskającego się do sypialni, w której drzwiach natłok był służby i starszyzny dworskiej.

Wszechmogącego przed chwilą ministra popychano i jakby już upadek jego był przewidziany, nikt nie zważał na niego, nieodpowiadano mu na pytania natreętne.

Chciał z przedpokoju przebojem dostać się do łóżka chorego, ale gdy już jedną nogą stał na progu, drzwi gwałtownie z wnętrza zamknięto. Kapłan spowiednik wszedł z przenajświętszym Sakramentem.

Cisza nastąpiła wielka i oczekiwanie. U drzwi w trwożnym niepokoju stała cała rodzina: elektorowa, córki królewskie zbite w jedną grupę jakby szukały w sobie opieki, szeptały płacząc. Obok nich z załamanymi rękami, zapłakany jak one stał książę kurlandski. Nieco opodal Chevalier de Saxe i książę Ksawery. Wszyscy porażeni tym ciosem, który się wydawał śmiertelnym.

Ci, co króla w tym roku, szczególnie ku jesieni widywali, nie taili się z obawą. Doktorowie na zapytania odpowiadali ruszeniem ramion i mruczeniem niezrozumiałem. Sam humor króla od powrotu z Warszawy, zmieniony stan umysłu, niepokój, uskarżanie się na dolegliwości, napędliały trwogą.

Nie było dziwnem dla nikogo, że po wejściu spowiednika, August pozostał z nim zamknięty przez godzinę. Przez cały ten czas ci co byli zgromadzeni w przedpokoju, nie śmiejąc się ruszyć, pozostali w miejscu jak przykuci. Rodzina króla na przedzie stała odosobniona. Z niej ks. kurlandzki i córki najwięcej okazywały boleści. Brühl stał opodal nieco, nie śmiejąc się zbliżyć do rodziny, której znał ucznia dla siebie. Nie zachęcała go też obejściem się swoim, nikt nie spojrzał, nie przemówił do niego. Z urzędników też nikt się nie zbliżył. Pozostał odosobniony, opuszczony, jakby już skazany został i czekał tylko wyroku.

Jak ta w baśni postać tajemnicza, która się staje niewidoczną, tak on dla cisnących się i ocierających o niego już nie istniał.

Twarz jego blada nagle zestarzała, zwiędła, napiętnowana nieopisaną trwogą, kamieniała w oczach, gasło życie. Nie miał woli, nie miał może myśli, tak się mu one splątały... nie mógł się poruszyć.

Oczekiwanie to nieme trwało do końca spowiedzi. Zwolna otwały się drzwi, zabrzczał dzwonek, niektórzy z przytomnych poklekali. Łkanie i płacz dały się słyszeć wśród kobiet.

Gdy towarzyszący kapłanowi usunęli się, na łożu dała się widzieć twarz sina, a przy niej najbliższej ks. kurlandzki, który przyklęknął... Król poruszać się nie mógł... szeptał coś tylko.

Zabięło, szambelanowie sascy i polscy zbliżyli się sądząc, że ich usługa będzie potrzebną.

Z łona milczenia głos cichy się dał słyszeć.

— Kona!



Zawtórowali mu bolesne okrzyki niewiast. Elektorowa tylko stała nie dając po sobie poznać wzruszenia.

Po nad głowami przyklękających połyskiwała bladym światłem ogromna gromnica, którą królowi trzymać pomagał ulubiony syn, ale wkrótce padła na ziemię... Król zmysły postradał.

Na okrzyk oznajmujący konanie, rzucili się instynktowo lekarze, chcąc próbować przywołać go do życia. Szmer powstał pomiędzy nimi, opanowano już obumierającego, nacierając, potrząsając nim, oblewając woniami, próbując jeszcze krwi upuścić... ale w martwych już zwłokach iskierki życia nie było.

Zaraz, po otwarciu drzwi, za innemi krokiem chwiejącym się, niepewnym, wsunął się Brühl.

Szedł jakby nie swoją popędzany siłą, z musu nie z własnej woli, oczy szklane trzymając wlepione w coś dla drugich niewidzialnego. Zwrócili się potem mimowolnie na zwłoki króla, zatrzymały uwieszone na nich, stanął...

Ale nikt nie poznawał w nim wczorajszego Brühla, minister umarł razem ze swym monarchą.

Scena bełżeści prawdziwej, rozdzierającej odegrywała się w grupie kobiet, których płacz przerywały krzyki.

Królowny mdlały, słaniały się padając na ręce otaczających je dworzan.

Zabiłło pierwszy pochwycił księżniczkę Kunegundę, inni dwaj pozostali porwali na ręce i z pomocą towarzyszków wynieśli z pokoju.

Książę Kurlandski leżał na ziemi u zwłok ojca i na głos zawodząc żałośnie płakał, a płaczowi jego towarzyszyła księży modlitwa. Jęki siostr wyrwały mu z ust słowa, łkaniem przerywane.

— Straciliśmy najlepszego ojca, godnego łez, pozostał nam sierotom tylko ojciec nasz niebieski, łaskawszy i mocniejszy nad niego.



Nie tknął nikt jeszcze zwłok, gdy wśród szmeru modlitw rozpoczętych dał się słyszeć brzęk kluczków..

Elektorowa blada, z wyrazem jakiegoś przestraszenia na twarzy, w zastępstwie męża, który kęską będąc ruszyć się nie mógł i nie był przy śmierci ojca, zamylała szuflady i szafy, wołała, aby jej znoszono klucze, rękami drżącemi zagarniała porozsypywane papiery, przewidując, że cośby ukryć przed nią chciano.

Na widok tego gospodarstwa przy trupie nieostygłym jeszcze, twarz ks. kurlandskiego przybrała wyraz sromu i wstrętu.

Wtem wzrok elektorowej padł na skamieniałego jeszcze Brühla, zatrzymała się pytając oczyma, czego tu stał jeszcze, jak śmiał uragać się swoją przytomnością tym, co z jego więzów zostali oswobodzeni.

Z tłumu wysunęła się jakaś ręka koścista, położyła skórą okrytą i dotknęła ministra. Drgnął jakby elektryczną iskrą zbudzony, poruszył się, zakrył oczy dłońmi, ale iść nie mógł... Na znak dany przez elektorową jeden z szambelanów ujął go za ramię i wyprowadził.

Toloczko zdala całej tej tragedji się przypatrywał i trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, zapomniał o sobie patrząc na nią.

Dopiero Zabielił ks. Kunegundę oddawszy na ręce jej kobiet i powróciwszy nazad, bo sobie przypomniawszy rotmistrza, ściągnął go z tego miejsca, które zajął, nie dobrze świadom tego co czynił.

Toloczko odmówił Anioł Pański za duszę nieboszczyka i odszedł pogrążony w myślach smutnych.

— Nie mam ja tu już co robić — odezwał się do Zabieli. — Trzeba śpieszyć do domu, bo tam się gotują wielkie i straszne rzeczy. Kaptur będzie burzliwy, a kto przemoże na nim, ten króla da. Czartoryscy, ani chybi, uproszą sobie pomoc Imperatorowej. Musimy swoich i przyjaciół naszych bronić interesów. Dziś mi nie o Starostwie myśleć, które przepadło, ale o przyszłej Elekeji.

— Ale ja też—odparł szambelan—muszę do swoich. W Dreźnie się moja służba skończyła. Pospieszę też za wami. Kiedy jechać myślicie?

— Dziś, zaraz, w nocy, lub najdalej jutro — zawołał rotmistrz.

— Widzieliście Brühla?—spytał Zabiello — dziwię się, że przeżył tę chwilę... znienawidzony przez wszystkich... może się spodziewać takiego bezprzykładnego upadku, jak była bezprzykładną jego dyktatura.

— Obwiniliby ojca, gdyby go prześladowali—rzekł Tołoczko.

— Weźmie truciznę—zawołał Zabiello — i wszystko się skończy tem, że mu majątkości skonfiskują. Żal mi syna, bo lepszym był od ojca.

Okrywszy się płaszczami, oba rozmawiając po cichu, usiłowali się wydostać z zamku. Tłum ludzi wypełniał podwórze, wschody i przyległą ulicę, od strony kościoła, którego dzwony wszystkie głosiły już śmierć króla. Powozy, lektyki, konni, piesi przybywali i odpływali w różnych kierunkach. Niektórzy ze sług umarłego, płakali po kątach.

W gromadkach, na ulicy, opowiadano sobie zmyślone śmierci szczegóły...

Powszechny odgłos był, iż króla siedzącego u stołu, apopleksja razila...

Ciekawi jacyś szli i stawali naprzeciw pałacu Brühla, jakby się spodziewali, że go zobaczą wkrótce wiezionego na ten Königstein, w którym on więził nieprzyjaciół.

Brama pałacu stała zamknięta, straż jej nawet usunęła się wewnątrz, żywej duszy nie było w oknach, a zapuszczone firanki, nie widzieć nie pozwalały.

Tołoczko naopróżno szukał sposobu jakiegoś, przyspieszenia pod Trębacz.

Wszystkie powozy były przejmowane, wszystkie lektyki w ruchu.

W ulicach, miejscami pustych, gdziekolwiek zbierały się gromadki i żywo rozprawiały, poruszając rę-

koma. Z Zabiellą rozstawszy się u wrót, rotmistrz musiał pieszo wyruszyć do gospody.

Na drodze spotkał również przyśpieszającego Żmigrodzkiego.

— A cóż? — zawołał zdala, poznawszy go towarzysz podróży — i ja i wy napróżnośmy do Drezna tak śpieszyli, przybyliśmy *post factum* i niema tu co robić.

— Ja dziś lub jutro do domu, na miłego Boga — zawołał Tołoczko — tyłem tylko zyskał, żem na moje oczy widział króla umierającego, a obrazu tego, póki życia nie zapomnę. A wy kiedy w drogę?

— Byle konie, choć natychmiast — odezwał się Żmigrodzki. — Na pogrzeb obowiązku nie mamy czekać, a u nas będzie co robić, bo się bezkrólewie gotuje, jakiego dawno nie bywało.

— Tu się spodziewają pono kalekę nam dać na następcę po ojcu — rzekł rotmistrz. — Słyszałem o tem wczoraj.

— Mieliśmy dwóch i nie kaleków — przerwał Żmigrodzki — sądzę, że nam ich starczy. Do trzech razów sztuka. Niech sobie Sasi biorą kogo chcą, nam czas małżeństwo to zerwać, które za drogo kosztowało. Łaska Boża, iż nie potrafili nas w niewolników obrócić i na dziedziczne królestwo przerobić, czego im się chciało.

— Daj Boże, aby kto inny nie zastąpił ich w tem — rzekł Tołoczko. — Myśmy w ciągu tych dwu panowań i zgnuśnieli i ogłupieli. Czartoryscy się mieli czas przygotować, Prusy zmocnić, my osłabnąć... niechże Bóg nas z opieki swej nie wypuszcza, aby owo sławne proroctwo Jana Kaźmierza, gdy składał koronę nie ziściło się.

— Ty bo czarno widzisz wszystko — przerwał Żmigrodzki. — Wytrzeźwimy się my, gdy nam niebezpieczeństwo zagrozi.

Wchodzili do gospody pod Trębaczem, gdzie już przyniesiona wieść o królewskim zgonie taki ruch

niespokojny wywołała jak w mieście całem. Podróżni na gwałt konie zaprzęgać nakazywali. Gospodarz lamentował, lży ocierając fartuchem.

Popłoch jakiś, którego nikt sobie wytłómaczyć nie umiał, rozpędzał wszystkich. Obawiano się nie wiedzieć czego. Niektórzy dopytywali się o Brühla, głosząc, że go miano wywieźć na Königstein, drudzy mówili o truciźnie, bo nie chciał przeżyć swojej władzy... inni głosili, że uciekł, jak się tylko o śmierci króla dowiedział.

Mrok szedł tymczasem i noc nadeszła, koni dostać nie było można. Ci co je mieli, kazali sobie płacić za niepokój jaki panował.

Tołoczko dopiero nad rankiem potrafił ściągnąć woźnicę z przedmieścia i razem ze Żmigrodzkim opuścili żałobne Drezno.

---

Powróciwszy z wyprawy swej nieszczęśliwej Tołoczko, rozchorował się naprzód z utrapienia jakiego doświadczył.

Hetmanowa, która to sobie tłumaczyła obawą, aby się nie zerwało małżeństwo, chcąc pocieszyć rotmistrza posłała mu dać znać, ażeby się gotował stanąć do ślubu, gdyż ona wszystko bierze na siebie i dawszy słowo, dotrzyma go.

Rotmistrz po swojemu kochał pannę Anielę, podobala mu się jej młodość, nęcił go urok tego zaledwie rozkwitającego pączka, ale też i ów posag i wioska, nie były do pogardzenia. I one wchodziły w rachubę... A tu o posagu pod poduszką ani było myśleć można, a po najdłuższem życiu strażnikowej, kto wie, czy się co zostać miało, jeżeli wydziedziczyć chciała?

Jakże się tu żenić, dawszy słowo, że będzie kareta i cug i liberja?

Zdawało mu się chwilami, że lepiej było odłożyć

małżeństwo i choćby się nawet przyszło z niego wycofać.

— Taka jest moja dola! — mówił w duchu. — Do każdego ewentu idę, a gdy już tylko rękę wyciągnąć, aby ująć eo człek pragnął, umyka mi gałąź i jabłko złote uchodzi do góry.

Wydobrzawszy nieco rotmistrz do Wysokiego pojechał, gdzie go hetman pilno powoływał, bo wszystko było w niezmiernym ruchu w całej Polsce, gdy nadeszła wiadomość o królewskiej śmierci. Właśnie się zabierano Trybunał w Piotrkowie otwierać, który Czartoryscy swoim mieć chcieli, a Potocki wojewoda kijowski stawał przeciwko nim, gdy z Drezna goniec przywiózł żalobną wieść.

Czartoryscy już nie myśląc o Trybunale, ale o przyszłej elekcji, tejże nocy, z miasta wyruszyli. Kanclerz i wojewoda kijowski, oba teraz nie o przewagę chwilową, ale o poprowadzenie przyszłej elekcji po swej myśli starać się i zabiegać poczęli. Co było więc ludzi obrotnych, mogących pozyskać dla niej siły, panowie powoływali do swego boku.

Przebakiwano, że cesarzowa poprze, bodaj wojskiem wybór swojego kandydata, którym być miał stolnik litewski lub jeden z Czartoryskich. Drudzy mówili o Potockim, wojewodzie kijowskim, o hetmanie Branickim, a naostatek i Saska dynastia ludziła się tem, że przyjaciół miała.

Hetman polny i księżna pani bardzo sobie życzyli na ten czas, gdy im zręczny sługa był potrzebnym pozyskać Tołoczkę... Hetmanowa dowodziła, iż strażnikównę mu dając, na wieki go sobie zobowiąże.

Powołano go więc do Wysokiego, ale księżna myślała tylko o ślubie, a nie o tem co do niego było potrzebnem.

Koiszewska się rozbroić nie dawała. Tołoczko był w pieniężnych kłopotach. Księżna pomódz mu nie mogła, bo sama długi miała. Ze starostwem się nie powiodło... Co było począć?



Cofnąć się, odkładać nie chciała, bojąc się, aby się z niej nie wyśmiewano.

Panna Aniela nudziła ją równie płaczem jak wymaganiami. Nie mogła ona jeszcze pogodzić się z tą myślą, że ani wyprawy, ani posagu mieć nie będzie, a natomiast obietnice tylko.

Siedząc w Wysokim mogła się przekonać najdowodniej, że księżna była skąpą i że nią być musiała, bo jej na występowanie świetne nie starczyło.

Widząc się tak nieszczęśliwie zawikłaną i do Tołoczki miała żal, i do siebie, i do matki, i do księżnej. Przychodziła do stołu z zapłakanymi oczyma, a gdy hetmanowa starała się ją pocieszać, z takimi się odzywała żadaniami, iż gniew w niej obudzała.

Nikt jednak z tych wszystkich osób, co nieszczęśliwe małżeństwo gotowały, nie chciał się wyrzec raz powziętej myśli. Tołoczce panny żal było, księżna miała w tem punkt honoru, jak mówiła, Aniela chciała być rotmistrzową i jeździć kareta.

Kanonik w Białymstoku oczekiwał z daniem ślubu, rzecz była rozgłoszona.

Księżna już tylko powtarzała.

— Panu Bogu dziękuję, gdy się to raz skończy.

Przybywszy do Wysokiego rotmistrz naprzód relację musiał zdać o śmierci króla, potem słuchać co tu projektowano przeciwko Czartoryskim i ich kandydatowi się broniąc, naostatek w nagrodę za wszystko co ucierpiał księżna mu oznajmiła, że do ślubu wszystko gotowe.

Musiał dziękować.

— Na nieszczęście — dodała prędko — gdybym chciała waćpanu dopomódz i pannie, nie mogę. Czas kontraktowy się zbliża, wierzyciele niepocześciwi mnie cisną. Wiem, że waćpan byś darowizny ani wymagał, ani przyjął, ale bym pożyczką choć służyła... cóż, kiedy jestem, jak turecka święta. Jesteś mężczyzną, masz przyjaciół, radź na razie, a potem i Koiszewska się udobrucha i starostwo się wyrobi.



Potrzeba było milczeć tylko i dziękować.

Panna Aniela, która zwykle wychodziła zaraz do salonu, gdy się o przybyciu rotmistrza dowiedziała, tym razem się nie pokazała, aż po nią posłano.

Zjawiała się wreszcie, ale z miną tak kwaśną, tak nadąsaną, zbywając czulego Tołoczko swoim chłodem, że nie wiedział na którą stąpić nogę.

Hetmanowa, widząc to, pomiarkowała, że najlepiej ich zostawić samych, aby się rozmówić mogli. Wyszła do gabinetu.

Rotmistrz przystąpił chcąc rozmowę począć obojętną, panna niedopuszcila.

— Mówileś pan z hetmanową??

— Tak jest—rzekł Tołoczko—i zdaje mi się, że się cieszyć mogę, bo wszystko co na przeszkodzie stawać mogło, usunięto.

— Wszystko?? — ruszając ramionami niecierpliwie wykrzyknęła panna — ale ja nie widzę nic. Ja nie mam wyprawy! Księżna to, co mi ofiaruje, ledwieby jakiejś łowczance starczyło. Nie będę miała w czem się pokazać...

— Niech panna strażnikówna raczy to księżnie wytłomaczyć, że wyprawę trzeba całą robić nową, a więc na to i czasu pójdzie nie mało. Będę się starał najgorliwiej, ażeby się ona pani podobała. Spodziewam się dostać pieniędzy, których na razie gotowych niestan, moja siostra zajmie się wszystkim... ale — powtórzył — na to trzeba czasu, dużo czasu. Wesele zatem musi być odłożone, a odkładane rzeczy—westchnął—nie zawsze dobre.

Zamilkł, panna usta zagryzła i zżymnęła się po-drażniona. Zamilkli.

— To coś nowego—zamruczała.

— Ale w tem nie moja wina—dodał Tołoczko.— Jeżeli księżna tem się zniecierpliwi, wszystko wy-rzeczy i w tem wina będzie nie moja!

— A czyjaż? moja może? — oburzyła się panna Aniela.

— Na miłość Boga! niech-że się pani nie gniewa — zawołał Tołoczko — anim myślał, anim mówił, żeby to pani winą być miało.

— No, to czyjaż?

— Przepraszam, ale winna temu pani strażnikowa — dokończył rotmistrz.

Aniela oczy spuściła.

— Wyprawę moglibyśmy zrobić i po ślubie — dodał po chwili — pani byś naówczas sama nią pokierować i choćby do Warszawy po nią pojechać.

— Wyprawa po ślubie, łyżka po obiedzie — rezolutnie odezwała się panna.

Tołoczko czekał wyroku. Spojrzała na niego, stał jak winowajca czekający wyroku.

— Prawdziwie że głowę tracę — zawołała Aniela.

— Ja, pani moja, już dawno jej nie mam — szepnął Tołoczko.

— No, suponujmy — poczęła nagle strażnikówna — że wyprawę będziemy robić po weselu, chociaż to niesłychana, ale są rzeczy niezbędne, które ja do ślubu mieć muszę, na przykład futro, no i rogówka, bo ja panu rotmistrzowi mówiłam, że bez rogówki do ołtarza nie przystąpię.

— Ale mnie się zdaje, że księżna pani rogówkę na siebie wzięła.

— Tak, coś, pono jakby obietnicę czyniła, iż ją dostanie.

— Ja właśnie dwie po pani Matuszewiczowej naprzytyłem — rzekł rotmistrz — i ceny ich przywiozłem.

— Księżna znajduje, że są bardzo drogie — dodała panna Aniela.

— To już nie moja rzecz o tem sądzić, a nawet troszczyć się o to — pośpieszył objaśnić Tołoczko. — Jak skoro księżna wzięła na siebie rogówkę, ja się jej ani tknę. Księżnaby mi to miała za złe.

Aniela skrzywiła się i, jakby sama do siebie, odezwała się stanowczo.

— Ja to tylko wiem, że bez rogowki, co się zowie, nie pójdę do ślubu.

— Więc już tylko o nią idzie jedną? — podchwycił Tołoczko.

Aniela skłoniła mu się i wyszła, nie mówiąc słowa.

Rotmistrz w stosunkach oddawna ze dworem hetmanowej miał tu stosunki liczne, zapragnął przez nie się dowiedzieć, co w istocie księżna zamierza względem tej nieszczęsnej rogowki i spróbować, czyby przez kogo na nią wpłynąć nie można. Do tych przyjaciółek Tołoczki należała panna Lewandowska łowczanka Bielska, która choć się nie pokazywała w Wysockiem i żyła w kątku, była u księżnej najlepiej położoną z całego fraucymeru. Zwała ją przyjaciółką.

Panna Lewandowska, gdyby nie wąsiki ciemne, które się jej wysypały przed laty kilkoma, byłaby jeszcze za wcale ładną uchodzić mogła brunetkę.

Słusznego wzrostu, pięknie zbudowana, zdolności też miała niepospolite. Wyuczyła się z łatwością kilku języków. Pamięć miała doskonałą, a że wszystkiego była ciekawą, o wszystkim zawsze najlepiej była zawiadomioną.

Rotmistrz ujmował ją grzecznością, całował ją w rękę, czego drudzy nie domyślali się, nazywał ją Łowczanką, gdy inni witali wprost: „jak się ma panna Lewandowska?“ Był tedy w łaskach. Rotmistrz poszedł do niej po obiedzie i zastał przy kawie.

— A! witam pana—zawołała z radością.—Słyszę, że byleś przypadkiem przy śmierci króla, prawda to?

— Stałem przy drzwiach sypialni w czasie, gdy zaszła ta katastrofa—rzekł Tołoczko.

Posypały się pytania, na które musiał odpowiadać badany i w końcu panna Lewandowska miała relację jak najdokładniejszą, którąby do gazety posłać mogła.

— A! panno Łowczanko — w końcu dorzucił rotmistrz—ja do pani po ratunek... Co ze mną będzie.

— Przecież ślub zapewniony.

— Ale mi moja panna stawia warunki i wymagania—rzekł rotmistrz.

— Jakie?

— Ma słuszość, potrzebuje choćby futra na drogę do Białegostoku... i rogówki. Co do tej ostatniej, zapowiedziała mi, że się bez niej nie ruszy.

Lewandowska śmiała się, wzięwszy w boki.

— Słyszałam o tem, bo podobno wszystkim to powtarza.

— A pani hetmanowa?—spytał Tołoczko.

— Pani hetmanowa — zniżając głos poczęła łowczanka—tak już jest znudzona, tak zniecierpliwioną, że się lękam, aby w końcu nie porzuciła wszystkiego.

— Al panil—trącił rotmistrz.

— Nie bój się pan — śmiejąc się, dodała Lewandowska—na to poradzimy. Najgorsza rzecz, że nie wiedzieć, gdzie rogówek szukać. Ze swojej garderoby nie może pani żadnej dać, a...

— Dwie jest na sprzedaż po pułkownikowej Matuszewiczowej, ja sam je targować jeździłem.

— Ja o tem wiem przecie—dodała panna Lewandowska—ale ceny są niesłychane. Rogówki używane.

— Tak jak nowe, oglądałem je.

— Pan się na tem nie znasz, ja wiem nawet obu rogówek metryki—mówiła panna. Rogówki są używane, a ceny szalone.

— Choćby przyszło jedną przepłacić...—podszeptał rotmistrz.

— Niech Bóg uchowa!—krzyknęła Lewandowska.—Księżna nie cierpi, gdy ją chcą eksploatować. Nie da grosza złamanego nad wartość.

— Ja bym później dopłacił—rzekł Tołoczko.

— Pan byś później dopłacił, a tu teraz zaraz trzeba zapłacić kilkadziesiąt dukatów... Księżna się zakłęła, że nie da tyle.

Załamiał ręce Tołoczko.

— Cóż się stanie.

— Nie wiem, ale mogę zaręczyć, że ceny, jakiej żądają, hetmanowa nie zapłaci.

— Choć płacz! — zawołał rotmistrz.

— Cóż tu płacz pomoże? — odezwała się Lewandowska.

Po krótkim milczeniu odezwała się poufale do ucha łowczanka.

— Nie pamiętam — rzekła — żeby księżna była kiedy, od bardzo dawna, w takim, jak dziś położeniu. Wydatki ma ogromne, drą ją na wszystkie strony, a tu nie wiedzieć zkąd brać pieniędzy. U księcia w kasie pajaki sieci snują. Księżna posyłała do swoich dóbr, odpowiedział Worzyński, że nie może dać nic, aż po Nowym Roku. Pożyczyć nie ma u kogo. Hetmanowa wszystkim się zadłużała. Klejnotów na zastaw dać nie zechce za nic, a my monety knuć nie możemy.

— Rozstap się ziemio — szepnął Tołoczko, który miał znaczny zapas desperackich wyrażań.

— Żal mi waćpana bardzo — ciągnęła dalej Lewandowska — aleś sobie kupił sam taki kłopot, że o większy trudno. Gdybyż panna miała rozum, przepraszam, ale jej się zachciewa niewiedzieć czego, a sądzi, że strażnikówna trock...

Nie dokończyła przez wzgląd na biednego Tołoczka, który spuścił głowę i stękał.

— Co ja tu zrobić? — rzekł — gdybyś panna Łowczanka była łaskawa starać się skłonić hetmanową do nabycia tej rogówki.

— Widzę, że waćpan nie znasz naszej pani — odparła Łowczanka. — Ma taką naturę, że gdy ją kto namawia na co, niezawodnie robi na przekór, powtóre, mówię waćpanu, że pieniędzy nie ma. Naostatek powiada, że się nie chce dać obdzierać. Jeśli co jest do zrobienia — dodała panna — to chyba dostać inną rogówkę.

— Gdzie? zkąd? — zawołał rotmistrz — to wprost niepodobieństwo.

Tołoczko tak był znękaný, że Łowczance żał go się zrobiło.

— Nie desperuj—rzekła—księżna chce na swoim postawić przeciwko Koiszewskiej... więc jakoś się to złoży. Miej cierpliwość i trzymaj się w gotowości.

Tołoczko ucałował jej ręce, zaklął na wszystko, poszedł.

U hetmana rada była właśnie, do której go potrzebowano, wino stało na stole, wychylił spory kielich i trochę wu się lżej na sercu zrobiło. Kraj cały był w takim ruchu niespokojnym, obawie najścia wojsk Imperatorowej, o których kanclerz mówił otwarcie, iż dla zapewnienia ładu i spokoju były potrzebne, tak się wydawała groźną z powodu prowiantów, których im trzeba było dostarczać, że w ciągu dnia, godzina nie przeszła, żeby hetman albo odwiedziny nie miał, lub listu nie odebrał.

Hetmanowie wojska ściągali. Moźniejsze domy dopełniali swe milicje. Zbrojono się jak do nadchodzącej wojny domowej. Z obu stron zawczasu sposobiono się do konfederacji. Przeczorniejsi z góry już prorokowali, że Czartoryscy, poparci przez Cesarzówę, wezmą górę i ich kandydat na tronie osiadzie.

Oburzało to wojewodę Kijowskiego i hetmana Brannickiego, który też pewne na korony mieli widoki.

Jeżeli mógł ją posiadać Wiśniowiecki lub Sobieski, czemuż nie mieli oni.

Za kurfirstem Saskim, mało co, albo nie nie przemawiało. Kalectwo jego zrażało, wspomnienie dwóch nieszczęśliwych panowań, nie zachęcało do trzeciej próby. Nie było tajemnicą dla wielu, że August II z królem Pruskim o rozerwanie Rzeczypospolitej się układał i chciał ją połączyć z Saksonią, jako państwo dziedziczne.

Dla silnego dotąd w Litwie domu Radziwiłłowskiego, który i teraz miał zająć stanowisko przeciwko Czartoryskim, moment był stanowczy. Albo miał przyjść do znaczenia większego jeszcze, dla podchwy-



cenia władzy i przewagi na Elekcji, albo... albo mógł zażędz wojnę domową. Tu nie sił brakło, ani środków, ale głowy. Doradców miał Radziwiłł wielu, ale na pojęcie własne położenia zdobyć się nie mógł. To co chwilowo pochlebiało jego dumie, chwytał, choćby przyszłości miało się stać szkodliwem. A na dobitkę, w tym czasie, gdy najpotrzebniejsze było trzeźwe zapatrywanie się na wypadki, wojewoda biesiadował, bankietował i kraj zapełniał wesołą wrzawą. Po za nią nadchodzącej burzy nie słyszał.

Hetman, jaśniej widzący rzeczy, radził sobie jak mógł. Do niego się zjeżdżano ze skargami, doniesieniami, z planami postępowania.

Tołoczko przez cały wieczór tu pozostawszy o własnym frasunku zapomniał.

Hetmanowa miała też wiele do czynienia. Stolnik łitewski, którego imię już jako kandydata do tronu, słyszeć się dawało, serce jej, a raczej głowę zajmował całą. Wydrzeć go wojewodzicowej Mściśławskiej jakimikolwiek środkami, było na teraz najgłówniejszem zadaniem. Zdawało się jej, że może tego dokonać. Miała już pewne wskazówki, oznaki pewne, iż nie była mu całkiem obojętną.

Wojewodzicową Mściśławską oczernić i zachęcić ku niej bardzo było łatwo, gdyż nikt mniej nad nią nie dbał o dobrą sławę. Niepodobieństwem było, aby stolnik nie wiedział o tem, o czem mówił świat cały.

Sprawa więc panny Anieli i pana rotmistrza Tołoczki schodziła na plan drugi... Przeciągnięcie odbierało jej urok. Gdy panna łowczanka Lewandowska spróbowała potem zagadnąć ją o to, ofuknęła się niecierpliwie.

— A! dajcież wy mi pokój z tą strażnikówną. Już mi ona kością stoi w gardle. Żal tylko Tołoczki, ale kto mu winien, że sobie miłość do niej uroił?..

Lewandowska przeciagnąć o tem rozmowy nie śmiała.

Do obiadu przyszedł Tołoczko z miną obudzającą

politowanie, milczący i smutny jak noc. Pokazała się panna Aniela dumna, kwaśna, milcząca także i ciągle to rumieniąca się, to bledniejąca. Nie tknęła obiadu.

Hetmanowa zapytała ją czy nie chora.

— Nie, ale apetytu niemam.

Ktoś zażartował, że odzyska go po powrocie z Białegostoku.

— A?—przerwał hetman usłyszawszy to —kiedyż jedziemy do hetmana?

Księżna chwileczkę się zadumała.

— W początku przyszłego tygodnia — była odpowiedź.

— Ja także towarzyszyć będę—dokończył Sapicha.

Panna Aniela słuchała i musiała liczyć dni. Była to sobota, a początek tygodnia, z exkluzją ponie-działku, jako dnia do podróży feralnego, przypadał we wtorek. Ciekawam, pomyślała, zład tak rychło wezmą rogówkę. Może i Tołoczce przyszło toż samo na myśl, oczyma strzelił ku pannie, ale się z jej wejrzeniem nie spotkał. Trzymała oczy wlepione w tulipau żółty, odmalowany na talerzu saskiej porcelany, który stał przed nią.

Przez cały ten dzień strażnikówna czuła się straszliwie zapomnianą, opuszczoną, nikt się do niej nie zbliżył, nie zagadnął o nic, nie zajmował jej losem. Rotmistrza po obiedzie zabrał hetman z sobą.

W niedzielę na sumnę wszyscy jechali do kościoła. Koiszewska przybywała tu zwykle także, a od czasu zajścia z księżną tem gorliwiej, aby się ludziom nie zdawało, że się jej boi albo unika.

Siedziała w jednej z pierwszych ławek, i nie chciała widzieć ani księżnej ani córki, bo oczyma manewrowała tak, aby się z niemi nie spotkać.

Właśnie tej niedzieli ksiądz dziekan wychodził ze święconą wodą pobożnych pokropić i pobłogosła-wić, gdy Koiszewska swe miejsce zajęła.

Panna Aniela, która też niby nie patrzyła na matkę, zobaczyła nie tylko ją w bardzo pięknej szubce

sobolowej, której wiedziała, że dla niej niegdyś była przeznaczoną, ale przy niej małą Skrzyńską tak wystrojoną... przybraną w atłasy, w kuny, w czapczkę złocistemi sznurkami naszywaną, że wszystkich oczy pięknoscią swą i smakiem z jakim ubraną była, zwracała.

Zazdrość serce jej ścisnęła... łzy piekące zakręciły się w oczach... Ona nie miała nawet mizernej rogówki, księżna, która tyle jej obiecywała, znajdowała za drogą tę, którą stręczono.

Jeżeli tak mały wydatek ją zrażał, jakichże się dobrodziejstw spodziewać było można??

Myśli te i z niemi pokrewne tak oprymowały pannę, że ani się spostrzegła, gdy prześpiewano suplikacje i dwór cały począł wychodzić zabierając się do powozów, aby na zamek powrócić.

Przechodząc rzuciła okiem ku ławce matki, ale ta już była próżną. Strażnikowa wyszła wcześniej.

Gniewna i nadąsana ciągle, panna Aniela przez cały dzień tak unikała Tołoczki, że mu z sobą mówić nie dała i bardzo wczesnie wróciła do swego pokoiku.

Tu się jej na łzy zebrało, a w sercu towarzyszył im gniew ku wszystkim taki, iż się uspokoić nie mogła.

Z rozmowy przy stole i z tego co mówiła służba, dowiedziała się, że wyjazd do Białegostoku naznaczony był na wtorek. Zostawał tylko poniedziałek, a o rogowce mowy nie było.

Tego już było za dużo!

Nad rankiem, nie mogąc zasnąć, panna Aniela usiadła na łóżku, podparła się na łokciu, otarła oczy, dumiała długo, zmarszczyła brwi groźnie... i powziawszy jakieś postanowienie, nagle rzuciła się na poduszki.

Sen jakby na to czekał, powieki jej zamknął i nie obudziła się już, aż na śniadanie wołać poczęto.

Ubrała się z pośpiechem wielkim i zbiegła na dół do salki, w której się hetmanową spotkać spodziewała.

W istocie siedziała ona tu jeszcze, po wypiciu czekolady, dając rozkazy do jutrzejszej podróży, ale do Anieli wcale się nie zwróciła nawet.

Strażnikówna ledwie w swej kawie umoczywszy usta, czekała.

Jakby umyślnie porozchodzili się wszyscy... pozostali sami.

Księżna się obejrzała dookoła.

— Toaleta dla waćpanny gotowa — rzekła — oglądałam ją sama, jest bardzo ładna i gustowna.

— Bardzo za nią dziękuję, księżnie pani — odezwała się z odwagą wielką panna Aniela — ale się ośmielam spytać co będzie z rogówką? ja bez niej do ślubu nie stanę.

Posłyszawszy wspomnienie o rogówce, księżna się porwała, jakby ją co ukąsiło.

— Niepotrzeba rogówki do ślubu — zawołała. — Zresztą w Białymstoku ja się postaram o pożyczanie u hetmanowej, a żebym miała tę fantazję waćpanny przepłacać! nigdy w świecie, nigdy.

Słowa te wymówiła żywo i nie czekając na odpowiedź, zaczęła iść ku drzwiom. Strażnikówna stała tak zbladła, iż zdawało się, że padnie... ale w oczach jej czarnych zapłonął ogień, połyskiwały czerwonym blaskiem.

— To ostatnie słowo, pani hetmanowej? — odezwała się podniesionym głosem.

— Ja nie mam ostatniego bo zawsze mam tylko jedno — odparła dumnie Sapieżyna i wyszła.

W salce nie było nikogo. Zatrzymała się nieco jeszcze strażnikówna, zebrała całe swe męztwo i krokiem powolnym, ale pewnym wyszła, wprost do swego mieszkania. Tu stanęła, namyślając się raz jeszcze potrząsnęła głową i napowrót opuściwszy swoją izdebkę udała się do mieszkania panny Lewandowskiej.

Wiadomo było, że kto miał coś do żądania od księżnej, lub chciał jej co donieść w godzinach, gdy

nie była przystępną, czynił to za pośrednictwem panny Lewandowskiej.

Wchodzącą zobaczywszy łowczanka tak zmieniła, iż się czegoś straszniego, dowiedzieć spodziewała, wstała na jej przywitanie.

— Co pannie strażnikównie? chora jesteś? — zapytała śpiesznie.

— Nie—zaczęła panna Aniela—proszę tylko mnie posłuchać. Widzę, że jestem wielkim ciężarem dla pani hetmanowej. Jutro mamy wyjeżdżać do Białegostoku, mnie braknie wielu rzeczy, bez których w Białymstoku wstydy mi się pokazać było. Widzę, że najmniejszy wydatek jest pani hetmanowej dla mnie trudnym. Nie mam łaski. Z tych wszystkich pobudek, prosiłabym pani, abyś odemnie oświadczyła, że ja nie jadę do Białegostoku, ale powracam do matki. Gotowam jechać, choć natychmiast.

Panna Lewandowska słuchała zdumiona i wysłuchawszy do końca, zamruczała:

— Muszę uprzedzić pannę strażnikównę, że gdy się o tem raz dowie pani hetmanowa, wszystko skończzone, już odmienić się to nie da.

— Ja też wcale zmieniać postanowienia nie myślę i pakuję się do drogi.

Powiedziawszy to, dygnęła z lekka i wyszła, drzwiami rzucając za sobą.

Panna Lewandowska jak stała, choć poczęła była włosy rozplątywać, narzuciła tylko chustkę na nie i pobieгла do hetmanowej.

Księżna siedziała w fotelu, papiery mając przed sobą, a w progu faktora Chaimka, eleganta w nowiućkiej jarmulce. Zobaczywszy wpadającą tak obcesowo Lewandowską, zmarszczyła się.

— Pilny, bardzo pilny interes! — zawołała łowczanka. — Chaimek pochodzi po kurytarzu.

Faktor czempredzej zniknął za drzwiami.

— Panna Aniela tylko co wyszła odemnie — poczęła Lewandowska. — Prosiła, abym oświadczyła



księżnic, iż nie jedzie do Białegostoku, ale prosi o konie i powraca do matki.

Księżna się tak mało spodziewała czegoś podobnego, iż zrazu zdawała się nie rozumieć.

— Słowo daję, wraca do matki—powtórzyła łowczanka.

Gniew przebiegł po twarzy pięknej pani, nsta już rozpoczynaly coś bełkotać bez namysłu, ale po malej rozwadze, krzyknęła podniesionym głosem:

— Bardzo dobrze, niech ją sobie wywiozą. Rada jestem, że się zbęde tego ciężaru z głowy. Powiedz, dysponuj, niech ją fernal który na sanie wsadzi i uwolni mnie od tej nieprzyjemnej załogi. Proszę cię, poślij po Tołoczkę.

Księżna, chociaż zaręczała, że rada jest pozbyć się tego ciężaru, przez czas jakiś siedziała pomięszana, nie powołała nawet Chaimka, który marznął w kurytarzu.

Lewandowska tymczasem dwóch lokajów wyprawiła w dwa przeciwne końce po Tołoczkę, spodziewając się, że jeden z nich go gdzieś wyszuka.

Nie była to rzecz trudna, bo rotmistrz z innymi dworzanami i wojskowymi siedział jeszcze przy śniadaniu.

Na dany mu ordynans, którego tu wszyscy pilnie słuchali, niż rozkazów samego hetmana, chwycił za czapkę i ruszył do pałacu.

Księżna stała w rannym szlafrocuku, bardzo jej do twarzy będącym, widocznie podrażniona i niecierpliwa.

— Wiesz waćpan nowinę? — zapytała żartobliwie niby, ale w głosie mając gniew stłumiony.

— Nie wiem, m. księżno.

— Panna strażnikówna trocka, rozmyśliwszy się dopiero teraz, osieroca nas i powraca do matki.

Klasnęła w ręce ze śmiechem.

— Nieprawdaż, że nowina nad nowinami.

— Ale jakże to może być?—pytał, jakby odurzony rotmistrz.



— Jest jak waćpanu powiadam, powraca do matki. Zamyślił się głęboko Tołoczko. Wielkiego żalu po nim znać nie było, owszem oddychał jakoś swobodniej. Szło mu o to tylko, jak wypadło postąpić. Westchnął z głębokości swych szerokich piersi.

— Muszę pójść, dowiedzieć się—rzekł cicho i nieśmiało.

— I pożegnać—dodała hetmanowa—bo to pewna, że gdy odjedzie raz, ja po nią więcej nie poślę.

Usiadła księżna, a Tołoczko pobiegł do znanego mu dobrze mieszkania strażnikówniej. Drzwi stały na pół otwarte. Panna Aniela chodziła żywo po pokoju, słysząc kroki, odwróciła się, Tołoczko witał ją ukłonem.

— Czyż to może być — wyjąknął powoli—co mi pani hetmanowa oznajmiła...

— Że ja powracam do matki?—przerwała panna Aniela.—Tak jest. Jeżeli mi pan chcesz wyświadczyć grzeczność proszę się o konie wystarać... Sądzę, że to przyjdzie łatwiej niż kupienie rogówki.

To mówiąc ukłoniła się szydersko a uniżenie.

— Panno strażnikówno — zawołał żalem jakimś przejęty po niewczasie rotmistrz—niech się podemną ziemia zapadnie, jeżeli ja w tem co zawinił.

— Ja pana nie obwiniam, ani w ogóle nikogo — odparła panna.—Nie mamy się o co spierać, nie mamy mówić o czem, ja wyjeżdżam... i żałuję tylko żem tego wcześniej nie zrobiła... Żegnaj pana.

Rotmistrz spróbował raz jeszcze się tłumaczyć, panna powtórzyła.

— Żegnaj pana...

Wyszedł więc zrozpaczony.

Nagle to postanowienie panny Anieli, gniew hetmanowej, desperacja Tołoczki, wszystko czego ukryć nie było podobna, piorunem poszło z ust do ust, a że w Wysokiem próżniaków było dosyć, którzy na przeżuwanie plotek czas trawili, posypały się komentarze, złośliwe sądy i przekąsy.

Panna Lewandowska stateczniejsza niż inni, chociaż odebrała rozkaz, aby fornal wywiózł pannę do matki, jakby mierzwę na pole, nie myślała tego w gniewie rzuconego wyroku, spełnić. Byłoby to przeciwko hetmanostwu oburzyło całą szlachtę. Panny Anieli, która z ufnością oddała się księżnie, poświęcając jej matkę, nie godziło się tak zbywać pogardliwie.

Widziała, gdy rotmistrz wbiegł do strażnikówny i jak odprawiony krótko, trzymając się za głowę odchodził zdesperowany. Pospieszyła naprzeciwko niego, dając mu znaki. Tołoczko podszedł.

— Wiesz pan rotmistrz na czym się skończyło? — spytała.

— Wiem, na rogówce! — zawołał żartobliwie Tołoczko — wiem...

— Wszystko to przez waćpana amory, panie rotmistrzu — mówiła dalej Lewandowska.

Chciał się tłumaczyć, nie dała mu przyjść do słowa

— Księżna pannę wprost na furze wywieźć kazała do matki — ciągnęła łowczanka — ale to się tak powiedziało w gniewie, obowiązkiem jest waćpana, aby choć przyzwolicie się ztąd dostała do matki, aby ją kto odprowadził.

— Ale któż? ale jak? — począł jąkać się rotmistrz, co ja tu poradzę.

— Niewiem co poradzisz — odparła Lewandowska — ale to wiem, żeś radzić powinien.

I widząc Tołoczkę bezprzytomnego prawie, trącego sobie czuprynę i łamiącego ręce na przemiany, spytała.

— Jest kto u hetmana?

— Jakto, czy jest? — zawołał Tołoczko. — Ścisk jak na kiermaszu, wrzawa.

— Któż tam jest? może się z przyjaciół strażnikowej znajdzie kto, coby córką się zajął.

Nie odpowiadając na pytanie, rotmistrz wykrzy-

knął tylko... Pocałował ją w rękę i puścił się do hetmana.

Tu w istocie narady były bardzo burzliwe o kapturach, o elekcji, o ludziach, którzy w tych ciężkich czasach na czele powiatów stawać mieli. Nie około hetmana, ale około słynnego w owych czasach, czynnego i przebiegłego Marcina Matuszewicza gromadziło się to koło improwizowane. Był to brat pułkownika, którego rogówka, drogo oceniona, taką to wywołała burzę.

Pan Marcin był zdawna przyjacielem domu strażnikostwa, tak jak niezliczonych innych rodzin, którym rozumem i stosunkami służył.

Tołoczko z największą trudnością wydobyl go z za stołu, zaparł do kąta i gorąco, ale zwięźle opowiedział mu wypadek cały.

Ażeby się ująć za sponsonowaną strażnikówną, Matuszewicz nie potrzebował zachęty ani prośby. Posłyszawszy jak stały rzeczy, skoczył szukając czapki.

Nie miał on nabożeństwa do księżnej i może mu na rękę było z nią się rozprawić. Bobiegł do niej.

Hetmanowa, która jeszcze gniewu nie wydychała, domyśliwszy się o co szło, przyjął go niechętnie. Począł tak hałasować w przedpokoju, że mu drzwi otworzyć musiano.

Z Matuszewiczem sprawę odrazu za przegraną było można uważać.

— Przychodzę do W. K. Mości — odezwał się — w interesie mojej przyjaciółki pani strażnikowej, która córkę swą powierzyła opiece W. K. Mości. Co zaś, w to nie wchodzę, ale szlacheckiego dziecka tak na furce z parobczakiem do domu odesłać nie godzi się. W. K. Mość masz zapewne więcej przyjaciół niż sobie niechętnych, ale ich sobie przyczynić w tej chwili nie byłoby politycznem.

— Karetę jej mam dać? — podchwyciła księżna złośliwie.

— Nie byłoby to nic nadto od pani hetmanowej

i księżnej Sapieżynej—rzekł Matuszewicz—ale panna Aniela nie potrzebuje ani karety, ani wozu, bo ja mam z sobą landarę, którą ją zabiorę, a pod rzeczy furę najmę. Przyszedłem tylko o tem oznajmić W. Ks. Mości.

Zmięszana mocno, stała księżna, pierścionki przesuwając na palcach.

— A jeżeli książę hetman, czasu tych zawikłań teraz, za sobą mieć nie będzie szlachty—dodał—czego się lękam, niech księżna tego nie przypisuje czemu innemu, tylko, tylko...

— Rogówce brata waćpana—przerwała pogardliwie hetmanowa.

— Tak jest — zakończył Matuszewicz. — Kupi ją teraz Koiszewska na pamiątkę ocalenia córki, bo to prawdziwy cud, że się i panna i posag nie dostała staremu, pocziwemu Tołoczce, któremu nie żony potrzeba, ale pieniędzy i ciepłego pieca, za którymby siedział.

Matuszewicz dobył śpiesznie zegarka, popatrzył nań i pokłon złożywszy, cofnął się ku drzwiom, a księżna się na odpowiedź mu nie zebrała.

. . . . .

Smutno było w Kuźnicy u pani strażnikowej trockiej, od czasu, gdy ją córka niewdzięczna opuściła dla księżnej hetmanowej. Żywa zawsze, czyuna, odważna Koiszewska, chodziła teraz tak w myślach pograżona, że panna Szklarska, która przez miłosierdzie siedziała przy niej, nie mając odwagi opuścić samą, często po trzy i więcej razy musiała jej o coś pytać, nim się dowiedziała odpowiedzi. Zabawiała ją jak mogła i umiała, sprowadzała gości, wymyślała nabożeństwa, tworzyła plotki, mogące odwrócić jej myśli od córki, nic to wszystko nie pomagało.

Czasami Koiszewska próbowała się do małej Skrzyńskiej przywiązać, brała ją na kolana, pieściła, sadzała przy sobie, ale to obce dziecko, zamiast przynieść jej

pociechę, ściągało wspomnienie o Anielce, gdy dzieckiem była.

Szklarska w końcu powiedziała sobie, że na choroby wielkie i lekarstw silnych potrzeba. Wpływ namaszczonego słowa, zdawał się jej jedynem mogącym tę krwawą zagoić ranę.

Żył naówczas niedaleko od Białegostoku w klasztorze mnich z pobożności i życia ascetycznego znany, o którym cuda opowiadano. Jedni go za świętego mieli, drudzy za kacerza, to tylko pewna, że staruszek miał dar słowa porywający, władzę nad sercami ludzkimi, którą Bóg tylko obdarza wybranych. Żył starzec ten na świecie, ale oderwany od niego, nie szacując wcale tego, co świat cenił najwyżej, w ludźmi widział tylko ludzi, a pastucha stawiając na równi z najdostojniejszymi dygnitarzami Rzeczypospolitej. Obawiano się go, bo na nie względu nie miał, a prawda z ust płynęła mu nigdy nieczem nie osładzana. Ale dla biednych, cierpiących, utrapionych i łzawych, słowo pociechy, wychodzące z jego serca, było balsamem.

Umiał pocieszać, a położywszy często rękę, gdy nieszczęśliwego pobłogosławił, leczył go cudownie. Mówiono o przykładach takich, iż ci co szli do niego oszaleli rozpaczą, wracali z wesołym uśmiechem rezygnacji.

Prostaczkowie zarówno i ci co się mądrością chwaliли, korzyli się przed nim i kraj szaty całowali z wdzięcznością.

Szklarska miała to szczęście, że go знаła i że dla niej był względnym. Przyszła jej myśl trochę dziwna, szukać ratunku dla strażnikowej u starego pobożnego mnicha. Pojechała do klasztoru, z wielką trudnością dostała się do celi, za pozwoleniem przełożonego i znalazła zatopionego w czytaniu Ś-go Bernarda.

Popatrzył na nią chwilę.

*Sobie Ostatki T. II.*

— Cóż cię to tu, moje dziecko, do mojej celi ściągnęło?— zapytał.— Nie prosta ciekawość pewnie, ani tęsknota po mnie. Boli cię co?

— Mój ojciec—odparła żywo Szklarska—dla siebie bym was nie trudziła, bo się nie godzi świętych ludzi niepokoić dla łada dolegliwości, ale posłuchajcie mnie, ojciec.

I Szklarska poczęła mu opowiadać historję Koiszewskiej i jej dziecięcia. Stary słuchał, czasami tylko poruszając zlekka ramionami, lub w górę podnosząc oczy.

— Czegóż ty chcesz odemnie?—rzekł—czas tę ranę uleczy... Smutne to, zaprawdę, żeśmy dożyli tego, iż ostatni węzeł, co trzymał rodzinę, miłość dla rodziców, poszanowanie ich, potargane zostały. Ale wie Bóg dla czego przechodzimy próbę wielką.

— Mój ojciec, mój ojciec—całując ręce jego dodała Szklarska—wybyście ten ból mojej pocziwej przyjaciółki jednym słowem uleczyć mogli, bo twe słowo cuda sprawia.

— Milcz! — zawołał mnich — nie moje słowo, ale moc Boża czyni cuda. W niegodnem naczyniu Bóg często łaskę swą mieści.

— Ojciec, uczyn łaskę! — rzucając mu się do nóg, dokończyła Szklarska—pójdź do niej ze mną. Zgrom ją, pociesz, ulecz, niech o dziecku niewdzięcznem zapomni. Ma na wychowaniu pokrewną dziewczuszkę, do niej się przywiąże, zastąpi jej córkę.

Mnich spojrzał na nią z góry.

— Jak-że z twego słowa czuć, żeś ty ani serca matki, ani dziecka nie miała. Cóż może straconą miłość zastąpić?

Kłęcząca u nóg mnicha Szklarska, poszła potem do przełożonego, wróciła do niego, błagała, aż nakoniec jechać jej przyrzekł.

Nazajutrz na prostym wozie, z różańcem w rękę, starzec jechał do Kuźnicy. Wiedziano tam już jakiego Bóg miał dać gościa. Czekala na ganku strażni-



kowa. Wprost tędy z wozu poszedł z nią i z domownikami przed obraz N. Panny dla odprawienia modlitwy i litanji.

Siedli potem dokoła starca, słuchając natchnionego słowa jego.

Miał łzy w oczach i drżały mu ręce, zdawał się duchem gdzieś błądzić daleko. Do Koiszewskiej nie mówił o niej, nie starał się jej pocieszać, przecież słowa jego napozór obojętne, spokój sprowadzały i dusza znękana czerpała w nich ochłodę i siły.

— Płyną łzy wasze—mówił—i cierpią serca i tworzą się dusze, boć przyszedł czas, gdy narody całe jak Chrystusa na górze Oliwnej ogarnia trwoga wielka, albowiem nadechodzi godzina próby i męczeństwa.

Patrzcie na te znaki czasu! oto rodzice się wyrzekają dzieci, a dzicci wylamują z pod błogosławionej władzy tych, co im dali życie. Na nasze suknie pływają ci, co nas nie znają... walą się kościoły... a podnoszą pod niebiosa domy rozpusty, pałace i domy tego rozumu i nauki, która pokory pozbawiona, ślepa wkrótce tylko siebie znać będzie... choć jej starsze siostrzyce wszystkie równie mądre, dziś prochem i śmieciem leżą w mogile.

Plączcie, bo łzy te zdrowe są, a kto płacze, ten nie bluźni...

Co znaczy strata jednego, choćby najdroższą perłę utracił, gdy tu cała ludzkość ewangelję straciła, którą im przyniósł Chrystus... Jesteśmy jak Izraelci na puszczy, modlimy się znowu złotemu cielcowi i cielcom żywym w purpurę poodziewanym.

Wyście stracili córkę?... a ludzie na długie wieki stracili światło i chodzić będą w ciemnościach, stracili wodzów, rozpędzili kapłanów i zaprowadzili równość między sobą, nie żeby siebie podnieśli, ale żeby wysoko stojących poniżyli, a pod pozorem swobody ogłosili swawolę królową i ustanowili prawa, gdy najświętsze Boże z serc swych wygnali.

Mówicie, że córka odeszła od was dla wielkiej

pani, co się jej losem zająć przyrzekła... a nie czuła tego, że ta, co dziecię matce wydiera, nic dobrego uczynić nie może, bo nie ma serca.

Wielkości nasze stały się wzorami zepsucia, wódzowie prowadzą do przepaści... Ubogi tłum łaknie bogactw co trują i jutro łupieżą się ich dopomni... Znaki to straszne na ziemi... a nim te kwiaty rozwinęły się, jakaś zgnilizna musiała do wykarmienia ich zbierać się wickami.

— Placzesz, moje dziecko — mówił obracając się do strażnikowej — ależ my wszyscy wo łzach tonąć powinni, bo to co się stało z wami, jutro spotka wszystkich i nie zechce nikt szanować ani siwego włosa, ani rozumu, ani cnoty, ani potęgi ducha czerpanej z Boga i powiedzą, że równi są wszyscy... Po coś posłuszeństwo, gdy niema już poszanowania żadnej władzy i gdy niema Boga. Na nasz ten kraj powódź grzechu spłynęła z gór, zdała, z za granic naszych spokojnych. Wielkie wody muł i kał niosą zawsze... ale na nich potem wejdzie nowe ziarno Boże. Bóg cierpliwym jest, bo jest wiecznym.

Strażnikowa słuchała i płakała, ale na sercu jej lżej było, przynajmniej dziecię jej nie było jedynym potworem, ale biedną słabą istotą, którą prądy porwały.

Zdawał się mówić rzeczy niezrozumiałe dla prostaczków, ale mocą jakąś jego słowa otwierały się głowy i serca... prawda wchodziła w nie.

Wśród tych przerywanych narzekań proroczych, uciszyło się... wiatr jakiś powiał w podwórcach, stary mnich głosił, umilkł. Czekał na coś...

Szklarska pierwsza posłyszała turkot powozu, i głosy w ganku... Ona i strażnikowa domyślały się jakiegoś gościa i strwożyły, lękając się, aby nie przewali mnichowi jego namaszczonego nawracania, i nie zamknęli mu ust.

Nie miała czasu wstać aby zapobiedz najściu natrętnemu Szklarska, gdy drzwi otwarły się szeroko

i poważny Matuszewicz ukazał się w nich za rękę prowadząc Anielę.

Na widok jej, Koiszewska krzyknęła, porwała się, jakby uciekać chciała i nie miała siły się ruszyć, a strażnikówna tymczasem przypadła do jej kolan i objawszy je łkać i płakać poczęła.

Koiszewska, która chciała odepchnąć niewdzięczną, spojrzała na starego mnicha. Modlił się ręce złożony. I jej ręce się rozłożyły i wyciągnęły ku dziecku.

Pochwyciła ją za głowę, namiętne okrywając pocałunkami.

Starzec błogosławił— powstawszy.

— Wraca owieczka zbłąkana do zagrody— zawołał— niech się jej otworzą wrota i serca. Przebaczenie jej, jako chcecie aby wam Bóg przebaczył.

Matuszewicz, pobożny bardzo, dopiero zobaczywszy mnicha, którego czcił oddawna... rzucił się do rąk jego, całując je.

— Ojczy, was tu chyba łaska Boża na ten dzień i godzinę nam ześlala... Nakażcież zgodę i zapomnienie winy.

Starzec nieco się cofnął przed natarczywością swojego wielbiiciela.

— Piękne słowa wasze — rzekł z goryczą — nie zbywa na wymowie wam, ani na przenikliwym wzroku, gdy w cudzą duszę patrzycie. Zajrzyjcież we własną. Któż to te dzieci nieposłuszne stworzył, jeśli nie klótniwy żywot wasz... nie chciwość wszystkiego co znikome a zapomnienie o tem co wieczne? Któż ojcem rozpusty jeżeli nie ci wasi elektowie, których dwory stały otwarte jak szynkarnie, aby naród rozpojony rozum utracił? Mielście cnotliwego Leszczyńskiego i pchnęliście go na wygnanie, bo wam smakowała beżmyślna rozpusta. W kraju ludzie polowali na ludzi.

— Ojczy — przerwał obrażony Matuszewicz — nie myśmy to poczęli...

— Aleście wy dokończyli — rzekł starzec — a teraz gdy wstrzymać zechcecie zepsucie i pożądacie ładu

i zapragniecie pokoju, miłości i zgody... nie znajdziecie ich.

W tem nagle wstrzymał się starzec, siadł, podparł na rękę i w piersi uderzył.

— Wina moja - rzekł — nie prorokujmy złego, Bóg wielki i miłosierny. Oto widzimy przykład... zesłał pociechę sercu matki.

To mówiąc wstał, wyprostował się, oczy podniósł ku niebu i począł się modlić pocichu... i błogosławił rękę zwracając ponad głowy i zatrzymując ją, jak gdyby z niej płynęła odżywiająca moc, gdzie jej więcej było potrzeba.

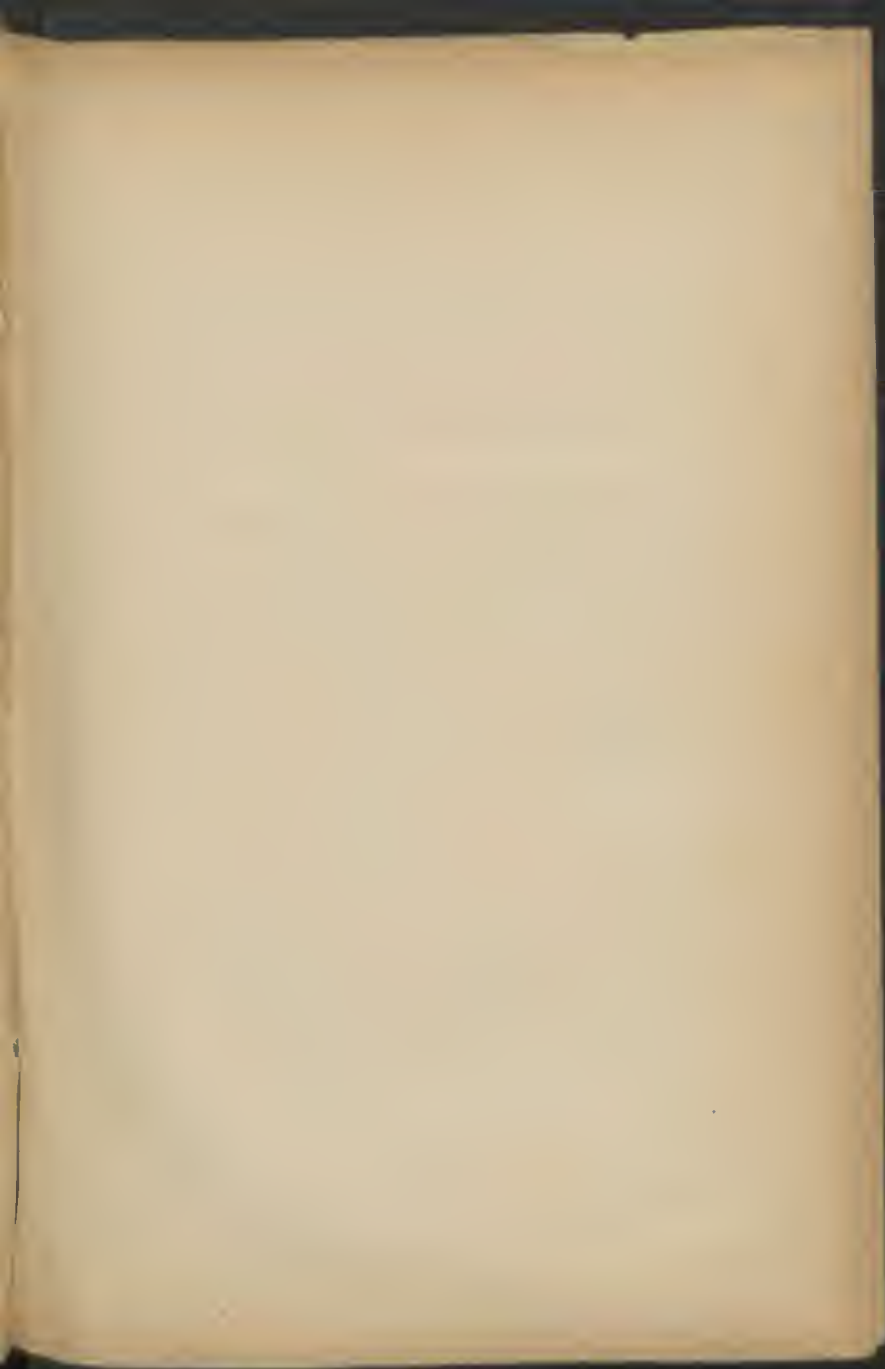
Wszystko potem w jakimś błogiem uspokojeniu przetrwało czas długi... nie śmiejąc ni ust otworzyć, ni oczów podnieść, a gdy gospodyni wreszcie wsparta na ramieniu córki, chciała się poruszyć, aby pójść starcowi dziękować, bo jego modlitwie swe szczęście rzypisywała... krzyknęła przestraszona — mnicha już między niemi nie było...

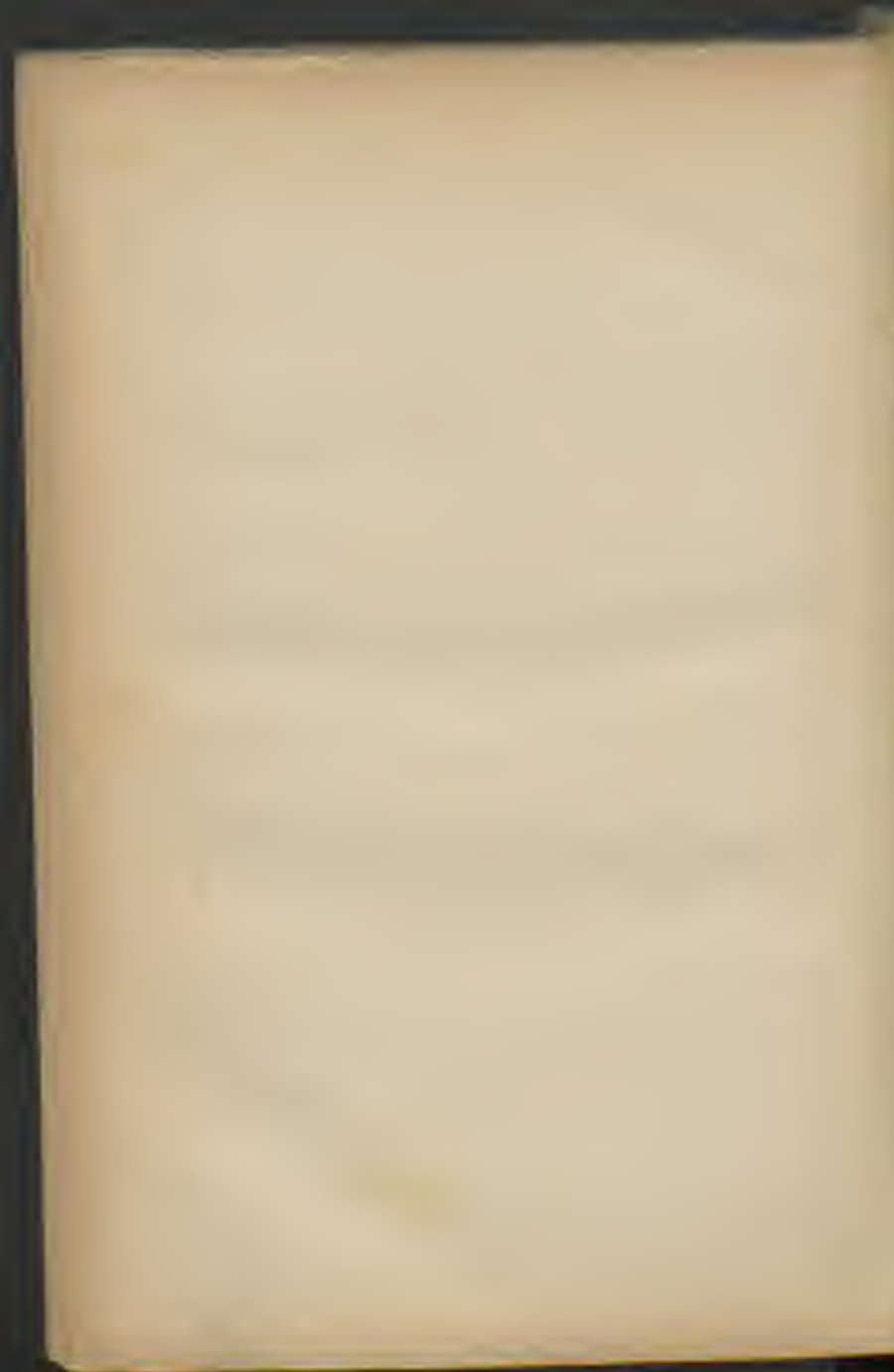
Z kijem w rękę szedł nazad do swego klasztoru.

KONIEC.

San Remo 1886.











Biblioteka Raczyńskich

**JK 866**



JK0866